CYNIZM TUSKA

ZAKAZ SMARTFONÓW W SZKOŁACH: KOLEJNA NIEDORÓBKA MEN

SUROGACJA TO NIEWOLNICTWO XXI WIEKU – MÓWI NAM EKSPERTKA ONZ

ORZESZKOWA BEZ CENZURY – ŻYCIE CIEKAWSZE OD LITERATURY?

DO POTĘGI, CZYLI POMNIK W ZŁEJ INTENCJI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

25 (707) 2026
15–21 czerwca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

COŚ PĘKŁO. CZY DA SIĘ TO JESZCZE SKLEIĆ?

WAŻNY ESEJ BRONISŁAWA WILDSTEINA O POLSKO-UKRAIŃSKIM SPLOCIE EMOCJI I INTERESÓW. I O TYM, CO POWINNIŚMY ROBIĆ, BY WSZYSTKIEGO NIE PRZEGRAĆ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 22 VI 2026 r.

eprasa.pl f6b642825d

polsat box

Jedyna taka paczka

Dobierz za **40** zł./mies. do umowy na min. 24 mc

amazon prime tv SKY SHOWTIME

Paczka może być dokupiona do zawieranej/przedłużanej umowy z abonamentem na min. 24 mies. w łącznej cenie od 80 zł/mies., a przy wyborze rabatów zapłacisz o 10 zł mniej/mies. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych na polsatbox.pl, u Sprzedawców oraz dostawców ww. serwisów streamingowych.

Serwis SkyShowtime dostępny z dwoma kanałami SkyShowtime. Dostawcami usług są: dla Amazon Prime - Amazon Europe Core S.à.r.l., dla Apple TV - Apple Distribution International Ltd., a dla SkyShowtime - SkyShowtime Limited. Amazon, Amazon Prime i wszystkie powiązane logo są znakami towarowymi firmy Amazon.com, Inc. lub jej podmiotów towarzyszących.
© 2026 SkyShowtime Limited. All Rights Reserved.

eprasa.pl f6b642825d

Péter Magyar walczy o polityczne życie

Po klęsce wyborczej Viktora Orbána opinia publiczna, zarówno w Polsce, jak i w Europie, szybko traci zainteresowanie wydarzeniami nad Dunajem i Cisą. Nie jest to zaskoczenie, to samo zdarzyło się w odniesieniu do Polski. Przed październikiem 2023 r. zachodnie media śledziły każdy ruch rządu, w najbardziej banalnych zdarzeniach szukając potwierdzenia rzekomo zamordystycznych intencji władzy. Gdy w fotelu premiera rozsiadł się Donald Tusk, sytuacja nad Wisłą przestała interesować zachodnie media. Nawet wyjątkowo wulgarne deptanie konstytucji przyjmowano z zimną obojętnością. Widocznie czytelnicy nie byli zainteresowani.

Nowy premier Węgier Péter Magyar też działa bardzo ostro. Przede wszystkim chce zmusić głowę państwa Tamása Sulyoka do ustąpienia, choć prezydent, spokojny, trochę bezbarwny prawnik, niczego nie blokuje, bo nie może, pełniąc funkcję czysto reprezentacyjną. Magyar go upokarza (podczas zaprzysiężenia ministrów stawał do niego plecami, robiąc sobie zdjęcia z ministrami), wskazuje termin ustąpienia (31 maja – prezydent nie usłuchał), atakuje go z trybuny sejmowej. Podobnie traktuje szefów innych instytucji państwowych, od których domaga się, by odeszli natychmiast, porzucając swoje obowiązki.

Pozornie to działanie nielogiczne, ponieważ TISZA ma większość dwóch trzecich w parlamencie i może swobodnie zmieniać konstytucję. To jednak sprawa nieprosta, bo wymagałaby zgody w ramach szerokiej koalicji, która wyniosła Magyara do władzy. A ta jest nie tylko pstrokata, lecz także w dużej mierze fikcyjna. Staje się jasne, że prawdziwe sznurki władzy trzymają liberałowie i zwłaszcza lewica. To oni objęli kluczowe funkcje w aparacie państwa i to oni decydują o kluczowych nominacjach. Krążą np. opowieści o sekretarzu stanu w kancelarii premiera, który drze na kawałki kartki z propozycjami personalnymi nowej minister spraw zagranicznych Anity Orbán, mówiąc, że to „w istocie fideszowcy". Magyar nie zdołał również nominować relatywnie konserwatywnej minister edukacji. Lewica powiedziała mu jasno: sprawy młodzieży i kultury są naszą sferą, tobie nic do tego. W mediach wspierających obecny rząd co jakiś czas pojawiają się także ostrzegawcze artykuły i sondaże. W jednym z badań Magyar zajął dopiero trzecie miejsce w rankingu zaufania do polityków.

Bebechy systemu, które wzięły Magyara na sztandar i wykorzystały jako taran w drodze do władzy, coraz bardziej wychodzą na pierwszy plan. Nie ma wątpliwości, że za kilka miesięcy będą mogły obecnego premiera po prostu wymienić. Tym bardziej że powodów rzeczywiście nie brakuje. Konstrukcja psychiczna Magyara jest, delikatnie mówiąc, nieprosta i niełatwa. Narcystyczne cechy pomagały mu podczas walki o władzę, ale w fotelu premiera uniemożliwiają sprawne wyważenie interesów i przede wszystkim powodują, że nie jest w stanie zbudować realnej struktury politycznej, która wsparłaby jego premierostwo.

Péter Magyar ma dziś jeden atut: wciąż cieszy się realną popularnością wśród milionów Węgrów, ma także wielu niemal fanatycznych „wyznawców". To poważny kapitał, ale jednocześnie nietrwały. Dlatego premier chce uciekać do przodu. Jego plan zdaje się prosty: wykreować próżnię ustrojową poprzez zmuszenie prezydenta do dymisji, przeprowadzić zmianę konstytucji, która wprowadzi powszechne wybory głowy państwa, wzmocnić uprawnienia prezydenta (prawo weta oraz wpływ na politykę zagraniczną), po czym we wrześniu ogłosić wybory i wygrać je na fali wciąż dużej popularności. Lider TISZY nie ma zresztą wyjścia, musi uciekać do przodu. Tunel jest wąski, a za nim coraz szybciej toczy się coraz większa kula, pchana do przodu przez tych, którzy na niego postawili, ale z jasnym założeniem, że to rozwiązanie etapu przejściowego. Lewica i liberałowie nie chcą, by twarzą władzy był człowiek przez dekady należący do elity władzy Fideszu, który osobiście wyrasta z węgierskiej tradycji patriotycznej i który rzucił wyzwanie Viktorowi Orbánowi. W dużej mierze w wyniku osobistej frustracji po tym, gdy rozpadło się jego własne małżeństwo, a jego osobiste perspektywy zaczęły wyglądać kiepsko. Postawiony przez los pod ścianą, w ciągu dwóch lat osiągnął niewyobrażalnie wiele: obalił bardzo silny rząd, ale jednak zrobił to na kredyt. Teraz przestaje być potrzebny. Wydaje się, że jego dni są policzone, ale może znów uda mu się pokonać grawitację? Zobaczymy.

Jacek Karnowski

Reklama | 20/0326/F

SIECI spis treści

30 Układ mazowiecki
Stanisław Janecki

45 Rozpadające się europejskie mocarstwo
Marek Budzisz

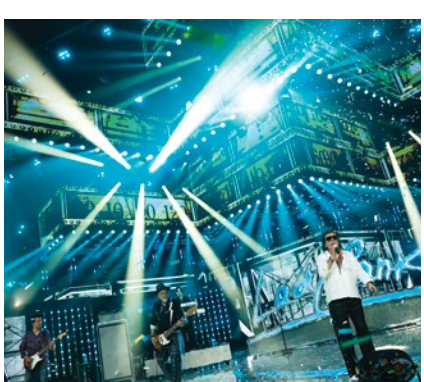

63 Polska piosenka w likwidacji
Maciej Walaszczyk

NA POCZĄTEK

5 **LESZEK MILLER, AUTORYTET**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SREBRO RODOWE, CZYLI DWÓR JEGO DONALDOWSKIEJ MOŚCI**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KRÓTKA HISTORIA O PORCIE W ŚWINOUJŚCIU**
Daniel Obajtek

13 **DYPLOMACJA I RELOKACJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA KS. PIOTRA PRUSAKIEWICZA**
Michał Korsun

16 **CHWALMY CHWALIŃSKĄ!**
Jan Pietrzak

16 **PAPIEŻ I WIEŻA JEZUSA**
Samuel Pereira

17 **KOLEJOWY SZLAK BURSZTYNOWY CORAZ BLIŻEJ**
Arkadiusz Mularczyk

18 **ARTYŚCI A EMERYTURA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **POLSKO-UKRAIŃSKI SPLOT**
Bronisław Wildstein

23 **GRA NA EMOCJACH**
Piotr Gursztyn

KRAJ

27 **POMNIK W ZŁEJ INTENCJI**
Konrad Kołodziejski

30 **UKŁAD MAZOWIECKI**
Stanisław Janecki

33 **RZĄDY PRAWA ALBO „NADZWYCZAJNEJ KASTY”**
Z dr. Maciejem Nawackim rozmawia Jerzy Szmit

36 **ZASŁONA DYMNA DLA MEN**
Dorota Łosiewicz

39 **DOKRĘCANIE IDEOLOGICZNEJ ŚRUBY**
Marzena Nykiel

ŚWIAT

42 **SUROGACJA TO NIEWOLNICTWO XXI w.**
Z Reem Alsalem rozmawia Goran Andrijanić

45 **ROZPADAJĄCE SIĘ EUROPEJSKIE MOCARSTWO**
Marek Budzisz

48 **PŁONĄCY BELFAST**
Jan Rokita

OPINIE

51 **NAJWAŻNIEJSZA SPRAWA NASZEGO ŻYCIA**
Z Delem Bigtreem rozmawia Maciej Pawlicki

54 **TRANSKRYPCJA PATOLOGII**
Dariusz Matuszak

SPORT

56 **NASZA MAJA KOCHANA**
Stanisław Janecki

HISTORIA

58 **ELIZA ORZESZKOWA BEZ CENZURY – ŻYCIE CIEKAWSZE OD TWÓRCZOŚCI?**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **RÓŻA, ERIKA, SANDRA**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **POLSKA PIOSENKA W LIKWIDACJI**
Maciej Walaszczyk

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: MARCELLE RATAFIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **OFIARY Z KROKODYLA**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **ZAPISKI Z ŁOTWY**
Ryszard Czarnecki

74 **KAMIEŃ FILOZOFICZNY POLSKOŚCI. ODSŁONA PIERWSZA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl f6b642825d

BRONISŁAW WILDSTEIN

Leszek Miller, autorytet

Wyrazem kompleksów polskiej prawicy jest odwoływanie się do choćby najbardziej szemranych postaci spośród swoich przeciwników, jeśli tylko zrobią albo powiedzą coś, co możemy akceptować. Fakt, że Bartłomiej Sienkiewicz wyszedł w trakcie „Klątwy" Frljicia, spowodował, że ileś prawicowych mediów uznało go za sojusznika w sprawach kultury współczesnej. Uczynienie z Leszka Millera autorytetu tylko dlatego, że powtarza tezy moskiewskiej antyukraińskiej propagandy, idzie jednak znacznie dalej. Były premier to pezetpeerowski aparatczyk, który osobiście przywoził do Polski pieniądze z Moskwy dla zasilenia postkomunistycznej partii. Także w III RP działał przeciw polskiemu interesowi na rzecz Rosji. Od lat, aby uwiarygodnić putinowską wersję, kłamie, manipuluje, obraża. Ma na koncie poważne działania na rzecz Rosji, które wymierzone były w polską rację stanu.

Najważniejszym z nich było utrącenie inicjatywy bałtyckiego gazociągu, który łączyłby nas z Norwegami i uniezależniał od Moskwy. Podjął ją rząd AWS, ale po wygranych przez SLD wyborach w 2001 r. Miller jako premier zerwał te porozumienia. W efekcie gazociąg został uruchomiony dopiero w 2022 r.

Nie miejsce tu na zajmowanie się katastrofalnym bilansem rządów Millera, który doprowadził do załamania się pozycji SLD. Ograniczam się do pokazania jego konsekwentnie prorosyjskiej postawy.

Nie zawsze prezentował on ukrainofobię. Kiedy prezydentem w Kijowie był człowiek Moskwy, Wiktor Janukowycz, Miller deklarował, że powinniśmy pomagać naszym wschodnim sąsiadom. Jego postawa uległa radykalnej zmianie po Majdanie, gdy Ukraińcy zaczęli budować swoją niepodległość. Rewolucja godności to dla Millera, tak jak dla Putina, banderyzm, chociaż nikt z jej organizatorów nie odwoływał się do UPA.

Miller usprawiedliwiał rosyjską agresję „ludobójstwem", którego mieli dokonywać w Donbasie Ukraińcy. „Ja dysponuję danymi z ONZ: 16 tys. rosyjskojęzycznych Ukraińców zostało zabitych, często w bardzo okrutny sposób, przez te nacjonalistyczne bojówki, które zareagowały tak po Majdanie, czując się silne i zdolne do wszystkiego".

To po prostu kłamstwo. Jedyny raport ONZ na temat ofiar w Donbasie został opublikowany w styczniu 2022 r. Szacuje on, że w latach 2014–2021 w wyniku walk na wschodzie Ukrainy zginęło między 14,2 a 14,4 tys. osób. 3,4 tys. cywilów, ok. 4,4 tys. ukraińskich żołnierzy i ok. 6,5 tys. członków grup zbrojnych. Nic nie ma o zabijaniu rosyjskojęzycznych mieszkańców przez ukraińskie bojówki.

To Miller ogłosił, że seria rozpoznanych przez polski kontrwywiad rosyjskich prowokacji, głównie podpaleń, mogła zostać dokonana przez Ukraińców. Rozpowszechniał fałszywkę, zgodnie z którą Zełenski miał zadeklarować, że nie wie, co stało się z 200 mld dol. pomocy dla Ukrainy. W rzeczywistości prezydent Ukrainy powiedział, że suma podana przez Trumpa jest zawyżona i nie wie, skąd się wzięła.

Wypowiedź ukraińskiej działaczki, że narastający antyukrainizm w Polsce doprowadzić może do oskarżenia Ukraińców o wypadki, np. podpalenia, przedstawiał Miller jako groźby i domagał się pociągnięcia jej do odpowiedzialności. Wzywał do uznania Krymu za rosyjski. Jego kłamstwa, manipulacje i oszczerstwa można by długo cytować.

Ostatnio odkrył w Polsce „banderowską piątą kolumnę". Na jej czele ma stać Paweł Kowal. Idiotyzmy te powtarzane są z całą powagą przez niektóre prawicowe media. O ile Kowalowi można sporo zarzucić, to tego typu pomówienia realnie utrudniają krytykę jego posunięć.

Naturalnie Miller protestował będzie przeciw oskarżeniu o antyukraińskość. On jest tylko antybanderowcem. Tyle tylko, że banderowskim nazistą staje się dla niego każdy Ukrainiec, który występuje na rzecz niepodległości swojego kraju. Staje się nim każdy, kto go wspiera. Jak dla Putina.

Antyukraińska fobia pozwala moskiewskiemu lokajowi grzmieć o narodowej godności oraz protestować przeciwko ranieniu naszych narodowych uczuć i byłoby to śmieszne, gdyby nie znaczenie, które nadają temu media.

Nie wiem, czy Miller jest na rosyjskim żołdzie, czy spłaca jeszcze odsetki z pieniędzy, które w plastikowych torbach przywoził z Moskwy. Może uległość wobec niej tak weszła w krew członkowi nomenklatury w czasach PRL, że nie potrafi inaczej. Może poza sentymentem istnieją innego typu uzależnienia.

Fakt, że jego antyukraińskość czyni go autorytetem polskiej prawicy, mówi niestety przede wszystkim o niej.

PS W Kanale Zero Robert Mazurek ogłosił, że jako członek kapituły Orderu Orła Białego „buńczucznie zapowiadałem", iż zagłosuję przeciw odebraniu orderu Zełenskiemu, a potem głosowałem za. Nie zapowiadałem niczego ani nikomu (zwłaszcza Mazurkowi), nie zwierzałem się z tego, jak głosowałem. Nieznajomość rzeczy sprzyja mocnym sądom, czego całość felietonu Mazurka jest demonstracją. Odwagi, Autorze! Jeszcze dużo przed Tobą!

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b642825d

Sygnalista nadaje

Popieracie rząd Pana Premiera Donalda Franciszka Tuska? Jeśli tak, to jesteście w elitarnym kręgu, ekskluzywnym gronie, nie dla każdego i nie dla byle kogo. Edycja limitowana, only fans. Luksus, na który zasługują tylko najlepsi: aż 33 proc. mieszkańców Tenkraju oceniło pracę rządu Pana Premiera „dobrze" i tylko 54 proc. – źle. Ale wiadomo, że to ludzie gorzej wykształceni, z mniejszych ośrodków, uczestniczący w praktykach religijnych i gorzej zarabiający. A chyba nie chcecie być tacy? Jest jeszcze 13-proc. grupa symetrystów i kryptopisiorów, która dała odpowiedź: „nie wiem / nie mam zdania". Nie jesteśmy tacy naiwni, aby im uwierzyć. Wiemy, że to kaczystowska piąta kolumna.

Przejdźmy do kolejnych sukcesów rządu. Dzięki wspólnej inicjatywie prezydenta Zełenskiego, polityków i sympatyków Konfederacji, a także sporej grupy polityków i zwolenników PiS, premier Donald Franciszek Tusk może uznać pierwszy weekend czerwca za najbardziej udany w ciągu kilku ostatnich lat. A na pewno w czasach rządów koalicji 15 października łamane na 13 grudnia. Wszyscy byli bowiem zajęci awanturą o bohaterów wiadomo czego, więc cała reszta problemów przestałą istnieć. Tym prostym sposobem zakończyła się kwestia dziury budżetowej, zapaści służby zdrowia i rosnącego bezrobocia. W imieniu Polski Uśmiechniętej i demokracji walczącej gorąco prosimy o kolejne podobne inicjatywy, dzięki którym Polacy nie przejmują się bolączkami życia codziennego, a Pan Premier może spokojnie spędzić weekend z wnuczkami i paparazzi tabloidów. A nawet przespacerować się główną ulicą Sopotu.

„Srebro rodowe, wielka marka"! – tak o premierze Tusku mówił eurodeputowany ***Michał Szczerba*** (nie mylić z Darkiem Jońskim, to dwie różne osoby, choć razem bardzo lubią pizzę). Zastanawiające słowa, nie wiemy, jak je interpretować. Chwalić czy ganić? Rozumiemy, że intencja była dobra, ale dlaczego srebro? Przecież jest dużo tańsze od złota i śniedzieje. I o co chodzi z tą wielką marką? Pamiętamy deutsche mark. To była bardzo fajna wielka rzecz, ale teraz mamy ojro. Panie Szczerba! Czy pan się nie pospieszył z odsyłaniem premiera Tuska do jakiejś muzealnej gabloty?

Kolejny sygnał ostrzegawczy! Jarosław Kaczyński, tyran z Żoliborza, pochwalił działanie rządu Pana Premiera Tuska. To niepokojące. Został zapytany, czy jest jakaś rzecz, którą Premier Tusk zrobił dobrze. „Podwyżka płac dla nauczycieli. To rzeczywiście zrobił" – odpowiedział. Czyli to był błąd! Skoro jest coś, co chwali ten krwawy satrapa, to znaczy, że jest to złe. Wniosek jest tylko jeden: zabrać podwyżki nauczycielom! A pieniądze, które dostali, powinni zwrócić z odsetkami. To zadanie dla ministra Żurka i jego wiernych prokuratorów.

Okazuje się, że część prokuratorów nadal jest niewierna. Doszło do konfliktu między ***Waldkiem „Drwalem" Żurkiem*** a prokuratorem Kornelukiem. Miały być awanse, impreza, może nawet ciasteczka. Zamówiony był kwartet smyczkowy. I wszystko trzeba było odwołać, bo Drwal Praworządności nie podpisał 57 wniosków awansowych złożonych

eprasa.pl f6b642825d

przez Darka Korneluka. „Prokurator generalny i krajowy nie nadają na tych samych falach. Jest klincz. Prokuraturze nic gorszego nie mogło się przydarzyć" – czytamy w biuletynie ruchu Silnych Razem, czyli „Gazecie Wyborczej". Dowiadujemy się też, że po obu stronach tego sporu między dwoma wybitnymi demokratami walczącymi objawili się agenci ziobryzmu. To wszystko tłumaczy. Czekamy na plan B ministra Żurka, który z pewnością pozwoli naprawić obecną sytuację i rozliczyć tych, którzy zamówili kwartet smyczkowy. Na takie imprezy zaprasza się artystów zaangażowanych. Zwłaszcza tych, którzy występowali na marszu miliona serc.

W rubryce dotyczącej rozliczeń i praworządności (tak jak my ją rozumiemy) są też dobre wiadomości. Prześladowca Romana Giertycha, dziennikarz Kraskowski Leszek, poszedł do pudła. Zła wiadomość – to tylko areszt i tylko na trzy miesiące. Na więcej nie pozwalają kodeksy. Trzeba to zmienić, aby wrogowie demokracji walczącej nie byli bezkarni.

Czy wiecie, jaka wyszła na jaw kolejna kompromitacja PiS? Otóż za ich rządów Polacy dostawali jakieś trzeciorzędne stanowiska w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych. Po prostu jakaś murzyńskość wtedy była! Okazuje się, że Polaków wysyłano jako ambasadorów Unii Europejskiej na Jamajkę, do Barbadosu, Zambii, Gruzji, Turkmenistanu, Panamy. No po prostu litość i trwoga. I czysta murzyńskość. Ale to się już skończyło! Obecne władze, rząd Polski Uśmiechniętej, wstały z kolan i nie pozwoliły na takie upokorzenie naszej demokracji walczącej. Od tej pory nie wysyłamy Polaków na jakieś murzyńskie placówki. Za granicę, do kraju na literę H – jak tow. Jan Winnicki. Nigdzie ich nie wysyłamy. Bo w ważnych krajach nasze interesy najlepiej zabezpieczą nasi przyjaciele z Mocarstwa Moralnego. A w nieważnych krajach też tego przypilnują. Nikt nas nie ogra w Europie. Bo my nie gramy w tę grę.

Przenieśmy się teraz do Krakowa, a właściwie Warszawy. Konkretnie do ogrodów przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Tam doszło do historycznej prezentacji kandydatki na osobę prezydencką w Krakowie, czyli ***Piątkowskiej Moniki***. Charyzmatycznej liderki, szeroko znanej w wąskim kręgu jej wielbicieli. Sam Pan Premier Tusk z jednej strony i Władek Tygrysek z drugiej podnosili rączki Moniki. Po takiej prezentacji Monika ma wygraną zapewnioną. I teraz ona będzie nowym Olkiem Miszalskim. Jej życiorys to historia bardzo zdolnej dziewczyny, która pracowicie pięła się po szczeblach kariery w różnych spółkach państwowych i samorządowych, więc na pewno zna życie. Jest też prawdziwą demokratką i to do kwadratu. Albo jeszcze bardziej, bo była w tylu partiach, że Paweł Zalewski może jej pozazdrościć. Monika zaczynała w SLD. Potem były PSL, Polska 2050 i wreszcie Koalicja Obywatelska. A w tym roku Małopolska Izba Rzemiosła uhonorowała ją czymś szczególnym – Złotą Odznaką „Za Zasługi w Rzemiośle".

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, KPRM

Jej konkurentem jest jakiś pisior z Nowej Huty. Michał Drewnicki, lat 34. „Za mną nie stoi jakieś znane nazwisko, nie mam bogatych rodziców, nie mam też znajomości. Nie mam długu wobec żadnego środowiska lobbystycznego, żadnej koterii, żadnego układziku towarzyskiego" – tak się zaprezentował. Bez sensu. Po co komu prezydent miasta, który nie ma znajomości ani nawet żadnego układziku towarzyskiego? Monika go rozsmaruje. Zwróćcie uwagę na metryki. Monika – 52 lata, pisior – 34 lata. Okropny ejdżyzm. Ale nie przejmujcie się. Tylko 18 lat różnicy. To dużo mniej niż między Macronem a panią Macronową, bo tam jest 25 lat.

Jest prawda czasu i prawda ekranu. Wie to każdy, kto nadąża za Premierem Tuskiem, ale nie rozumieją prawacy. Przyczepili się do ministry ***Nowackiej Baśki*** za to, że zmieniła zdanie w sprawie zakazu używania smartfonów przez osoby uczniowskie. Bo trzy lata temu, gdy trwała pisowska okupacja, Baśka i jej partia krytykowali pomysły, aby zakazać smartfonów w szkołach. Krytykowali, bo to był pomysł niejakiego Czarnka, a jak wiadomo, nie można chwalić tego, co on proponuje. Dzisiaj jest jednak inaczej. Baśka stwierdziła, że społeczeństwo dojrzało do tego zakazu, a wtedy było niedojrzałe. „Kilka lat temu faktycznie pomysły wydawały się przedwczesne, tak teraz, nawet patrząc na poparcie społeczeństwa tego działania, jest ten moment" – przekonująco i obiektywnie wytłumaczyła. Szach mat, prawaczki!

Może jednak nie spieszyć się z tymi smartfonami. Bo jest pewna wątpliwość. O tym, by zakazać smartfonów, mówił też niedawno niejaki ***Morawiecki***. Co gorsza, mówił to na wiecu w mieście Gorzów (dawniej Landsberg, napisy na dworcu czekają na odsłonięcie). A jeszcze gorsze jest to, że występował tam z tym strasznym ***Czarnkiem***. Trzymali się za ręce, uśmiechali i nawet nie zakładali żadnych nowych stowarzyszeń (bo te są już założone). Niepokojące! Czyżby chcieli wygrać jakieś wybory?

eprasa.pl f6b642825d

WIEŻA BAB

Srebro rodowe, czyli dwór Jego Donaldowskiej Mości

W każdej epoce władza otaczała się ludźmi, którzy potrafili dostrzec w swoim przywódcy cechy niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Królowie mieli nadwornych poetów, cesarze panegirystów, a współczesna polityka ma polityków od występów medialnych. I trzeba przyznać, że niektórzy przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej osiągnęli w tej dziedzinie poziom godny osobnej kategorii artystycznej.

Być może doczekamy się specjalnej ustawy o ochronie zasobów naturalnych, w której znajdzie się zapis o konieczności zachowania Tuska dla przyszłych pokoleń

Najnowszy popis dał europoseł Michał Szczerba, który postanowił opisać Donalda Tuska jako „srebro rodowe", którego „nie trzeba czyścić, tylko stawiać na półce". W jednej krótkiej wypowiedzi premier został więc jednocześnie zabytkiem, rodzinną pamiątką i eksponatem muzealnym. Pozostaje tylko pytanie, czy należy go umieścić za szkłem, czy może obok kryształów po babci. Przyznajmy uczciwie: to nie była zwykła pochwała. To był skok o tyczce nad standardowym poziomem politycznego wazeliniarstwa.

Po tych słowach wielu Polaków niemal automatycznie mogło usłyszeć w głowie niezapomnianą melodię z filmu „Miś": „Łubu dubu, łubu dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu!". Wacław Jarząbek, człowiek instytucja od składania hołdów prezesowi Ochódzkiemu, przez lata był symbolem politycznego i urzędniczego lizusostwa. Ale gdyby dziś usłyszał o „srebrze rodowym", prawdopodobnie zamilkłby z szacunku dla mistrzów nowej szkoły. Problem polega na tym, że Szczerba nie jest samotnym artystą. On jest częścią całego nurtu twórczego.

Przypomnijmy 2009 r. W samym środku afery hazardowej Sławomir Nowak postanowił bronić premiera słowami, które przeszły do historii polskiej polityki. Oświadczył bowiem, że Donald Tusk jest człowiekiem „dotkniętym przez Boga wielkim geniuszem". To był moment przełomowy. Dotąd premierzy byli najwyżej zdolni, sprawni albo kompetentni. Tymczasem Tusk otrzymał certyfikat nadprzyrodzonego pochodzenia. Komentatorzy szybko skrócili tę myśl do bardziej medialnej formuły o polityku „dotkniętym palcem Bożym". I tak narodził się pierwszy mit założycielski współczesnego tuskocentryzmu. Potem było już tylko ciekawiej.

Prawdziwy rozkwit kultu nastąpił jednak po powrocie Tuska do polskiej polityki w 2021 r. Wówczas Borys Budka, Krzysztof Brejza i wielu innych polityków KO zaczęło opisywać to wydarzenie w tonie przypominającym relacje średniowiecznych kronikarzy oczekujących przybycia legendarnego wybawcy. Tusk był przedstawiany jako „mąż stanu", „jedyny lider na trudne czasy", „jedyna nadzieja dla Polski", a nawet jedyny człowiek zdolny zatrzymać wszystkie zagrożenia czyhające na demokrację. Nie był już zwykłym politykiem. Nie był nawet wybitnym politykiem. Był politycznym odpowiednikiem superbohatera, tyle że zamiast peleryny nosił marynarkę, a zamiast ratować świat przed kosmitami, ratował go przed przeciwnikami politycznymi.

Jakub Rutnicki i Robert Kropiwnicki wielokrotnie przedstawiali Tuska jako „wielkiego stratega" oraz „najważniejszego i najwybitniejszego polityka współczesnej Polski". Wysoko ustawiał też poprzeczkę Andrzej Halicki, który zachwycał się „wrodzonym instynktem przywódczym" Tuska oraz jego rzekomo niemal „szachistycznym geniuszem".

Ewolucja wazeliniarstwa jest fascynująca. Jeżeli ten trend się utrzyma, za kilka miesięcy możemy usłyszeć, że Tusk jest nie tylko srebrnym rodowym, lecz także narodowym skarbem archeologicznym, pomnikiem przyrody ożywionej i strategiczną rezerwą państwową, przechowywaną na wypadek kryzysów. Być może doczekamy się nawet specjalnej ustawy o ochronie zasobów naturalnych, w której obok złóż miedzi, gazu ziemnego i lasów państwowych znajdzie się zapis o konieczności zachowania Donalda Tuska dla przyszłych pokoleń.

Najciekawsze jest jednak co innego. Cel każdej kolejnej wypowiedzi tego typu jest bowiem ten sam: przekonanie opinii publicznej, że sukces partii nie zależy od programu, idei czy zespołu ludzi, lecz od jednego człowieka. Człowieka tak wyjątkowego, że niektórzy współpracownicy opisują go językiem z pogranicza hagiografii, marketingu luksusowych antyków i objawień religijnych. Trzeba przyznać, że Wacław Jarząbek ma godnych następców.

Dorota Łosiewicz

Prawo jak je rozumiemy

Premier Ronald Kieł siedział nad kartką, na której były wypisane nazwiska najważniejszych ludzi w Ministerstwie Sprawiedliwości i zastanawiał się, jak znaleźć rozwiązanie problemu, którego nie potrafił rozwikłać od 2,5 roku. A nazwisk wcale nie było dużo: minister Waldemar Barszczyk, prokurator krajowy Dariusz Marmeluk, szara eminencja Roman Naszaszkapa, Marek Poliester (czyli cyngiel Barszczyka), Ewka Kłosek (czyli cyngiel Naszejszkapy). Było jeszcze nazwisko Adama Banderuka, ale były minister wykreślił się sam. To znaczy na kartce wykreślił go Kieł, ale – powtórzył w myślach premier – wykreślił się sam, bo był za miękki.

– Szkoda... – bezwiednie westchnął na głos Kieł.

– Co szkoda? – zapytała Magdalena Dwojga-Nazwisk, która od niedawna znajdowała się w ścisłym otoczeniu Kła. Wszyscy traktowali ją jako jego potencjalną następczynię, ale on jeszcze się wahał. Musiał dziewczynę sprawdzić na wszystkich możliwych polach.

– Widzisz Magdaleno, zaprosiłem cię, byś poznała tajniki sprawowania władzy – powiedział mentorskim tonem Kieł. – Obszar prawa jest szczególnie trudny do zarządzania.

– Dlaczego trudny? – zaciekawiła się Dwojga-Nazwisk.

– Bo niestety ogranicza nas konstytucja – powiedział smutno premier. – Przez osiem lat kazałem wszystkim moim ludziom przy każdej okazji krzyczeć „Kon-sty-tuc-ja", ale nie miałem pojęcia, że tam jest tyle przepisów. Chyba nawet więcej niż w piłce nożnej!

– Ale w piłce szybko sobie poradziłeś, Kierowniku – powiedział przymilnym tonem jego osobisty adiutant Maciej Goniony. – Jak graliśmy, to nie wolno było cię faulować, ale ty mogłeś faulować wszystkich. No i ciebie spalony nie dotyczył. Ależ wtedy nastrzelałeś bramek, Ronaldzie...

– No właśnie! – rozmarzył się Kieł, nie zwracając uwagi, że Goniony odezwał się nieproszony, a przecież obowiązywał go zakaz wypowiadania się, gdyż jego zadaniem było milczeć i patrzeć innym na ręce. Ale tym razem Goniony przypomniał mu stare dobre czasy. – Moje przepisy były dobre, a kto ich nie rozumiał lądował na aucie jak Grzegorz Szuflada z Wrocławia. I myślałem, że tak samo będzie tutaj.

– A nie jest? Przecież stosujemy prawo tak, jak je rozumiemy – powiedziała Dwojga-Nazwisk.

– Kiedy tak mówisz, to zastanawiam się, czy zasługujesz na to, by być moją następczynią, Magdaleno – stwierdził z wyraźnym wyrzutem Kieł. – To jest zaledwie namiastka tego, co chciałbym mieć. Przecież Barszczyk zapowiadał, że dostarczy mi byłego ministra Żebro w bagażniku. I co? Spękał! A Żebro je hamburgery za oceanem. To jeszcze nie jest w stu procentach prawo jak je rozumiemy. System nie jest jeszcze domknięty.

– Jednak dziennikarz, który krytykował Romana Naszszkapę, został aresztowany – słusznie zauważyła Magdalena Dwojga-Nazwisk.

– Ale tylko na trzy miesiące – machnął ręką premier. I uniósł kartkę z nazwiskami. – Z tego Barszczyka to już nic nie będzie. Marmeluk to człowiek skreślonego Banderuka. Mamy dwa cyngle w ministerstwie, ale Poliester nie dogada się z Kłosek. Oboje są zbyt ambitni.

– To może czas, by Naszaszkapa został ministrem? – zapytała Magdalena.

– To nie jest zły pomysł, może jednak będą z ciebie ludzie. Z Romanem jest tylko taki problem, że on jednak przede wszystkim załatwia swoje interesy – zamyślił się Kieł.

– Przecież wszyscy załatwiamy w rządzie swoje interesy – przytomnie zauważyła Dwojga-Nazwisk. – A Barszczyk to chyba najwięcej.

– Ale te interesy Barszczyka to drobnica – zbagatelizował premier. – Jakieś małe działki, odszkodowanie za to, że maszyna sprzątająca smyrnęła mu mały palec u nogi. A Roman to jest jednak inny kaliber: interesy w Luksemburgu, wspólny prawnik z Al-Kaidą. Trochę się jednak obawiam tego rozmachu.

– Czego się tutaj obawiać, panie Kierowniku? Kto z nas nie marzy o tym, by zarabiać miliony? Ja marzę – przyznała Magdalena, spuszczając skromnie oczy.

Kieł spojrzał na nią badawczo. Cenił u swoich ludzi pazerność na pieniądze. Pozwalał na robienie interesów w resortach, bo dzięki temu miał haki praktycznie na wszystkich wkoło. I nagle strużka zimnego potu spłynęła mu po plecach, bo przypomniał sobie, że także na niego są haki. A tym, który znał klucz do jego mrocznych sekretów, był Roman Naszaszkapa. Kieł zdał sobie sprawę, że nie wszystko w Tymkraju ma pod kontrolą.

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl f6b642825d

Prywatna wyspa Kushnera

Albania

W ciągu kilku dni z rzędu ulicami Tirany przeszły wielkie demonstracje. Ich uczestnicy skandowali hasło „Albania nie jest na sprzedaż" i nieśli ze sobą wycięte z kartonu różowe podobizny flamingów. Protesty były wymierzone w zięcia prezydenta USA Donalda Trumpa Jareda Kushnera oraz wieloletniego premiera Ediego Ramę.

Chodzi o popieraną przez rząd inwestycję amerykańskiego dewelopera, o której opowiedziała ostatnio jego żona Ivanka Trump, opisując ją jako „niewiarygodnie piękną, prywatną wyspę o powierzchni 1,4 tys. ha" pośrodku albańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego. Projekt Kushnera zakłada budowę hoteli i apartamentowców oraz mariny dla jachtów. Część z nich ma powstać na niezamieszkanej wyspie Sazan, a pozostałe na dziewiczych plażach Pishë-Poro-Nartëy znajdujących się w obrębie chronionego obszaru przyrodniczego Vjosa-Narta. Rezerwat, obejmujący podmokłe tereny Adriatyku, jest azylem dla zagrożonych gatunków, takich jak foka mniszka śródziemnomorska, żółwie oraz ponad 200 gatunków ptaków, w tym flamingów i pelikanów. Eksperci nie mają wątpliwości, że rozpoczęte prace ziemne już wyrządziły nieodwracalne szkody, a docelowe przekształcenie całej wyspy i delty rzeki w ośrodek turystyczny całkowicie zmieni charakter tego miejsca pod względem przyrodniczym. Domagają się więc natychmiastowego przerwania prac budowlanych i wycofania ciężkiego sprzętu z obszaru chronionego.

Co ciekawe, premier Rama twierdzi, że budowa jeszcze się nie rozpoczęła, a jej wpływ na środowisko jest dopiero oceniany. Jednocześnie wartą ok. 4 mld euro inwestycję reklamował jako projekt, który przyniesie ogromne korzyści. Dlatego o podżeganie do zamieszek oskarżył Grecję jako silne regionalne i konkurencyjne lobby turystyczne.

Sprawą zainteresowała się albańska prokuratura antykorupcyjna SPAK, informując o wszczęciu śledztwa. Wątpliwości budzi bowiem ekspresowa zmiana prawa, która nastąpiła dwa lata temu, umożliwiając zakup wybrzeża przez Amerykanów. Inwestycja stała się również jednym z ostrych punktów spornych trwających od lat negocjacji w sprawie przystąpienia Albanii do UE.

Wygląda na to, że zubożała Albania została *de facto* skolonizowana przez wpływowych amerykańskich deweloperów. Pogoń za zyskiem okazała się ważniejsza niż cenne dziedzictwo przyrodnicze.

Maciej Walaszczyk

Porażka Moskwy

Armenia

W wyborach, które w Armenii określano mianem „przesądzających losy kraju", jednoznaczne zwycięstwo odniósł blok Umowa Społeczna dotychczasowego premiera Nikola Pasziniana. Formacja zdobyła 49,8 proc. głosów, co da jej – jak się szacuje – 58 mandatów w 101-osobowym parlamencie.

Swoich reprezentantów będzie miał też blok Silna Armenia, zbudowany przez prorosyjskiego oligarchę Samwela Karapetiana, porozumienie Blok Armenia, utworzone przez byłego prezydenta Roberta Koczariana oraz Kwitnąca Armenia Gagika Carukjana, kolejnego po Karapetianie oligarchy, który brał udział w wyścigu wyborczym.

Strategia wyborcza premiera Pasziniana, który dostał więcej głosów niż w poprzednich wyborach, koncentrowała się wokół trzech kwestii – utrzymania pokoju, orientacji proeuropejskiej i obrony demokracji. Rywale byli przedstawiani przez rządzących jako stronnicy Rosji i oligarchowie dążący do zaprowadzenia autorytarnych porządków. Oskarżano ich także o chęć wznowienia wojny z Azerbejdżanem. Paszinian wykorzystał to, że za jego rządów udawało się utrzymać wysokie, przekraczające 5 proc. rocznie tempo wzrostu PKB, co pozwoliło rozszerzyć świadczenia socjalne. Od początku tego roku w Armenii państwo pokrywa ubezpieczenie zdrowotne dla osób powyżej 65. roku życia, a niedawno podniesiono minimalne wynagrodzenie.

Przed wyborami sytuację zaostrzyła agresywna retoryka Moskwy. Putin otwarcie mówił „potrzebie wyboru" między orientacją proeuropejską a współpracą z Rosją i groził „scenariuszem ukraińskim". Na to nałożyły się dyskryminacyjne posunięcia handlowe (wstrzymanie importu kwiatów, koniaków, wina i owoców), które miały przekonać wyborców, aby ci odżegnali się od proeuropejskiego kursu Pasziniania.

W wyborach wzięło udział niemal 59 proc. uprawnionych do głosowania, co jest najwyższym wskaźnikiem od 2017 r., czyli od „aksamitnej rewolucji", która wyniosła Pasziniana do władzy. Opowiada się on za podpisaniem traktatu pokojowego z Azerbejdżanem, co oznacza ostatecznie pogodzenie się Erywania z utratą Górskiego Karabachu i porozumieniem z Turcją. Pozwoli to jednak zrównoważyć wpływy rosyjskie i otworzyć granicę zamkniętą od momentu uzyskania niepodległości przez Armenię. Eksperci spodziewają się, że niezadowolona z wyników wyborów Rosja wprowadzi ograniczenia w zakresie handlu surowcami energetycznymi. Kolejny rząd Pasziniania będzie zatem zmuszony do radzenia sobie z nowymi wyzwaniami.

Marek Budzisz

eprasa.pl f6b642825d

Włochy

Palenie żywcem ludzi w Kalabrii

W miejscowości Amendolara w Kalabrii czterech Pakistańczyków w wieku od 19 do 29 lat zostało spalonych żywcem przez swoich rodaków. Egzekucję przeżył tylko 35-letni Afgańczyk, który ujawnił policji kulisy tragedii.

Cała piątka to imigranccy robotnicy, pracujący po 14 godzin na dobę przy zbieraniu owoców i warzyw za 2 euro za godzinę. Takie osoby stanowią obecnie 18 proc. siły roboczej we włoskim rolnictwie, generując roczne obroty w wysokości 25,2 mld euro rocznie.

Wielu z nich to ofiary międzynarodowego handlu ludźmi. W swojej ojczyźnie zaciągają u przemytników olbrzymie długi, aby dostać się do Italii. Zamiast przyzwoitego zatrudnienia za godną płacę wpadają jednak w system niewolniczej pracy. Kontrolują ich gangsterzy, którzy pełnią rolę pośredników między pracodawcami a pracownikami. Dług staje się narzędziem szantażu. Jeśli ktoś z robotników się zbuntuje, naraża nie tylko siebie, lecz także rodzinę pozostawioną w kraju.

Pięciu pracowników postanowiło jednak zastrajkować, ponieważ mafia nie płaciła im pieniędzy od ponad miesiąca. W odpowiedzi pakistańscy nadzorcy stłoczyli całą piątkę w furgonetce, zamknęli drzwi, oblali samochód benzyną i podpalili. Uratował się tylko jeden, który zdołał wyważyć drzwi. Cała egzekucja została zarejestrowana przez kamery znajdujące się na pobliskiej stacji benzynowej. Policja, która przybyła na miejsce, szybko aresztowała dwóch sprawców.

Charakterystyczna była reakcja lewicowo-liberalnych mediów, które nie przepuszczą żadnej okazji, by załamywać ręce nad opłakanym losem imigrantów we Włoszech. Tym razem jednak zbagatelizowały one mord w Amendolarze. Dlaczego? Po pierwsze, musiałyby przyznać, że sprawcami wyjątkowo okrutnej zbrodni na pakistańskich imigrantach nie byli biali rasiści i nacjonaliści, lecz ich rodacy. Po drugie, musiałyby ujawnić, że polityka proimigracyjna tworzy system wyzysku i niewolnictwa w tak dumnej ze swych osiągnięć Unii Europejskiej. Sprawę lepiej więc przemilczeć i o niej zapomnieć. W końcu to tylko kolorowi.

Grzegorz Górny

Japonia

Imigrantom dziękujemy

Premier Japonii Sanae Takaichi objęła urząd w zeszłym roku, obiecując wyborcom surowsze regulacje imigracyjne. Teraz wciela swój plan w życie, likwidując luki w prawie, które umożliwiały cudzoziemcom osiedlanie się w Japonii pod pozorem otwierania drobnych biznesów.

Japończycy od zawsze podchodzili do przyjezdnych z dużą nieufnością. Dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy zmierzali osiedlić się tam na stałe. Dzięki takiej polityce liczba cudzoziemców mieszkających w Japonii nie przekracza 3 proc. W ostatnich latach pojawiły się jednak głosy, aby zliberalizować tę restrykcyjną politykę. Argumentowano, że większa liczba imigrantów jest konieczna, by poradzić sobie z deficytem siły roboczej i skutkami kryzysu demograficznego, który od lat nęka Japonię.

Te nawoływania wywołały jednak skutek odwrotny od zamierzonego. Gwałtownie bowiem wzrosły obawy przed niekontrolowaną imigracją. To m.in. na fali antyimigranckich nastrojów władzę objęła urzędująca dziś premier Japonii, która obiecała swoim wyborcom, że zamiast liberalizować przepisy, zrobi odwrotnie i ograniczy liczbę cudzoziemców przebywających na stałe w kraju.

Jak donosi „The New York Times", japoński rząd wprowadził właśnie w życie nowe zasady przyznawania tzw. wiz menedżerskich. Pozwalały one cudzoziemcom na stały pobyt w Japonii pod warunkiem uruchomienia tutaj biznesu. Wykorzystywali to głównie przyjezdni z całej Azji, m.in. z Indii, Nepalu, Sri Lanki i Tajlandii, którzy otwierali w Japonii drobne punkty gastronomiczne. Dzięki ulicznym barom zyskiwali oni prawo do stałego mieszkania. Wzbudzało to powszechne niezadowolenie. Z jednej strony obawiano się nieuczciwej konkurencji, bo przyjezdni pracowali za grosze i zatrudniali pracowników na podstawie umów śmieciowych, z drugiej – niepokój wywoływały różnice kulturowe.

Teraz, zgodnie z nowymi przepisami, aby założyć w Japonii biznes i otrzymać prawo stałego pobytu, trzeba będzie wykazać się posiadaniem kapitału w wysokości 188 tys. dol., podczas gdy do tej pory wystarczało jedynie 31 tys. dol. Warunkiem będzie też zatrudnienie przynajmniej jednej osoby na pełen etat. Co ważne, nowe przepisy objęły również osoby, które mieszkają w Japonii na podstawie starych regulacji. To zaś oznacza, że ci, którzy nie spełniają nowych wymogów, utracą prawo pobytu.

Wśród imigrantów pojawiły się oznaki paniki. Jeden z indyjskich restauratorów nagrał nawet film, w którym przekonuje widzów, że od wielu lat płacił w Japonii podatki i wychował tu swoje dzieci. Nie udało mu się jednak wzbudzić współczucia.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl f6b642825d

Krótka historia o porcie w Świnoujściu

Cóż to za przedziwne widowisko polityczne od miesięcy rozgrywa się na naszych oczach! Jeszcze niedawno morska energetyka wiatrowa i port instalacyjny w Świnoujściu były dla prominentnych postaci obecnej koalicji co najmniej podejrzane, a dziś, proszę bardzo: tną wstęgi, ściskają dłonie wykonawców i z dumą opowiadają o „naszych wielkich, strategicznych sukcesach". Klasyczna przypowieść o tym, jak najładniej wyglądają cudze piórka w cudzym kapeluszu.

Jak Tusk i spółka przywłaszczają sobie zasługi ORLENU i Morawieckiego

Przypomnijmy fakty, bo w wirze medialnych narracji łatwo o mgłę niepamięci. To za rządów Mateusza Morawieckiego ruszyła prawdziwa ofensywa na rzecz offshore. Już w 2020 r. uchwalono kluczowe ustawy wspierające rozwój morskich farm wiatrowych. Podpisano listy intencyjne z branżą, rozpoczęto przygotowania do wielkich projektów. ORLEN pod moim kierownictwem konsekwentnie budował kompetencje i łańcuch dostaw. Baltic Power, realizowany wspólnie z kanadyjskim Northland Power, to jeden z najbardziej zaawansowanych projektów w polskiej części Bałtyku. A budowa terminalu instalacyjnego w Świnoujściu? Decyzje strategiczne zapadły wcześniej, realizacja nabrała tempa w 2023 r., a otwarcie nastąpiło w 2025 r. jako efekt planów, pozwoleń i ciężkiej pracy poprzedników. ORLEN Neptun jasno podkreślał pionierski charakter tej inwestycji, zdolnej do montażu nawet 80 turbin rocznie. Dziś port działa, pierwsze elementy Baltic Power są instalowane, a megawaty czystej energii wkrótce popłyną do polskiej sieci.

A co robili w tym czasie krytycy z dzisiejszej koalicji? W latach 2021–2023, gdy zapadały kluczowe decyzje o budowie terminalu instalacyjnego w Świnoujściu, ze strony KO i Lewicy płynęło morze sceptycyzmu, a nawet otwartego podburzania lokalnych środowisk i kwestionowania sensu całej inwestycji. Zamiast konstruktywnego wsparcia dla strategicznego projektu na Pomorzu Zachodnim – medialne wątpliwości, sugestie, że to „kolejne pisowskie marnotrawstwo", pytania o celowość angażowania publicznych środków w morską energetykę wiatrową „pod rządami tych drugich". Podnoszono kwestie środowiskowe, logistyczne i ekonomiczne w sposób, który raczej zniechęcał, niż mobilizował. Dzisiaj ci sami politycy chętnie pozują na wizjonerów zielonej transformacji, zapominając o tamtych głosach powątpiewania.

Nie zapominajmy o szerszym kontekście. ORLEN, Gaz-System i Polskie Elektrownie Jądrowe, mocno wspierane przez poprzedni rząd, prowadziły w Brukseli prawdziwą batalię o realistyczne podejście do energetyki. Broniły miejsca nie tylko dla offshore, lecz także dla atomu i gazu jako niezbędnych elementów bezpieczeństwa energetycznego. Dzięki ich wysiłkom Polska wynegocjowała wyjątki od sztywnych unijnych reguł Fit for 55, dywersyfikowała dostawy LNG, rozbudowywała infrastrukturę i przygotowywała grunt pod jądrową przyszłość. To nie były puste deklaracje ani fotogeniczne konferencje – to prawdziwe kontrakty, pozwolenia i realna walka o suwerenność.

Dzisiaj? Bezwład i ideologiczne spowolnienie. Pierwszy blok elektrowni jądrowej, planowany pierwotnie na 2033 r., jest sukcesywnie przesuwany – aktualne prognozy wskazują na 2036 r. lub później. Polski system energetyczny wciąż balansuje na krawędzi, rachunki za prąd nie maleją, a polityka klimatyczna UE, przyjmowana przez obecną koalicję z niemal religijnym zapałem, grozi nam blackoutami, wyższymi kosztami i rosnącą zależnością od importu. Offshore rozwija się siłą rozpędu nadanego przez poprzednią kadencję, atom stoi w miejscu, a gaz, choć kluczowy jako most energetyczny, jest traktowany jak relikt przeszłości.

To nie jest tylko sprawa jednej inwestycji w Świnoujściu. To szerszy obraz. Poprzedni rząd budował fundamenty bezpieczeństwa energetycznego – dywersyfikację, infrastrukturę, kompetencje polskich firm. ORLEN, Gaz-System, PEJ pracowały nad tym, by Polska nie była zakładnikiem ani Kremla, ani Berlina, ani brukselskich urzędników. Obecna władza z ochotą przypisuje sobie owoce tamtej mrówczej pracy. Port stoi, turbiny się kręcą, ale zasługi? „Budujemy, nie gadamy" – jak lubi mawiać premier Tusk. Tyle że fundamenty, decyzje lokalizacyjne, pozwolenia i pierwsze umowy położyli inni. A w latach 2021–2023, gdy trzeba było bronić projektu przed falą sceptycyzmu i podburzania – krytykowano lub milczano.

Dodajmy do tego los innych portowych inicjatyw w Świnoujściu. Strategiczny terminal kontenerowy, przygotowywany latami, po zmianie władzy nagle został wyhamowany lub znacząco spowolniony. To pokazuje szerszą postawę wobec inwestycji na Pomorzu – gdy pasują do nowej narracji, stają się „naszym sukcesem". Gdy nie – tracą priorytet.

Ironia jest tym większa, że ci, którzy przez lata wytykali poprzednikom „marnotrawstwo" i „nieudolność", dziś z dumą pokazują dziennikarzom efekty tamtej rzekomej „nieudolności". Port instalacyjny działa pełną parą, Polska wchodzi do europejskiej ligi offshore, a odpowiedzialność za sukces chętnie przypisują sobie ci, którzy jeszcze kilka lat temu patrzyli na te projekty z dystansem lub otwartą niechęcią.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl f6b642825d

Dyplomacja i relokacja

Marta Kaczyńska-Zielińska

Komisja Europejska zaczęła forsować mechanizm obowiązkowej relokacji po tym, jak w latach 2015–2016 w konsekwencji niemieckiej inicjatywy „herzlich willkomen" Europę zalała milionowa fala migrantów. Eurokraci uznali, że rozwiązaniem kryzysu będzie wprowadzenie procedury rozdzielania osób ubiegających się o azyl pomiędzy wszystkie państwa członkowskie według ustalonych kwot. Polska pod rządami premier Ewy Kopacz zgodziła się na udział w takim systemie. Po przejęciu władzy przez PiS stanowisko RP uległo całkowitej zmianie. Rządy Beaty Szydło, a następnie Mateusza Morawieckiego uznały, że obowiązkowe kwoty relokacyjne naruszają suwerenność państw członkowskich i nie rozwiązują problemu nielegalnej migracji. Kluczowy moment nastąpił podczas posiedzenia Rady Europejskiej 28–29 czerwca 2018 r. Polska wspólnie z Węgrami, Czechami i Słowacją konsekwentnie sprzeciwiała się wszelkim próbom obowiązkowej relokacji migrantów. Premier Morawiecki prowadził wówczas intensywne negocjacje z innymi przywódcami. Polska pod rządami Zjednoczonej Prawicy argumentowała, że skuteczniejsza od relokacji jest ochrona granic zewnętrznych UE, a poszczególne państwa powinny samodzielnie decydować o swojej polityce migracyjnej. Po wielogodzinnych negocjacjach przyjęto konkluzje Rady Europejskiej zawierające zapis, że tworzenie centrów przyjmowania migrantów oraz relokacja osób forsujących granicę UE na Morzu Śródziemnym mają się odbywać na zasadzie dobrowolności. Z punktu widzenia rządu Morawieckiego, a także całej UE, był to przełom. Polska rządzona przez PiS i koalicjantów doprowadziła do sytuacji, w której na najwyższym szczeblu unijnym zaakceptowano zasadę, że państwo nie może zostać zmuszone do przyjęcia migrantów wbrew swojej woli.

Sytuacja zmieniła się dopiero po przedstawieniu przez KE we wrześniu 2020 r. nowego projektu reformy, nazwanego paktem o migracji i azylu. W odróżnieniu od wcześniejszych propozycji nie opierał się on wyłącznie na obowiązkowej relokacji, lecz na mechanizmie określanym przez Komisję jako „obowiązkowa solidarność". Państwa członkowskie miały uczestniczyć w systemie poprzez przyjmowanie migrantów albo ich finansowanie. Polska i Węgry sprzeciwiały się również temu rozwiązaniu. W czerwcu 2023 r. Rada Unii Europejskiej na szczeblu ministrów spraw wewnętrznych osiągnęła wstępne porozumienie w sprawie dwóch kluczowych rozporządzeń: procedury azylowej oraz zarządzania migracją. W tym głosowaniu Polska i Węgry wyraziły sprzeciw. Głównym punktem niezgody był mechanizm tzw. „obowiązkowej solidarności", który przewidywał relokację migrantów lub wniesienie opłaty w wysokości 20 tys. euro za każdą nieprzyjętą osobę. Ówczesny rząd Mateusza Morawieckiego krytykował ten mechanizm, domagając się utrzymania zasady dobrowolności.

Problem migracji stał się jednym z centralnych tematów kampanii wyborczej w Polsce w 2023 r. 15 października 2023 r., równolegle z wyborami parlamentarnymi, odbyło się ogólnokrajowe referendum. Jedno z pytań brzmiało: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?". Choć zabrakło odpowiedniej większości dla uznania referendum za ważne, ponad 96 proc. głosujących opowiedziała się przeciwko przymusowej relokacji.

13 grudnia 2023 r. zaprzysiężony został rząd Donalda Tuska, a zaledwie tydzień później, 20 grudnia 2023 r., hiszpańska prezydencja i Parlament Europejski ogłosiły osiągnięcie wstępnego porozumienia w sprawie ostatecznego kształtu pięciu kluczowych rozporządzeń wchodzących w skład paktu migracyjnego. Formalne głosowanie nad paktem odbyło się 14 maja 2024 r. Polska głosowała przeciwko aktom prawnym wchodzącym w jego skład, ale nie zbudowała dostatecznie silnej mniejszości, by skutecznie zablokować przepisy. Pakt migracyjny wszedł w życie 12 czerwca br.

REKLAMA

24/0526/F

eprasa.pl f6b642825d

Walizka ks. Piotra Prusakiewicza

duchownego rzymskokatolickiego, zakonnika Zgromadzenia św. Michała Archanioła

Jestem Toruńczykiem, a moją pasją jest żużel. Toruń ma w herbie anioła i drużynę siatkarską Anioły Toruń, dlatego nie przypadkiem zostałem powołany przez Pana Boga do Zgromadzenia św. Michała Archanioła i na kazaniach mówię o aniołach. Pod koniec 2000 r. dostałem niespodziewany telefon od sióstr ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia z zaproszeniem do wygłoszenia rekolekcji o Miłosierdziu Bożym w Australii. Pełen lęku, a także zaufania podjąłem to wyzwanie. Wtedy zaczęła się moja piękna podróż, która trwa już od 25 lat. Ostatnio obliczyłem, że tylko przez 20 proc. roku śpię we własnym łóżku w Markach – resztę czasu podróżuję, przekazując orędzie Pana Boga na temat Jego miłości i szerząc kult św. Michała Archanioła. W moim 63-letnim życiu odwiedziłem ponad 42 kraje, głosząc dobrą nowinę głównie po angielsku, czasami po włosku i oczywiście po polsku, ale niejednokrotnie z tłumaczeniem na inne języki. Moje wyprawy rekolekcyjne zazwyczaj łączą się z głoszeniem Słowa, modlitwą o uzdrowienie, wylaniem Ducha Świętego, posługą sakramentalną. Uczestnicy zawierzają się św. Michałowi i przyjmują Jego szkaplerz. Pan Jezus powiedział s. Faustynie: „Pomóż mi zbawiać dusze". Dla mnie to na tyle mocne wezwanie, że każdy, nawet doświadczający niemocy, słabości i grzeszności może być narzędziem w rękach Pana Boga.

ŻUŻEL

Gdy miałem trzy lata, Tata zaczął mnie wozić rowerem na mecze żużlowe. Zakochałem się w żużlu. Zawsze kibicuję drużynie z Torunia, ale modlę się za wszystkich żużlowców i ich rodziny.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum ks. Piotra Prusakiewicza, Shutterstock

eprasa.pl f6b642825d

KAPELUSZ

Z wielu wypraw przywożę pamiątki ofiarowane przez wiernych. Ten kapelusz upamiętnia wizytę w Teksasie, gdzie byłem wiele razy i zawsze poruszała mnie wiara tamtejszych mieszkańców.

STUŁY

Szczególne, bo ozdobione wizerunkami św. Michała Archanioła, św. Faustyny oraz obrazem Jezusa Miłosiernego, a o tym głównie mówię na misjach.

KSIĄŻKI

Do rozpowszechniania zabieram książki o św. Michale Archaniele w różnych wersjach językowych. Prawdziwym bestsellerem jest „Wielkie Zawierzenie Świętemu Michałowi Archaniołowi”.

RODZINA

Zostałem wychowany we wspaniałej, kochającej się rodzinie. Doświadczyłem miłości Boskiej przez miłość ludzką, którą noszę w sercu. Zawsze modlę się za moich kochanych rodziców, dziadków. Tu, na ziemi, został mój kochany brat, z którym jestem w stałym kontakcie.

ŻELKI

Ponieważ podróże są długie, a głód żołądka trudno oszukać, żelkami uzupełniam braki kaloryczne.

RELIKWIE I SAKRAMENTALIA

Zawsze, gdy podróżuję, wożę ze sobą dar od sióstr – relikwię pierwszego stopnia św. Faustyny. Za granicą często błogosławię nimi wiernych, którzy cieszą się, że Sekretarka Miłosierdzia przylatuje do nich z Polski. Podobnie jest z niezwykłym kamieniem – relikwią z Groty Objawień św. Michała Archanioła. Wierni chętnie go ode mnie przyjmują i przechowują, tak jak błogosławiony olej święty. Te sakramentalia pomagają im w walce duchowej i modlitwie.

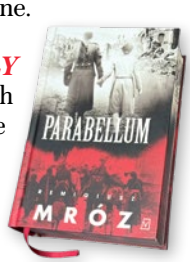

KRYMINAŁY

Podczas długich lotów słucham na słuchawkach audiobooków z konferencji religijnych, a także kryminałów, m.in. mojego ulubionego autora – Remigiusza Mroza.

„KTÓŻ JAK BÓG”

Najbliższy memu sercu jest dwumiesięcznik o aniołach „Któż jak Bóg”, który ma też wersję anglojęzyczną: „The Angels – messengers from a loving God”. Pomagam redaktorowi naczelnemu ks. Mateuszowi Szerszeniowi w rozpowszechnianiu go na całym świecie.

SZKAPLERZ

Powstał w czasie, gdy papież Leon XIII miał wizję św. Michała Archanioła i napisał modlitwę. Dziś rozpowszechniany na całym świecie jest narzędziem duchowym, przez które archanioł zapewnia ochronę, opiekę i wsparcie.

KANAŁ NA YOUTUBE

Praca w redakcji przełożyła się na utworzenie kanału na YouTube „Któż jak Bóg”. Z małego początku zrobiła się duża Boża sprawa, bo mamy już ponad 160 tys. subskrybentów. Odbiorcy czerpią z niego wielkie duchowe dobro.

PISMO ŚWIĘTE

Najważniejsza księga mojego życia. Z upływem lat ją odkrywam w coraz większym stopniu. Nie wyobrażam sobie życia bez karmienia się Słowem Bożym.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl f6b642825d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Chwalmy Chwalińską!

Jan Pietrzak

Co prawda nie dotarła na sam szczyt paryskiego turnieju, ale wicemistrzostwo Rolanda Garrosa jest wielkim sukcesem tej młodej tenisistki. Ile radości może sprawić zwycięski sportowiec! Zaraz mnie skarcą kryptofeministki, ponieważ pani Maja jest dla nich sportowczynią (analogicznie do naukowczyni). Wiele osób powie, że jest sportsmenką, ale to język obcy, a Polacy szczycą się Mikołajem Rejem sprzed pięciu wieków, który nauczał: „Niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają". Pięknie jest mieć swój oryginalny, wyrafinowany język i wspaniałych sportowców, pokazujących postronnym narodom mistrzowskie możliwości młodzieży z naszego podwórka.

Kiedy dziecięciem będąc, znalazłem się po wojnie w szkole kadetów, prowadził tam zajęcia sportowe Franek Szymura, wielokrotny mistrz Polski wagi półciężkiej, olimpijczyk. Niesamowity to był model. Snuł barwne opowieści o swoich walkach. Miał konkurenta o nazwisku Niewadził. Kiedy chciał skarcić któregoś chłopaka, wołał: „Skaczesz jak Niewadził", „Machasz łapami jak Niewadził". Wybitny bokser z pokolenia, któremu wojna przerwała karierę, tak jak całej Polsce.

Inna wielka postać... W latach 70. zdarzało się, że do Kabaretu pod Egidą przychodził Kazimierz Górski. Podczas któregoś zgrupowania przyprowadził po treningu całą drużynę, „żeby się chłopaki rozbawili bez alkoholu, bo za smutni są" – powiedział. Ponieważ występował wtedy m.in. Kazimierz Rudzki, panowie Kazimierzowie witali się szczególnie ciepło. Rudzki dawał rady, kogo trzeba mocniej kopnąć, Górski zapraszał go na trening w bramce, która jest sceną jednego aktora... itp. Minęły lata, zmieniły się ustroje, wybraliśmy się z żoną i synkiem Kubą do Grecji. Pan Kaziu, który trenował wtedy grecką drużynę, zaprosił nas na towarzyskie spotkanie tak rozrywkowe, że Kuba postanowił zostać piłkarzem. Na razie mu się nie udało, ale ma synka Tadzia, kto wie?

W pewnym okresie spotykaliśmy się z Władkiem Komarem. Bywał pod Egidą i w klubie aktorów, gdzie funkcjonował stolik sportowy, przy którym mistrzowie sceny fraternizowali się z mistrzami stadionów. Z czasem Tadek Drozda zachęcił go do występów estradowych. Radził sobie bardzo dobrze. Miał wielki kredyt u widowni.

Sportowi zwycięzcy nieraz dodawali nam otuchy. Ile radości sprawia wspaniała epopeja Roberta Lewandowskiego. A kto pamięta kolarza Królaka, który przylał Ruskiemu pompką, bo faulował? Pokochała go cała Polska. Tyczkarz Kozakiewicz pokazał w Moskwie, „gdzie się zgina łeb pingwina" i przeszedł do legendy. Iga Świątek, używając rakiety, osiągnęła tenisowe szczyty... Wielcy sportowcy rekompensują nam deficyty sukcesów. Bardzo potrzebni rekompensatorzy zbiorowego samopoczucia. Zachwycająca umiejętnościami, gracją, oryginalnością Maja Chwalińska podniosła nam poziom optymizmu o wiele stopni! Dziękuję!

YouTube: „Jan Pietrzak na Rencie"

Papież i Wieża Jezusa

Samuel Pereira

Hiszpania, kraj targany wewnętrznym konfliktem politycznym, przeżywa w ostatnich dniach duchowe święto. Wizyta papieża Leona XIV w. na Półwyspie Iberyjskim przypadła na okres gorącej debaty ideologicznej i sporu o politykę migracyjną. Temat ten jest dla Hiszpanów o tyle trudny, że obywatele, dotąd otwarci na przyjmowanie osób innych narodowości, zostali postawieni przez własny rząd przed nie lada wyzwaniem. Niecałe dwa miesiące temu hiszpański gabinet zatwierdził przepisy, które umożliwiają uregulowanie statusu ok. 500 tys. imigrantów przebywających w tym kraju nielegalnie. Premier Pedro Sánchez nazwał to „uznaniem rzeczywistości", w której żyją, ale jego przeciwnicy, w tym setki tysięcy protestujących, widzą w tym raczej kreowanie przyszłości, której nie chcą dla siebie i swoich dzieci. Do tego dochodzi lewicowy kurs w tym kraju, który paradoksalnie wzmacnia prawicę. To o tyle ciekawe, że w państwach iberyjskich dotąd kojarzyła się ona z autorytaryzmem, a dziś staje się ostoją normalności.

Z pewnością Ojciec Święty brał pod uwagę te wszystkie aspekty – wie, do jakiego kraju i jakiej rzeczywistości przybył. Podjął to ciężkie wyzwanie i w mojej ocenie zdał ten trudny dla niego „egzamin". A w czasach, gdy polityka próbuje zawłaszczyć każdą przestrzeń życia publicznego, szczególnie trudno jest mówić językiem, który nie będzie odczytywany jako głos jednej ze stron sporu. Papież nie przyjechał jednak po to, by uczestniczyć w politycznych gierkach. Nie opowiadał się po stronie rządu ani opozycji. Zrobił coś znacznie trudniejszego – przypomniał o sprawach, które powinny znajdować się ponad bieżącymi sporami. I zjednał tym Hiszpanów, w tym rzeszę młodych. Symbolicznym momentem wizyty była msza święta w bazylice Sagrada Família oraz poświęcenie Wieży Jezusa, która stała się najwyższą wieżą kościelną świata. Trudno o bardziej wymowny obraz. Czy będzie tylko symbolem?

eprasa.pl f6b642825d

Kolejowy Szlak Bursztynowy coraz bliżej

W tym tygodniu pierwsi pasażerowie mogą ponownie korzystać z połączeń kolejowych na odcinku Nowy Sącz–Marcinkowice. Dla mieszkańców Sądecczyzny to długo wyczekiwany moment, ale jego znaczenie wykracza daleko poza granice regionu. To kolejny etap realizacji projektu Podłęże–Piekiełko – największej inwestycji kolejowej w Małopolsce od zakończenia II wojny światowej i jednej z największych inwestycji infrastrukturalnych realizowanych obecnie w Polsce.

Dopiero rząd Zjednoczonej Prawicy potraktował ten projekt jak strategiczny priorytet. Od początku naszych rządów rozwój kolei był jednym z filarów polityki inwestycyjnej państwa. Wiedzieliśmy, że nowoczesna Polska potrzebuje nie tylko autostrad i dróg ekspresowych, lecz także szybkich połączeń kolejowych, które będą napędzać rozwój gospodarczy i przeciwdziałać wykluczeniu komunikacyjnemu regionów.

Uruchomienie ruchu na trasie Nowy Sącz–Marcinkowice jest ważnym symbolem, ale przede wszystkim namacalnym dowodem skuteczności wieloletnich działań. Zanim na plac budowy wjechał ciężki sprzęt, konieczne były lata przygotowań projektowych, decyzji środowiskowych, wykupów gruntów, zabezpieczania finansowania oraz postępowań przetargowych. Te kluczowe działania zostały wykonane za rządów premier Beaty Szydło i premiera Mateusza Morawieckiego.

Skala przedsięwzięcia jest imponująca. W ramach wartej ok. 17 mld zł inwestycji powstanie ponad 40 obiektów inżynieryjnych, w tym 16 tuneli kolejowych o łącznej długości ponad 31 km. Tunel w rejonie Mordarki będzie miał 3,7 km długości i stanie się najdłuższym tunelem kolejowym w Polsce. Powstaną także potężne estakady, mosty i dziesiątki bezkolizyjnych skrzyżowań, które na trwałe zmienią komunikacyjne oblicze regionu.

Podłęże–Piekiełko to jednak coś więcej niż regionalna inwestycja. Po jej ukończeniu podróż z Nowego Sącza do Krakowa oraz z Krakowa do Zakopanego skróci się do mniej niż godziny. To część Korytarza Bursztynowego łączącego Bałtyk z Adriatykiem i jeden z ważnych projektów Inicjatywy Trójmorza. Historyczny Szlak Bursztynowy wreszcie staje się rzeczywistością XXI w.

Dlatego warto pamiętać o faktach. Dzisiejsze efekty nie wzięły się znikąd. Są rezultatem strategicznych decyzji podjętych wiele lat temu. Tym bardziej niezrozumiałe jest to, że obecny rząd próbuje przedstawiać te inwestycje jako własne osiągnięcie, jednocześnie ograniczając ambitne plany kolejowe związane z CPK.

Cieszmy się z kolejnego etapu tej inwestycji, ale pamiętajmy również, kto miał odwagę podjąć decyzje, dzięki którym wielka wizja połączenia północy i południa Europy staje się faktem.

Arkadiusz Mularczyk

Warto przejść przez te drzwi

Z Januszem Kruciński, aktorem teatralnym i dubbingowym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

30 lat temu po raz pierwszy śpiewająco wszedł pan na scenę. Rok później na Zielone Wzgórze?

Janusz Kruciński: Rzeczywiście. Działo się to w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Wtedy zagrałem Gilberta, teraz (w Teatrze Muzycznym Roma) – Mateusza. I szczerze mówiąc, miło patrzy mi się na ten upływ czasu. W dobie pogoni za młodością, bycia wiecznie pięknym i „wyprasowanym", trochę siwych włosów i zmarszczek czy parę ról, które już minęły, wcale nie blokuje otwierania innych drzwi. Tylko trzeba (i warto) przez nie przejść.

Fot. Karol Mańk/Teatr Muzyczny Roma

Trzy dekady na scenie. Liczył pan wyśpiewane postaci, a może tylko te przełomowe?

Mateusz jest 16. rolą, w której umieram. Chyba staję się specjalistą od scen odchodzenia. A na poważnie, w każdej roli staram się odnajdywać coś przełomowego; coś, co daje nowy napęd. Choć... znaczące przełamanie przyszło w „Pilotach", tutaj, na scenie Romy, gdzie – dotąd klasyfikowany jako amant – po raz pierwszy zagrałem pełnowymiarowy szwarccharakter. I zaczęła się nowa przygoda.

Czy są role, które za panem podążają, a może pan za nimi?

Jean Valjean, którego grałem i w Warszawie, i w Łodzi; Jekyll/Hyde (Chorzów i Poznań) czy Judasz (Poznań i Łódź), ale wielką radością jest każde spotkanie z postacią i z publicznością. W tych ciężkich czasach i rzeczywistości, w której relacje międzyludzkie obracają się w gruzy, cudownie jest robić coś, co daje oddech, a także przemyślenia. Kreować świat, w którym istnieją prawdziwe emocje, prawdziwi mężczyźni, prawdziwe kobiety, prawdziwi ludzie i prawdziwe historie. Jakkolwiek by nie były zawoalowane w scenicznej kreacji, opowiedziane światłami, mgłą snującą się po scenie, dymami czy innymi efektami.

eprasa.pl f6b642825d

Artyści a emerytura

Nie wypowiadałem się do tej pory na temat emerytur dla artystów. Może dlatego, że sam jestem już emerytem. W 1982 r., po odpracowaniu studiów inżynierskich, wybrałem niepewny zawód muzyka. Profesję dającą ogromną satysfakcję na scenie, ale bez etatu i z bardzo niepewnymi dochodami. Już wtedy miałem świadomość upływu czasu, więc z myślą o bardzo odległej starości regularnie opłacałem składki ZUS. Zdarzało się, że pożyczałem pieniądze na te opłaty. W latach 90., by ratować rodzinny budżet (hiperinflacja, zapaść na rynku pracy), wyjeżdżałem na Zachód do zwykłej, fizycznej pracy. Była to świetna szkoła przetrwania i... mobilizacji! Po powrocie skorzystałem z nowych możliwości: otworzyłem działalność gospodarczą, by lepiej sprzedawać swoje usługi „songwritera". Produkcja reklam i wydawanie własnych płyt dały mi pierwsze godziwe pieniądze. Wymagało to ciężkiej pracy i opanowania zupełnie nowych specjalności (marketing). Prosperity skończyła się wraz ze „schłodzeniem" gospodarki przez Balcerowicza. Ratowała mnie dywersyfikacja artystycznych profesji (autor, kompozytor, scenarzysta, felietonista, redaktor muzyczny i inne). Tak dotarłem do wymarzonej artystycznej emerytury i... nadal pracuję, bo praca twórcza jest moją życiową pasją.

Jeśli dziś miałbym udzielać rad młodym talentom, to sugeruję:

1. Dobrze jest mieć w zanadrzu jakieś konkretny, wyuczony fach. Na przetrwanie.
2. Nie wystarczy być „debeściakiem"! Trzeba zgłębić kulisy „szołbiznesu".
3. Z myślą o starości na bieżąco odkładać/inwestować nadwyżki finansowe.

PS Ocenianie artystów przez urzędników (polityków) wpisuje się w lewacką operację niszczenia sztuki i promowania usłużnych „tfórców". W PRL komisjom weryfikacyjnym, złożonym z wybitnych muzyków, aktorów i ludzi sztuki, przewodzili m.in. profesorowie Aleksander Bardini i Kazimierz Rudzki. I to przed tym ostatnim Czesław Niemen (uważany za ikonę powojennej popkultury) wielokrotnie oblewał egzaminy!

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

RUSZYŁA PIŁKARSKA KARUZELA, CZYLI WIELCY I MALI NA MUNDIALU

Fot. Takuya Matsumoto/Associated Press/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, POLONA.PL, LOEY FELIPE/ONZ, COMMUNAUTÉS EUROPÉENNES, JIHAN NAFIAA ZAHRI/SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl f6b642825d

27 lutego 2022 r., trzeci dzień pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą. Na przemyskim dworcu pełna mobilizacja służb, wolontariuszy i ludzi dobrej woli, którzy pomagają ukraińskim uchodźcom

Fot. Andrzej Skwarczyński

Polsko-ukraiński splot

BRONISŁAW WILDSTEIN

Oburzenia, jakie wywoła w Polsce nadanie brygadzie ukraińskiej imienia „Bohaterów UPA", należało się spodziewać. Należało się tego spodziewać, jeśli zna się polską historię i obecną politykę. Można mieć pewność, że takiej wiedzy nie ma po szeroko rozumianej stronie ukraińskiej

Decyzja Zełenskiego rozkręciła spiralę animozji, która prowadzi do fatalnych konsekwencji. Należy zastanowić się nad tym, jak z niej wyjść. Jak prowadzić długofalową politykę, która przyniesie korzyści obu naszym narodom. Najsłuszniejsze nawet oburzenia mogą prowadzić do nieprzemyślanych gestów. Doraźnie zaspokajają poczucie godności, ale powodują piętrzenie się nieporozumienia oraz wrogość. Służą też ościennym mocarstwom, którym nie na rękę jest współdziałanie Polski i Ukrainy. Sprawiają, że zapominamy, iż bezpośrednio naszej niepodległości zagraża Rosja, a Niemcy nie traktują naszego kraju podmiotowo.

MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI

Pomoc Polaków Ukrainie została szeroko doceniona u naszych sąsiadów. Pod koniec 2022 r. Centrum Mieroszewskiego opublikowało wyniki swoich szczegółowych badań. 73 proc. Ukraińców poprawiło swoją opinię o Polakach, tylko 1 proc. deklarowało do nas niechęć, a bardzo dobry stosunek – 83 proc. badanych. 72 proc. Ukraińców oceniło Polskę jako cywilizacyjnie najbliższą. Uznawali, że nasza kultura jest ciekawsza niż niemiecka, włoska czy hiszpańska. Nawet tradycyjne, obciążone negatywnymi stereotypami pojęcia, takie jak „szlachta" czy

eprasa.pl f6b642825d

„Rzeczpospolita", wydawały się je zatracać. Również sympatia Polaków do Ukraińców radykalnie wzrosła.

Pozostała atoli niezabliźniona historyczna rana. Ludobójstwo Polaków w latach 40. Problemem było to, że ogół Ukraińców nie miał o nim pojęcia. Sprawa nie była poruszana w ich edukacji ani w ogóle w przestrzeni publicznej, a w pamięci zbiorowej do pewnego tylko stopnia funkcjonowała w zachodniej Ukrainie jako mit o walce UPA o wolne państwo i lokalnych starciach z Polakami.

Egzystencjalna wojna, jaką toczą Ukraińcy, nie jest czasem, w którym jakakolwiek wspólnota byłaby gotowa rozliczać się ze swoich ciemnych kart. Powodowało to, że nawet ekshumacje polskich ofiar były blokowane jako takie, które miały wspierać putinowską wizję historii. Decentralizacja Ukrainy powodowała, że to zwykle władze lokalne wstrzymywały akcje upamiętniania zamordowanych Polaków.

Ogół Ukraińców walczących o życie nie zajmuje się tym ani nie rozumie wagi sprawy. „My bronimy swojego życia, a Polacy każą nam skupiać się na tragedii sprzed 80 lat" – tak streścić można stosunek Ukraińców do polskich oczekiwań.

Jeśli chcemy, aby nawet nasze najsłuszniejsze roszczenia były brane pod uwagę, musimy próbować zrozumieć postawę drugiej strony. A pojawili się tam politykierzy, którzy próbują zbić kapitał na antypolskości. Oczekiwania historycznej prawdy przedstawiają jako postkolonialne nastawienie Polaków, którzy usiłują narzucić Ukraińcom symboliczną dominację, sami nie rozliczając się ze swoich przewin. Dotąd nie znajdowali oni szerszego poparcia.

ANTYUKRAIŃSKI RESENTYMENT

Na dużo większą skalę i z większym sukcesem antyukraińskie postawy budowane były w Polsce. Odwoływały się do wołyńskiej traumy i usiłowały sprzedać ufundowane na niej urazy jako politykę realizmu, zgodnie z którą obrona Ukrainy przed Rosją to nie nasza wojna. Podejście takie jest absurdalne, gdyż sam Putin deklaruje, iż podbicie Ukrainy to tylko pierwszy krok do odbudowy pozycji Rosji z czasów ZSRS.

Mimo to karierę na takich posunięciach zrobiło wielu polityków i dziennikarzy, którzy w inny sposób nie potrafili zaistnieć. Bez przerwy słyszymy, ile zapłaciliśmy za pomoc Ukrainie. To tylko częściowa prawda. Owszem, nasze wsparcie w pierwszym etapie wojny było nie do przecenienia i w wymiarze militarnym kosztowało nas dużo, ale już kalkulacja ceny imigracji ukraińskiej jest czystą demagogią. W dłuższej perspektywie wejście dużej grupy bliskich nam kulturowo Ukraińców na polski rynek pracy okazuje się dla nas korzystne.

Wbrew nagłaśnianym przez media incydentom z Ukraińcami, ich liczba jest zdumiewająco mała. Nasze współżycie układa się naprawdę dobrze, co nie znaczy, że nie można go poprawić albo zburzyć.

> Egzystencjalna wojna, jaką toczą Ukraińcy nie jest czasem, w którym jakakolwiek wspólnota byłaby gotowa rozliczać się ze swoich ciemnych kart

Ponad cztery lata nierównej walki naszych sąsiadów o przetrwanie zmęczyło nas, a bezradność powoduje, iż zwracamy się przeciw ofierze. To znany mechanizm.

I przede wszystkim prezydent Zełenski swoją zagraniczną politykę postanowił oprzeć głównie na Niemcach. Polska okazała się w konkurencji z nimi dużo mniej atrakcyjna. Czy powinniśmy się dziwić?

Istotnym choć nie najważniejszym elementem tego wyboru jest zupełny brak na Ukrainie polskiej soft power. Uderza to zwłaszcza w zestawieniu z wręcz kulturową kolonizacją elit tego kraju, dokonywaną przez Berlin. Nie mamy naturalnie takich samych możliwości finansowych, mimo to byliśmy w stanie budować na Ukrainie wspierające nas ośrodki kulturalne. Ośmioletnie rządy prawicy to rezygnacja z takich działań. Istotną przyczyną była obawa utraty grupki radykalnych prawicowych wyborców, powodowanych antyukraińską fobią. W efekcie i tak zostali oni utraceni, bo nie sposób było przelicytować w antyukraińskiej furii Brauna czy niektórych polityków Konfederacji, a próby przejmowania ich haseł wzmacniały wyłącznie ich popularność. Polacy zostali bez możliwości oddziaływania na ukraińską opinię publiczną, bowiem lewicowe czy platformiane ośrodki wspierały realnie antypolską grę Berlina.

Natomiast opowieść o niewdzięczności Ukraińców budzi sprzeciw. Czy znaczy ona, że za nasze, ze wszech miar właściwe zachowanie będziemy wystawiać rachunki? Podważa to jego bezinteresowność, na którą stale się powołujemy. Każe zapominać o tym, że sprzeciw wobec rosyjskiej agresji leży w polskim najgłębiej pojętym interesie.

INNI SZATANI

Moskwa wie, że na prorosyjskich hasłach daleko w Polsce nie zajedzie. Ten sam cel może spełnić bezrefleksyjna antyukraińskość. Trudno ocenić, ile w działaniach nią powodowanych jest historycznych urazów, ile cynizmu, a ile moskiewskiej inspiracji. Z pewnością nie należy jej nie doceniać. Kiedy widzimy portale, które z niszowych stroniczek stają się znaczącymi ośrodkami, czy postacie, które z marginesu przemieszczają się do centrum życia politycznego, trudno nie podejrzewać zewnętrznego wspomagania. Zwłaszcza kiedy antyukraińskość splata się w ich wypadku w ekscentryczny węzeł z antysemityzmem, ku radości lewicy, która ma wreszcie uzasadnienie dla kojarzenia polskiej prawicy z faszyzmem.

Swoją pierwotną reakcję na rosyjską agresję, która była po prostu kompromitacją, Niemcy potrafili przekuć w sukces. Jednym ze źródeł ich przewagi jest poczucie racji stanu, czym cechują się wszystkie ich siły polityczne, które konkurują wewnątrz państwa, ale na zewnątrz występują wspólnie. Dokładnie odwrotnie niż w Polsce,

eprasa.pl f6b642825d

Pogrzeb ekshumowanych szczątków polskich ofiar zbrodni wołyńskiej na terenie dawnej wsi Puźniki w dzisiejszym obwodzie tarnopolskim na zachodzie Ukrainy, 6 września 2026 r.

Fot. PAP

gdzie premier Tusk po ekscesie Zełenskiego publicznie zrównał go z prezydentem Nawrockim. Później zmienił zdanie. Przejrzał sondaże.

Jakub Maciejewski, który wiele czasu spędził jako korespondent wojenny na ukraińskim froncie, wskazał rolę Martina Jägera, ambasadora RFN w Kijowie. Prosto z tej placówki przeskoczył on na stanowisko szefa niemieckiego wywiadu. Ambasador ten roztoczył przed ukraińskim rządem wizję szybkiego przystąpienia do UE. Z zakulisowych rozmów wynika, że niemiecki dyplomata (?) ostrzegał Ukraińców przed polskimi władzami, które chcą się temu przeciwstawić. To wtedy wicepremier ukraińskiego rządu atakuje Polskę za protesty w sprawie importu ukraińskiego zboża, a Zełenski występuje z antypolską mową w ONZ. Wszystko to dzieje się przed polskimi wyborami do parlamentu w 2023 r. Bezpośrednio po utracie władzy przez PiS przestajemy słyszeć o przyjęciu Ukrainy do UE.

W Polsce zachowanie ukraińskich władz prezentowane jest jako wyraz „niewdzięczności". Eksponują to ci, którzy szczycą się swoim politycznym realizmem. Czy jednak możemy mieć pretensje do przywódcy kraju, który walczy o istnienie i szuka silniejszych partnerów? Możemy oczekiwać, że będzie próbować nie przekreślać współpracy ze strategicznym sojusznikiem, którym jest dla Ukrainy Polska. Ale w stanie wojny o przetrwanie można zrozumieć, że lider myśli w krótkiej perspektywie.

> Opowieść o niewdzięczności Ukraińców budzi sprzeciw. Czy znaczy ona, że za nasze, ze wszech miar właściwe zachowanie będziemy wystawiać rachunki? Podważa to jego bezinteresowność, na którą stale się powołujemy

OBURZENIE I HISTERIA

Z tego, co wiem, inicjatywa nadania oddziałowi imienia UPA wypłynęła od żołnierzy, którzy chcą wpisać się w tradycję walki o niepodległość z Rosją. O Wołyniu nic nie wiedzą. A Zełenski robi wszystko, aby zmobilizować Ukraińców, którzy coraz szerzej unikają poboru do wojska i coraz trudniej im znosić trudy wojny. Pisała o tym Agnieszka Romaszewska w bardzo sensownym tekście na Facebooku.

Przyjęcie, że Zełenski rozkręcił awanturę, aby ukryć łapowniczą aferę, jest mało prawdopodobne. Romaszewska uznaje, że w ogóle oskarżenie go o generowanie korupcji jest niesprawiedliwe. Odziedziczył on jej mechanizmy, które zostały wbudowane w ustrój Ukrainy. Jej likwidacja wymaga gruntownej reformy państwa, a wojna nie jest czasem na to. Antykorupcyjne centrum, które narzuciły Kijowowi Stany, to w rzeczywistości ośrodek nacisku na władze ukraińskie. Zjawiska te analizował znawca spraw ukraińskich Piotr Kulpa.

Polacy mają prawo czuć się oburzeni. Ich reakcja przekroczyła jednak racjonalne miary i nakręca się coraz bardziej zwłaszcza po prawej stronie sceny politycznej. Każdy prawicowy polityk i nieomal każdy dziennikarz czuje się w obowiązku zabrać głos i przelicytować dotychczasowe oświadczenia i apele. Wyłowienie suma przez Ukraińców urasta do *casus belli*. „Minister Tuska poucza prezydenta ws. Orderu. Sam ma ukraińskie pochodzenie!" – czytam tytuł w dużym portalu i zastanawiam się, jak głęboko zaczniemy sprawdzać pochodzenie osób publicznych w naszym kraju.

Tymczasem na Ukrainie, gdzie dotąd wbrew naszym wyobrażeniom mało zajmowano się polskimi sprawami, po raz pierwszy na taką skalę obudziła się reakcja zwrotna. Pisze o tym na portalu Fronda.pl rozumny ukraiński komentator, Mikołaj Susujew.

„[...] sytuację odebrano jako próbę tworzenia nacisku z zewnątrz i wskazywanie Ukraińcom, jak im układać życie wewnątrz ich państwa [...] osoby, które w ogóle nie interesowały się nigdy tematem i nie wiedzą, o co chodzi z tym Wołyniem i UPA, odruchowo wspierają teraz Zełenskiego, bo »nikt nam nie będzie kazał, co mamy robić«. Jestem pewien, że za chwilę dostaniemy 90 proc. poparcia dla decyzji Zełenskiego.

To ma ten skutek, że przestrzeń dla merytorycznej dyskusji, w ramach której takie osoby jak ja jeszcze próbowały

eprasa.pl f6b642825d

16 czerwca 2022 r., skutki ataku rakietowego na Bachmut. Obecnie z całego miasta pozostały jedynie zgliszcza

po stronie ukraińskiej tłumaczyć polski punkt widzenia na sprawę... wyparowała".

Czy zależy nam, aby rozliczyć ludobójstwo wołyńskie, czy wykrzyczeć swoje uzasadnione oburzenie?

POLITYKA NA POWAŻNIE

Z Ukrainą łączy nas nie tylko powikłana historia. Jesteśmy zagrożeni z obu stron przez dwa narody, które nie wyrzekły się swoich imperialnych ambicji. Jeśli nawet Rosja przegra tę wojnę, to nieroztropne byłoby wykreślać ją z rejestru naszych niebezpieczeństw. Jeśli wygra, lepiej sobie nie wyobrażać. Friedrich Merz mówi wprost o światowych projektach Niemiec. Należy zastanowić się, z jakimi konsekwencjami wiąże się to dla Polski. Nie widać alternatywy dla strategii Piłsudskiego, którą po wojnie kontynuował Jerzy Giedroyc.

Pod hasłem „realizmu" oferowana jest nam infantylna polityka rodem z TikToka. Każda porażka we wzajemnych relacjach, każde napięcie prezentowane jest jako definitywny koniec projektu Międzymorza. W rzeczywistości działania na rzecz takich rozwiązań należy liczyć w dekadach, a każda rozumna polityka zagraniczna wykracza poza doraźne wydarzenia i związane z nimi nieuniknione problemy. Giedroyc potrafił wpłynąć na polskie postawy w dużo trudniejszych warunkach. Jeśli nawet pomysł Międzymorza okaże się nie do zrealizowania, nie znaczy to, że skazani jesteśmy na antagonizm. Obrażone na siebie Polska i Ukraina to scenariusz korzystny wyłącznie dla Rosji i Niemiec.

> Obrażone na siebie Polska i Ukraina to scenariusz korzystny wyłącznie dla Rosji i Niemiec

Rozliczenie tragedii wołyńskiej wymaga poprawnych stosunków między naszymi narodami. Musimy zastanowić się, jak dotrzeć do Ukraińców z przerażającą wiedzą o tych wydarzeniach. Powinno być to działanie równoległe do polityki bieżącej. Bo wprawdzie historia jest sprawą fundamentalną, ale należy myśleć również o przezwyciężeniu jej obciążeń. Ci, którzy tego dokonali – jak Niemcy i Francja – pokazują korzyści z takiego podejścia.

Czy zresztą, chcąc rozliczenia, sami występujemy z inicjatywami w tej mierze? W żadnym wypadku nie chcę zrównywać naszych rachunków krzywd, niemniej mamy także winy wobec Ukraińców. Pacyfikacje dokonywane w latach 30. nie należą do chwalebnych kart naszej historii. Do teraz nie mogę zrozumieć, dlaczego IPN nie potępił komunistycznej czystki etnicznej jaką była akcja „Wisła". Jestem członkiem Kolegium tej instytucji, znam prawne uwarunkowania, które w tym przeszkadzały, mimo to nie uważam, aby nie były one do przezwyciężenia. To tylko przykłady.

Tymczasem po prawej stronie na autorytet w sprawach ukraińskich wyrósł komunistyczny aparatczyk Leszek Miller, który zawsze dbał o moskiewskie interesy w Polsce. Swojego czasu został za to wynagrodzony sowitą „pożyczką". Szerzej piszę o tym w felietonie w tym numerze „Sieci".

Nie oczekujmy, że Ukraińcy szybko przyjmą naszą prawdziwą wersję tragedii wołyńskiej. To zadanie na lata. Tym bardziej więc, jeśli tego chcemy dokonać, podejmujmy odpowiedzialne, długofalowe przedsięwzięcia.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl f6b642825d

Gra na emocjach

Stosunki z Ukrainą przesłoniły wszystkie inne sprawy w Polsce. Jakby nie było innych problemów i zagrożeń niż tylko psujące się relacje z naszym południowo-wschodnim sąsiadem. Sprawdza się stare powiedzenie, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. Kłopot w tym, że zbyt wiele polskich reakcji to wybuch emocji, a nie racjonalna polityka

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl f6b642825d

PIOTR GURSZTYN

To wszystko szczera prawda: przez ostatnie trzy lata Wołodymyr Zełenski wykonał wiele nieprzyjaznych gestów wobec Polski. Jest też kolejnym prezydentem Ukrainy, który dla swoich partykularnych interesów gra kartą banderowską. On, rosyjskojęzyczny postsowiecki Żyd o liberalnych poglądach i powiązaniach z liberalną międzynarodówką, dołączył do propagowania kultu UPA. Formacji, który spełnia wszystkie kryteria, aby nazywać ją faszystowską, szowinistyczną i przy okazji antysemicką w ludobójczym sensie tego słowa. Jest też smutną prawdą, że kult ten staje się na Ukrainie coraz bardziej popularny. Jeszcze kilka lat temu był obecny tylko w zachodnich obwodach. Gdzie indziej traktowano go jako coś nieswojego albo wręcz wrogiego. Wskutek działań ukraińskich władz państwowych, w tym Zełenskiego, zyskuje akceptację także na tych terenach Ukrainy, które nie miały żadnych związków z UPA.

Szczególnie rozczarowujące jest to, że strona ukraińska doskonale zna nastawienie Polski – zarówno oficjalnej, jak i całego społeczeństwa – do UPA oraz jej przywódców ze Stepanem Banderą na czele. Nasze negatywne stanowisko jest prezentowane od wielu lat, więc nie ma mowy o jakimś braku świadomości. Szczególnie wśród ukraińskich elit. W tym świetle decyzja Karola Nawrockiego o odebraniu Orderu Orła Białego (OOB) prezydentowi Ukrainy musi być oceniona jako reakcja właściwa i proporcjonalna, choć rzeczywiście jest to krok wyjątkowy. Dodajmy jeszcze, że Zełenski podjął decyzję o nadaniu jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA w momencie, gdy wiedział, iż wkrótce będzie współgospodarzem szczytu poświęconego odbudowie Ukrainie, który ma się odbyć w Gdańsku. „Brak stanowczej reakcji ze strony Polski bardziej nakręcałby nastroje antyukraińskie niż proporcjonalna odpowiedź" – przytomnie zauważył poseł partii Razem Maciej Konieczny, którego trudno podejrzewać o granie w jednej orkiestrze z prawicą i prezydentem Nawrockim.

ERUPCJA WROGOŚCI

Wszystko by było dobrze, gdyby na tym się skończyło. Przynajmniej na tym etapie. Zełenski wykonał wrogi gest, Polska odpowiedziała adekwatnie, piłka jest po stronie ukraińskiej. A celem obu stron powinna być deeskalacja tego konfliktu. Tymczasem zaczęły rządzić emocje. Niemożliwe do uniknięcia, zrozumiałe, ale jednak bezsensowne. Widać erupcję wrogości po obu stronach, i to niestety na każdym poziomie. Od elit, przez media, aż do przeciętnych Polaków i Ukraińców, wyzywających się nawzajem w mediach społecznościowych. Jest pewien niuans, że po polskiej stronie widać grupę znanych ludzi, którzy w intencji załagodzenia sporu próbują relatywizować zbrodnie UPA, ale w istocie to bardziej folklor niż realna siła opiniotwórcza. Irytująca, ale absolutnie oderwana od nastrojów większości polskiego społeczeństwa.

Odpowiedzią Polski nie mogą być przejawy bezmyślnego szowinizmu, a te widać zbyt często. Polska opinia publiczna, a wraz z nią świat polityki, weszły pod wpływem tych emocji w niebezpieczny dryf. Szczególnie dotyczy to prawicy. Ta ze swej istoty jest bowiem czuła na sprawy symboliczne, co w ogóle stanowi fundament tożsamości ideowej tego bardzo szerokiego nurtu. Źle jednak jest, gdy wrażliwość w tej dziedzinie stwarza możliwości manipulowania emocjami na masową, wielomilionową skalę.

Teraz wystarczy jakakolwiek antypolska prowokacja na Ukrainie, aby nasza opinia publiczna przestała widzieć cokolwiek innego niż tylko ten temat. Z punktu widzenia Berlina, Brukseli, a także Moskwy wystarczy mieszać w tym kotle, a potem przeprowadzać rzeczy, na które społeczeństwo polskie by się nie zgodziło, gdyby je tylko zauważyło. Zapłacenie jakiemuś prowokatorowi za przewrócenie kilku krzyży na Cmentarzu Orląt to grosze, a „stopa zwrotu" będzie ogromna, bo cała Polska zapłonie z oburzenia i skupi się tylko na tym przez bardzo długi czas. W czasie kryzysów strzeżcie się prowokatorów... – aż się prosi o taką trawestację znanych słów wielkiego Polaka.

O CZYM SIĘ NIE MÓWI

Sarkastycznie można stwierdzić, że premier Donald Tusk powinien wykupić jakiś „abonament" u władz ukraińskich lub kogoś innego w tamtym kraju, aby co pewien czas drażnili oni polską opinię publiczną. Obecna sytuacja jest wieloznaczna i ryzykowna dla Tuska. Z początku przegapił nastroje i zaatakował – w swym zwykłym odruchu – prezydenta Nawrockiego. Potem jednak uznał, że królują słupki sondażowe i zaczął potępiać Zełenskiego. Później wykonał ukłon w stronę liberalno-lewicowego salonu i zaczął wzywać obu prezydentów do dialogu. To jednak tylko znak, że musi lawirować i że zdarzają mu się przy tym błędy, ale *per saldo* osiąga zauważalny zysk. Temat jego bardzo słabych rządów na wiele dni całkowicie zszedł z agendy. Kilka zdarzeń, które normalnie rozgrzałyby debatę, przeszły całkowicie niezauważone.

Przykład pierwszy: oburzenie gen. Jarosława Gromadzińskiego na informację, że z kredytu SAFE kupowana jest partia 300 tys. hełmów. To dobitny znak katastrofy finansów publicznych, czyli tego, że SAFE to nie są żadne dodatkowe pieniądze – jak je reklamuje rząd – ale łatanie dziury budżetowej. „W budżecie brakowało pieniędzy na wyposażenie żołnierzy? Trzeba było sięgać po miliardy pożyczki?! Jak tak dalej pójdzie, to podpiszecie umowę na zakup 10 mln sztuk papieru toaletowego!" – drwił nie mniej oburzony gen. Leon Komornicki.

Teraz politycy PiS w ramach kontroli poselskich próbują zwrócić uwagę na ten temat. Na razie słabo to wychodzi, bo ich własny elektorat nadal jest skupiony na temacie ukraińskim, choć wcześniej żywo interesował się SAFE.

Przykład drugi: ani jeden Polak nie został przedstawicielem dyplomatycznym UE w ramach jej Służby Zewnętrznej. Niesłychana sprawa, bo za czasów

Autopromocja

eprasa.pl f6b642825d

Order Orła Białego, najwyższe polskie odznaczenie cywilne

rządów PiS – rzekomo izolowanych w Unii – co rusz ktoś z Polski obejmował jedną z 33 placówek. Teraz, za czasów Tuska, który chwalił się tym, że nikt go nie ogra w Unii, ani jeden Polak nie objął tego stanowiska. Także ta sprawa przeszła bez echa, bo opinia publiczna była bardziej zajęta sprawą suma wyłowionego przez jakiegoś ukraińskiego menela.

SĄ SPRAWY WAŻNIEJSZE

Sprawy ukraińskie w kontekście polityki historycznej oraz nieprzyjaznych nam działań ekipy Zełenskiego – mimo wszystko – nie są pierwszorzędne dla polskiej polityki. Są bardzo ważne, lecz nie najważniejsze. Dzisiaj brzmi to jak herezja, ale rozważmy to na spokojnie. Relacje z Rosją i tak są skrajnie wrogie, właściwie blisko progu wojny. Tu interes Polski i Ukrainy – miejmy nadzieję – nadal jest zbieżny. Ale mamy kolejny problem strategiczny. To scenariusz stopniowej utraty suwerenności wskutek centralizacji Unii i dominacji w niej Niemiec. Tu Ukraina może iść na pasku Berlina, ale jej rola i tak będzie drugorzędna.

Kolejnym problemem jest nasza polityka wewnętrzna i nadchodzące wybory parlamentarne. Miliony wyborców, gdy pójdą do urn, to jednak zagłosują, kierując się innymi motywacjami niż obecne wzmożenie. Jednak choćby częściowe odwrócenie uwagi od bieżących bolączek – związanych z gospodarką, służbą zdrowia, bezrobociem – służy rządzącym, a nie prawicy.

Wygląda na to, że szybko wyczuł to Jarosław Kaczyński, który tak mówił o odebraniu OOB Zełenskiemu: „To ostra reakcja, ostre przedsięwzięcie dyplomatyczne, ale nie powinniśmy iść dalej. Słyszałem już propozycje, żeby przedstawić daleko idące ultimatum – to nie miałoby praktycznego znaczenia i sprawie by nie pomogło. Powinniśmy dążyć do tego, choć to trudne i może się nie udać, żeby Ukraina wygrała wojnę, a po drugie, żeby się zmieniła, bo procesy banderyzacji tam w tej chwili nie słabną, tylko raczej się nasilają” – stwierdził w niedawnym wywiadzie dla Wirtualnej Polski.

Prezes PiS ściągnął cugle frontmanom swojej partii, bo ci nader chętnie rozpoczęli ostrą debatę po decyzji Zełenskiego. Pierwsza obecnie twarz PiS, czyli Przemysław Czarnek, używał ostrych słów. Do pewnego stopnia można go zrozumieć. Jest politykiem z Lubelszczyzny, a tam ta tematyka jest żywa z powodów historycznych. Dostał też zadanie zablokowania odpływu wyborców do obu Konfederacji. Teraz jednak, w czasie wiecu w Gorzowie, kładł akcenty nieco inaczej: „To, co zrobił pan Zełenski, nazywając ważną jednostkę wojskową na Ukrainie imieniem bohaterów UPA, to jest po prostu świństwo. To szaleństwo antypolskie i antyukraińskie i to jest zupełnie oczywiste. Antyukraińskie, bo rozmawiam także z Ukraińcami. Oni też są wściekli na to, co się dzieje na Ukrainie i na decyzje podejmowane przez władze ukraińskie, właśnie wbijające klin”.

RYWALIZACJA Z KONFEDERACJĄ

Gdyby Czarnek i jego inni koledzy szli dalej w retoryce krytycznej wobec Zełenskiego, to mogliby wpaść w pułapkę kwestionowania osiągnięć własnych rządów. Takie niebezpieczeństwo istniało, bo w PiS jest widoczna tendencja specyficznego ścigania się z Konfederacją. Takiego, w którym politycy Prawa i Sprawiedliwości próbują przejmować pewne cechy konfederackiej retoryki. Wiadomo, że trochę takiej rywalizacji musi być, ale tu zostały zachwiane proporcje. Rywalizacja może dotyczyć kilku punktów w sondażach, ale jaki jest sens, aby PiS udawało, że jest podróbką Konfederacji?

Konfederacja rozsiewa wokół siebie urok młodości i nowości (choć nie jest to nowa partia), a PiS jest na tym tle ukazywane jako schodząca formacja wyliniałych kotów. Niektórzy działacze PiS sprawiali wrażenie, że ulegają temu szantażowi, choć to ich partia wygrała kilkanaście kampanii wyborczych, miała trzech prezydentów, kilku premierów, a po za tym rządzi w wielu samorządach. To cechy, których Konfederacja w ogóle nie spełnia i nie wiadomo, czy spełni i w jakim zakresie. Bo nie widać, aby przeskoczyła pułap swojego stałego od lat poparcia.

To klasyczna sytuacja, gdy ogon próbuje machać psem. Szczególnie w zakresie polityki międzynarodowej, a to dotyczy również Ukrainy. Politycy Konfederacji z ogromną pewnością siebie pouczają innych, szczególnie PiS, jaką to skuteczną politykę zagraniczną należy prowadzić. Sami nigdy

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl f6b642825d

nie mieli okazji jej realizować, ale najczęściej używanym przez ich określeniem jest słowo „twarda". Uprawianie takiej twardej polityki zalecają ludzie z Konfederacji. Twardej nie tylko wobec Ukrainy, lecz także wobec wszystkich, łącznie z USA. Nie znamy przy tym ich odpowiedzi na pytanie, co wtedy, gdy ci wszyscy inni będą twardzi wobec nas. Co zrobi wówczas Konfederacja? Bo jednocześnie jest to partia, która nie ma pomysłu na jakieś sojusze. Nawet najbardziej rozsądny z konfederatów Krzysztof Bosak mówił kilka miesięcy temu: „Fałszywa alternatywa »Europa albo Ameryka« regularnie wraca w debacie publicznej. To myślenie szkodliwe z punktu widzenia interesu państwa. Państwo, które ogranicza się do jednego wektora współpracy, samo osłabia swoją pozycję. Racjonalna polityka powinna opierać się na dywersyfikacji relacji i budowaniu możliwie szerokiego pola manewru".

Ale z kim konkretnie? I czy Konfa jest z kimś choć wstępnie dogadana? Wygląda na to, że z nikim. Na dodatek chyba najbardziej znany eksperyment Konfederacji, czyli nawiązanie formalnych kontaktów z AfD, nie wygląda zbyt obiecująco, mimo że Sławomir Mentzen zachwalał to rozwiązanie: „AfD jest najbardziej propolską partią niemiecką".

W sprawach międzynarodowych Konfederacja pozostaje partią happeningu i doraźnej pogoni za wewnętrzną popularnością. Stosunek np. Mentzena do Ameryki i prezydenta Trumpa w zasadzie nie różni się od tego, co reprezentują Donald Tusk i Włodzimierz Czarzasty. „Czekam na fikołki naszych ekspertów i polityków, tłumaczące, że atak USA na Wenezuelę i atak Rosji na Ukrainie nie podchodzi pod żadną rubrykę!" – pisał po obaleniu Nicolása Maduro. Brał też w obronę Czarzastego: „To jest nasz postkomunista i żadni Amerykanie nie będą nam mówić, kto ma być marszałkiem polskiego Sejmu".

Te słowa są nieprawdą, bo ambasador Tom Rose (ani nikt inny) nie żądał zmiany marszałka. Rose napisał, że nie będzie z nim utrzymywał stosunków. Samo zaś wystąpienie Czarzastego miało charakter prowokacyjny i nie wiązało się z obroną żadnych polskich interesów.

NIEBEZPIECZNE MANIPULACJE

Słuszne oburzenie z powodu politycznych gierek prezydenta Zełenskiego zbyt często przeradza się w histerię, a ta jest dobrym podglebiem dla wszelkiego rodzaju manipulacji. Bo jak inaczej wytłumaczyć nagłą sympatię, którą część prawicy zaczęła żywić względem Leszka Millera? Wielu ludzi jest ślepych na to, że Miller wali w Ukrainę, ale nie jest skłonny do krytyki Rosji czy Niemiec. Szczwany postkomunista, stary wyjadacz prowadzi swoją grę, być może po to, aby dostać miejsce na liście wyborczej Konfederacji Korony Polskiej.

> Sarkastycznie można stwierdzić, że premier Donald Tusk powinien wykupić jakiś „abonament" u władz ukraińskich lub kogoś innego w tamtym kraju, aby co pewien czas drażnili oni polską opinię publiczną. Dlaczego? Bo temat jego bardzo słabych rządów na wiele dni całkowicie zszedł z agendy

W Sejmie doszło do absurdalnej awantury, gdy poseł Janusz Kowalski domagał się informacji na temat pochodzenia etnicznego urzędników państwowych: „Złożyłem zapytanie dotyczące ukrainizacji w administracji publicznej".

Piłka została wystawiona prosto pod nogi przeciwników politycznych. Dzięki temu mogli brylować najwięksi cynicy i obłudnicy pokroju Włodzimierza Czarzastego i Donalda Tuska, strojący się teraz w szaty obrońców wolności i praw człowieka.

Miejsce w debacie publicznej zdobyła równie absurdalna bajka o ukraińskim pochodzeniu wiceministra Andrzeja Szeptyckiego. Uciął ją krótki research w internecie. Z jednej strony można znaleźć informację, że w czasie studiów obecny wiceminister był członkiem korporacji Arkonia, a to organizacja o sympatiach raczej endeckich. Można więc powiedzieć, że polityk Polski 2050 prędzej jest atencjuszem i oportunistą niż Ukraińcem. Z drugiej strony można się też dowiedzieć, że rodzina Szeptyckich jest spolonizowana od XVI w., a to, że wywodził się z niej słynny metropolita unicki (skądinąd ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim), jest dobrze opisane przez historyków, łącznie z jego ewolucją w kierunku utożsamienia się z narodowymi aspiracjami wiernych Cerkwi greckokatolickiej.

DUMA I STRACH

Relacje z Ukrainą będą coraz trudniejsze. Ale histeria nie jest odpowiedzią na to wyzwanie. Stanowi wyraz strachu pewnej części polskiego społeczeństwa. Paradoks polega na tym, że jeszcze niedawno pragnęliśmy wielkich wyzwań cywilizacyjnych. Budowy infrastruktury globalnej. Czujemy dumę ze skoku rozwojowego naszej armii. Pozytywnie przyjmowano wizje budowy struktur regionalnych – Międzymorza czy Trójmorza. Polska ma potencjał, aby być liderem regionalnym. Nawet musi podjąć się tej roli, bo inaczej spadnie do podrzędnego statusu niemieckiej montowni – czyli tego, co funduje nam obecny rząd. To jednak wymaga odwagi większości społeczeństwa. Rozmachu i szczodrości, które są ważnym elementem soft power. Czyli np. dalszego utrzymania wypłaty 800+ dla tych ukraińskich dzieci, których rodzice pracują u nas. Zwłaszcza że w finale bycie liderem opłaca się bardziej – także finansowo – niż pozostawanie państwem drugorzędnym.

eprasa.pl f6b642825d

Fot. LESZEK ŁOZYNSKI/REPORTER

Pomnik w złej intencji

W koncepcji Tuska postać Tadeusza Mazowieckiego świetnie nadaje się do rozpętania kolejnej wojny. Bo pierwszy premier wciąż budzi emocje, a pamięć o jego rządach raczej dzieli, niż łączy Polaków

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W święto Bożego Ciała, w samym środku kryzysu polsko-ukraińskiego, Donald Tusk wyskoczył z kolejną propozycją. Nie chodziło mu jednak o Ukrainę. Nie chodziło też o ratowanie systemu ochrony zdrowia ani o zatrzymanie wzrostu cen energii. Nie wspomniał także o upadku edukacji, uciekających miejscach pracy ani o zapaści demograficznej. To wszystko są problemy, z którymi Tusk nie chce mieć nic wspólnego. Dlatego woli zająć Polaków zupełnie innymi tematami, które pozwolą odwrócić uwagę opinii publicznej od jego beznadziejnych rządów.

Tak właśnie można tłumaczyć pomysł odsłonięcia pomnika Tadeusza Mazowieckiego. Według koncepcji Tuska, ogłoszonej w internetowym filmiku, monument ma stanąć przed Kancelarią Premiera w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Okazją do budowy pomnika jest stulecie urodzin Mazowieckiego, które będziemy obchodzić w kwietniu przyszłego roku.

eprasa.pl f6b642825d

STARE UPIORY

Nie oszukujmy się jednak – nie chodzi przecież o żaden jubileusz. W przyszłym roku mamy wybory i Tusk szuka nowego paliwa, aby podgrzać emocje w społeczeństwie. Odsłonięcie pomnika ma być wstępem do hucznego świętowania obchodów rocznicy 4 czerwca 1989 r., w trakcie których Tusk chce zorganizować wielki marsz swoich zwolenników.

Ich mobilizacja ma nastąpić wokół hasła obrony III RP, co w sumie nie jest niczym nowym, za to po raz kolejny wskazuje, że obecna ekipa, odwołując się do dość już zamierzchłej przeszłości, nie ma żadnego pomysłu na Polskę. Jedyną ideą Tuska i jego otoczenia jest nieustanne wyciąganie na światło dzienne starych upiorów, aby bez końca straszyły ludzi i wywoływały konflikty.

Może to być atrakcyjne dla wyborców w podeszłym wieku, którzy do dziś żyją dawnymi sporami, być może także dla części tych w średnim wieku, którzy są beneficjentami transformacji lat 90., ale nie ma tu żadnej oferty dla młodszego pokolenia, żadnych ambicji, by coś w Polsce zmienić, żadnych perspektyw na przyszłość.

Tusk po raz kolejny pokazuje w ten sposób, że jest już mentalnym dinozaurem, człowiekiem z innej epoki, a jego rządy stopniowo osuwają się w bezpłodną gerontokrację. Obsesyjnie toczy starą wojnę, której od 20 lat nie może wygrać i nie chce się z tym pogodzić. W dzisiejszym świecie nie jest wyjątkiem, bo gdyby rozejrzeć się dookoła, okaże się, że niemal wszyscy staliśmy się zakładnikami niebezpiecznych fobii nawiedzonych starców, którzy postanowili z impetem przejść do historii. W takim świecie przyszłości nie ma, a jeśli jest, to majaczy za burzowym horyzontem.

POMYSŁ NA KAMPANIĘ

Pomnik Mazowieckiego został przedstawiony przez Tuska opinii publicznej jako pomnik odzyskanej wolności i zgody narodowej. Bo przecież chyba wszyscy powinniśmy cieszyć się z tego, że w 1989 r. udało się zakończyć komunistyczne rządy. W swoim filmiku Tusk zaprasza żyjących premierów III RP do udziału w komitecie budowy pomnika. „Jarosław chyba nie odmówi?" – zwraca się ironicznie do Kaczyńskiego.

Tu właśnie tkwi prowokacyjna istota tego pomysłu. Wiadomo przecież, że Jarosław Kaczyński (ani Mateusz Morawiecki i Beata Szydło) nie wejdzie do żadnego komitetu razem z Tuskiem i wieloma innymi politykami przeciwnego obozu, aby świętować wraz z nimi kontraktowe wybory, grubą kreskę, a potem budowę oligarchicznego układu z postkomunistami. Bo w gruncie rzeczy właśnie to symbolizują rządy Mazowieckiego.

> Tuskowi chodzi o kolejną prowokację. Nie popierasz pomnika? To znaczy, że jesteś wrogiem wolności, niepodległości i mentalnym bolszewikiem. Nie ma dla ciebie miejsca w demokratycznym państwie

Kaczyński nie będzie też brał udziału we wspólnym przyszłorocznym marszu, który ma – w założeniu – zmobilizować zwolenników Tuska. To wszystko jest oczywiste i Tusk doskonale o tym wie. Bo przecież nie chodzi mu o ponadpartyjną zgodę, lecz o kolejną wojnę. Pomnik Mazowieckiego ma być lontem, który zapali Tusk.

Już można sobie wyobrazić scenariusz kampanii przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Propaganda obozu rządowego będzie przedstawiać Kaczyńskiego i PiS jako zapiekłych przeciwników odzyskanej przed ponad ćwierćwieczem wolności, demokracji i niepodległości. Niebawem okaże się, że pisowcy są pogrobowcami PRL i sierotami po Związku Radzieckim. Brzmi to absurdalnie, ale przecież dobrze wiemy, że nie ma takiej granicy fałszu i absurdu, której propagandyści Tuska nie byliby w stanie przekroczyć. Niestety wiemy też, że zawsze znajdzie się grupa ludzi, którzy w to wszystko uwierzą.

TEMAT ZASTĘPCZY

Oczywiście można by było spuścić na to wszystko zasłonę milczenia. W końcu spór o pomnik Mazowieckiego nie jest – przy tylu naprawdę palących problemach istniejących dziś w Polsce – kwestią kluczową, z powodu której warto rozdzierać szaty. Dla większości obozu patriotycznego Mazowiecki nie jest bohaterem, ale nie musi to przecież oznaczać braku zgody na inny punkt widzenia. Jeżeli więc obecny rząd chce wyróżnić postać pierwszego premiera III RP, niech to robi.

Problem w tym, że Tusk tak na to nie patrzy. To nie jest sytuacja, w której określone środowisko polityczne honoruje bliską sobie postać, a inni mogą pozostać z boku i przypatrywać się obojętnie. Tak było choćby z dość skromnym pomnikiem Jana Olszewskiego, który w 2022 r. odsłonięto przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów (uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod monument odbyła się 4 czerwca 2019 r., w 27. rocznicę upadku rządu Olszewskiego).

Tuskowi chodzi o kolejną prowokację. Mazowiecki jest wykorzystywany jako rodzaj pręta, którym szef rządu chce przeciągnąć po prawicowej kracie. Gdyby było inaczej, Tusk nie zapraszałby publicznie Kaczyńskiego do swojego komitetu, doskonale wiedząc, że prezes PiS odmówi. Ta odmowa lub tylko brak reakcji na zaproszenie będą potem wykorzystywane do politycznej nagonki na prawicę. Nie popierasz pomnika? To znaczy, że jesteś wrogiem wolności, niepodległości i mentalnym bolszewikiem. Nie ma dla ciebie miejsca w demokratycznym państwie.

Na takie wyzwiska prawica odpowie i wybuchnie kolejna wojna zastępcza. O pomnik, o III RP. Przed wyborami nie

eprasa.pl f6b642825d

będziemy rozmawiać o ochronie zdrowia, o imigracji, o edukacji ani o bezpieczeństwie. Tuskowi właśnie o to chodzi. Bo przecież musiałby przegrać każdą dyskusję na temat skutków jego własnych rządów.

Skądinąd Tusk w ogóle nie pasuje do roli obrońcy Mazowieckiego. Warto przypomnieć, że to przecież on doprowadził pod koniec lat 90. do rozbicia Unii Wolności i wyrzucenia Mazowieckiego na margines polskiej polityki. Środowisko pierwszego premiera przez wiele lat miało to Tuskowi za złe, a „Gazeta Wyborcza" długo utrzymywała wobec niego dystans.

Dzisiaj wszyscy ci dawni stronnicy i przyjaciele polityczni Mazowieckiego sekundują Tuskowi w jego wojnie z PiS. Wykorzystywanie postaci pierwszego premiera w roli amunicji bojowej jakoś im w tym nie przeszkadza. Tylko idiota lub ktoś nieznający przeszłości może więc uważać, że w pomyśle z pomnikiem chodzi wyłącznie o uhonorowanie Mazowieckiego.

TWÓRCY MITÓW

Wbrew temu, co zamierza wciskać ludziom do głów tuskowa propaganda, Mazowiecki nie jest postacią nieskazitelną. I nie chodzi tu przykładowo o sprawę bp. Kaczmarka z lat stalinowskich – to kwestia niepodlegająca debatom – ale o czasy nam znacznie bliższe.

Jako pierwszy premier Mazowiecki symbolizuje III RP i wszystkie jej patologie. Bezduszną transformację i złodziejską prywatyzację, która doprowadziła do zagłady majątku państwowego i ubóstwa milionów ludzi. Selektywną demokrację, z której wykluczony był każdy, kto kwestionował politykę władzy. I przede wszystkim grubą kreskę, która – niezależnie od intencji Mazowieckiego – stała się źródłem postkomunistycznego, półmafijnego układu. Ten układ trząsł Polską przez kolejną dekadę, a z konsekwencjami jego rządów mierzymy się do dziś.

Warto pamiętać, że sam Mazowiecki został bardzo surowo oceniony przez ówczesnych wyborców. Zaledwie rok po objęciu rządów przegrał walkę o wejście do drugiej tury wyborów prezydenckich z nikomu nieznanym Stanem Tymińskim.

Z tych wszystkich powodów postać Tadeusza Mazowieckiego w koncepcji Tuska świetnie nadaje się do rozpętania kolejnej wojny. Bo pierwszy premier wciąż budzi emocje, a pamięć o jego rządach raczej dzieli, niż łączy Polaków. Tusk o tym wie, dlatego cynicznie zamierza forsować jednostronną wizję przeszłości, budując na niej zwycięski (choć fałszywy) mit III RP jako niemal doskonałego projektu państwowego i cywilizacyjnego, który później został zdewastowany przez pisowskich barbarzyńców.

W tym micie Mazowiecki – jako pierwszy premier III RP – odgrywa rolę szczególną. Z jego postacią kojarzy się przecież data pierwszych kontraktowych wyborów, których wynik – po początkowych perturbacjach – wyniósł go ostatecznie do władzy. Za kandydaturą Mazowieckiego, choć z zastrzeżeniami, opowiadał się wówczas także Jarosław Kaczyński, co z pewnością zostanie mu wkrótce wypomniane. A skoro Tusk chce mobilizować swoich wyborców wokół daty 4 czerwca 1989 r., to Mazowiecki idealnie nadaje się na symbol tej rocznicy.

> Obecna ekipa nie ma żadnego pomysłu na Polskę. Jedyną ideą Tuska jest nieustanne wyciąganie na światło dzienne starych upiorów, aby bez końca straszyły ludzi i wywoływały konflikty

Data 4 czerwca jest przedstawiana – i ten przekaz zapewne zostanie wzmocniony – jako coś na kształt święta niepodległości, szybkiego momentu przejścia z mroków komunizmu wprost do świetlanej demokracji. To oczywiście bujda, ale niektórzy pomagierzy obecnego rządu domagają się ustanowienia oficjalnego święta państwowego w dniu 4 czerwca, które w założeniu miałoby przyćmić obchody 11 listopada.

W tym kontekście jakiekolwiek zarzuty PiS wobec czerwcowej rocznicy i postaci Mazowieckiego zostaną uznane za przejaw niemal zdrady narodowej, a w najlepszym razie – zwykłego pieniactwa i zawiści. Tusk swoim tradycyjnym zwyczajem odwróci kota ogonem i zacznie wmawiać ludziom, że Kaczyński nie może pogodzić się z przeszłością i mentalnie tkwi w poprzedniej epoce, podczas gdy w rzeczywistości to przecież on ciągle wraca do historii, bo nie potrafi sprostać żadnemu współczesnemu wyzwaniu.

SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY

Fałsz powszechnej zgody wokół budowy pomnika Mazowieckiego ma jeszcze jeden wymiar. Otóż gdyby celem obecnego rządu w istocie było zaprowadzenie pokoju wokół najnowszej historii, to partia Tuska nie walczyłaby tak zaciekle z pamięcią drugiej strony.

Najlepszym probierzem uczciwych zamiarów tamtej strony jest przecież uhonorowanie Lecha Kaczyńskiego w Warszawie, co od lat stanowi postulat środowisk patriotycznych. Przy czym nie chodzi tutaj o nazwanie imieniem tragicznie zmarłego prezydenta jakiejś zachwaszczonej alejki w parku, lecz dużej arterii w mieście. Bez takich gestów nie można mówić o dobrej woli.

Tusk, podobnie jak wspierające go środowisko, nie chce dzielić się z nikim przeszłością. On zamierza ją zawłaszczyć i zafałszować, aby wzmocnić swoją władzę i nadać jej wymiar moralny. Dlaczego moralny? Bo jeśli zdoła przeforsować własną wersję historii, to każdy, kto ją zakwestionuje, automatycznie stanie się zdrajcą i niegodziwcem wykluczonym ze wspólnoty.

Oczywiście pomnik Mazowieckiego i rocznica 4 czerwca nie zmienią rzeczywistości. Ale można to uznać za sygnał ostrzegawczy pokazujący, w jaki sposób myślą ludzie, którym w 2023 r. wyborcy oddali rządy.

eprasa.pl f6b642825d

Układ mazowiecki

STANISŁAW JANECKI

Na Mazowszu od ok. 20 lat istnieje i ma się dobrze układ oparty na kolesiostwie, nepotyzmie i wymianie wzajemnych usług, a jego trwałość gwarantuje ścisła współpraca Koalicji Obywatelskiej (wcześniej Platformy Obywatelskiej) z Polskim Stronnictwem Ludowym. Ojcami chrzestnymi tej konstrukcji są marszałek Mazowsza Adam Struzik z PSL oraz obecny szef MSWiA Marcin Kierwiński, przy okazji także szef warszawskich struktur KO.

Układ mazowiecki ukształtował się ok. 2006 r., gdy Struzik już od pięciu lat był marszałkiem Mazowsza, a Kierwiński stanął na czele Klubu Radnych PO, rok później został zaś sekretarzem regionu mazowieckiego. Zaczął być skuteczny i samosterowny w 2010 r., gdy Kierwiński został wicemarszałkiem województwa, czyli zastępcą Struzika. A gdy w 2016 r. został szefem struktur PO w Warszawie, wzajemna wymiana usług weszła na wyższy poziom. Jeszcze ściślejsza współpraca została ugruntowana w 2020 r., bo wtedy Kierwiński został sekretarzem generalnym PO.

Nie jest żadną niespodzianką, że w 2020 r. beneficjentką tego układu została żona szefa MSWiA Agnieszka Gierzyńska-Kierwińska. Odnalazła swoje powołanie na stanowisku dyrektora ds. strategii i rozwoju Kolei Mazowieckich. Kierwińska-Gierzyńska to radna KO z wieloletnim stażem. Najpierw od 2002 r. w Śródmieściu, gdzie przez dziewięć lat była przewodniczącą rady dzielnicy, a w 2024 r. weszła z pierwszego miejsca na liście do Rady Warszawy. Jej mąż, Marcin Kierwiński, ma wybitne poczucie humoru. Dlaczego? Bo w 2021 r. żartował w „Newsweeku”: „Moja żona jest radną w Śródmieściu. Zdecydowaliśmy, że nie będzie startowała do Rady Warszawy, bo ja jestem szefem warszawskiej Platformy. Właśnie dlatego, żeby nie było zarzutów o wstawianie kogoś na listę”.

Nie jest tajemnicą, że w Warszawie Kierwiński jest „kadrowym” i to on może załatwić każdemu każdą posadę. Podobnie jak na Mazowszu marszałek Struzik. Posady w spółkach samorządowych są objęte czymś w rodzaju zasady wzajemności: warszawscy radni dorabiają w spółkach kontrolowanych przez mazowiecki urząd marszałkowski, a działacze KO z Mazowsza w spółkach warszawskich.

NAJLEPSZY FACHOWIEC

Agnieszka Gierzyńska-Kierwińska w notce biograficznej przedstawia się jako „samorządowiec, politolog, menedżer oświaty, specjalista ds. wdrażania środków europejskich na projekty edukacyjne”. W sam raz, by robić karierę w Kolejach Mazowieckich jako dyrektor ds. strategii i rozwoju.

Fot. Andrzej Wiktor, Liudmyla Skwarczyńska, Fratria x2

eprasa.pl f6b642825d

„Gazecie Wyborczej" tłumaczyła, że „od kilkunastu lat w kolejnych miejscach pracy zawodowo zajmuje się pozyskiwaniem i wykorzystywaniem funduszy unijnych. I jest to umiejętność niezależna od branży". A decydujące jest to, że umie „napisać wniosek o dofinansowanie UE i go poprowadzić".

Z oświadczeń majątkowych żony Marcina Kierwińskiego wynika, że jej dochody w Kolejach Mazowieckich rosną imponująco. Jeszcze w 2023 r. wynosiły rocznie 270,1 tys. zł, w 2024 r. – 295,3 tys. zł, a w 2025 r. – już 342,7 tys. zł. Dla porównania: prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski w tym okresie zarabiał w ratuszu 235–257 tys. zł. Gierzyńska-Kierwińska w 2025 r. dostała jeszcze dietę radnej miejskiej (częściowo nieopodatkowaną) w wysokości 55,6 tys. zł.

Obecnie Marcin Kierwiński ściślej współdziała z marszałkiem Adamem Struzikiem, gdyż po drugich przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach na prezydenta Polski przejął część jego układów i wpływów. Warszawska PO przez lata była uważana niemal za własność Kierwińskiego, bo to on decydował o miejscach na listach wyborczych do Rady Warszawy, a także o obsadzie kluczowych stanowisk w miejskich spółkach i urzędach. Stanowisko szefa MSWiA poszerzyło jeszcze jego wpływy i możliwości.

Media oraz polityczni konkurenci określają taką politykę kadrową jako „desant ludzi Kierwińskiego" „Chcielibyśmy wiedzieć, kto podejmuje decyzje w Warszawie. Być może nie pan prezydent, ale pan minister Kierwiński, ale chcielibyśmy się tego dowiedzieć" – mówił w październiku 2025 r. na sesji Rady Warszawy szef klubu PiS Dariusz Figura. 24 marca 2026 r. w „Gazecie Wyborczej" ukazał się zaskakujący artykuł Michała Wojtczuka „Kogo karmi Marcin Kierwiński? Desant polityków KO do miejskich i państwowych spółek". W Radzie Warszawy zostało to odczytane jako próba dobrania się szefowi MSWiA do skóry, by wzmocnić prezydenta Rafała Trzaskowskiego.

WZAJEMNA POMOC

Okazało się, że Kierwiński karmi np. Macieja Wyszyńskiego, wiceprezesa Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania, byłego wieloletniego radnego KO. W wyborach samorządowych w 2024 r. startował z okręgu obejmującego Ursynów, Wilanów i Włochy. Zdobył 2,8 tys. głosów, co nie wystarczyło, by otrzymać mandat, więc w ramach rekompensaty dostał stanowisko w miejskiej spółce. Albo Magdalenę Roguską, byłą warszawską radną, skarbnika PO w stolicy, a od 2024 r. posłankę. Obecnie jest sekretarzem stanu w MSWiA. Wcześniej była szefową gabinetu politycznego Kierwińskiego, a od grudnia 2023 r. dorabiała sobie w radzie nadzorczej Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, gdzie skierował ją wiadomo kto. Kierwiński karmi też Jana Ozimka, byłego wiceszefa struktur PO na Mokotowie i dawnego wiceburmistrza tej dzielnicy. Kiedy po wyborach samorządowych w 2024 r. przestał być radnym, został prezesem spółki ORLEN Administracja. W centrali ORLENU dyrektorem wykonawczym biura inwestycji dla sieci detalicznej jest Krystian Wilk, wieloletni warszawski radny KO. Kiedy w 2024 r. na stołecznego radnego nie został wybrany Daniel Łaga, wieloletni radny KO w Śródmieściu, zaraz odnalazł się jako dyrektor mazowieckiego oddziału państwowej Agencji Rozwoju i Modernizacji Rolnictwa.

Z kolei Wiesław Raboszuk, wicemarszałek Województwa Mazowieckiego (w zarządzie Mazowsza od 2011 r.) oraz radny Sejmiku Województwa Mazowieckiego i szef struktur KO w Śródmieściu (od 2013 r.), spełnia się w radzie nadzorczej Miejskich Zakładów Autobusowych, spółki warszawskiego samorządu. To on miał być z polecenia Beaty Michalec, warszawskiej radnej KO, powołany na stanowisko dyrektora Muzeum Literatury. Gdy minister kultury Marta Cienkowska zanegowała decyzję o powierzeniu Michalec tej funkcji, niewiele mogła wskórać. Ostatecznie wypowiedziała umowę o współprowadzeniu i współfinansowaniu przez resort tego muzeum. „Dopóki jestem na tym stanowisku, nie pozwolę na to, żeby jakakolwiek instytucja kultury była dla kogokolwiek łupem wyborczym" – wzmogła się wtedy Marta Cienkowska.

Bartosz Wiśniakowski, były mazowiecki radny KO i wiceburmistrz Wilanowa, znalazł swoje powołanie jako przewodniczący rady nadzorczej Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. A Rafał Krzemień, były dyrektor Pałacu Kultury, który po wyborach parlamentarnych 2023 r. został szefem Totalizatora Sportowego, ale jesienią 2024 r. został odwołany, jest obecnie członkiem zarządu i dyrektorem finansowym Kolei Mazowieckich.

W ramach wzajemnej pomocy między Mazowszem a Warszawą w radzie nadzorczej Tramwajów Warszawskich zasiada (od lat) sam marszałek Adam Struzik. Przewodniczącą rady nadzorczej jest Wioletta Paprocka-Ślusarska, mazowiecka radna KO, szefowa gabinetu Trzaskowskiego w ratuszu, która kierowała jego kampanią wyborczą na prezydenta Polski. Zastępcą przewodniczącego rady nadzorczej Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie jest Katarzyna Bornowska, mazowiecka radna KO. Członkiem zarządu tej spółki jest zaś Piotr Zalewski, samorządowy działacz PO i KO, były burmistrz Pragi-Północ i wiceburmistrz Ursynowa. Tomasz Sieradz, przewodniczący klubu KO na Ursynowie, zajmuje stanowisko dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Warszawie. Z kolei w radzie nadzorczej Miejskiego Przedsiębiorstwie Oczyszczania spełnia się Elżbieta Lanc, mazowiecka radna KO.

Pomoc działa w obie strony, dlatego Jarosław Jóźwiak, warszawski radny KO i były zastępca Hanny Gronkiewicz-Waltz

eprasa.pl f6b642825d

w warszawskim ratuszu, jest wiceprezesem zarządu Mazowieckiej Regionalnej Organizacji Turystycznej. Radna KO Sylwia Krajewska została wicedyrektorem ds. administracyjno-technicznych w Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze". Radna KO oraz szefowa Komisji Budżetu i Finansów Rady Warszawy Dorota Lutomirska jest wicedyrektorem ds. relacji zewnętrznych w Bibliotece Głównej Województwa Mazowieckiego na Koszykowej. Funkcję dyrektora tej placówki pełni Michał Strąk, szef Urzędu Rady Ministrów w rządzie Waldemara Pawlaka, przyjaciel Adama Struzika. Lutomirska jest też członkiem rady nadzorczej Mazowieckiego Szpitala Wojewódzkiego w Siedlcach oraz członkiem Rady Społecznej Samodzielnego Zespołu Publicznych Zakładów Lecznictwa Otwartego Warszawa Praga-Południe. Radny KO Piotr Wertenstein-Żuławski jest przewodniczącym rady nadzorczej Agencji Rozwoju Mazowsza S.A. W tej radzie zasiada też Ilona Soja-Kozłowska z KO, była burmistrz Pragi Północ i Białołęki, wiceburmistrz Bemowa i Bielan. Jest ona jeszcze dyrektorem Mazowieckiej Jednostki Wdrażania Programów Unijnych, odpowiedzialnej za dysponowanie, ocenę i rozliczanie miliardowych funduszy europejskich przeznaczonych dla województwa mazowieckiego. Jej poprzednikiem był Mariusz Frankowski, wieloletni radny miejski KO, były zastępca dyrektora Departamentu Strategii i Rozwoju Regionalnego w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Mazowieckiego (2007–2011), obecnie wojewoda mazowiecki. Agencją Rozwoju Mazowsza S.A. od lat kieruje zaufany marszałka Struzika – Krzysztof Filiński. Człowiekiem Struzika jest też członek zarządu tej agencji Artur Andrysiak. Inny członek zarządu Agencji Rozwoju Mazowsza S.A. to Wojciech Turkowski, były burmistrz Śródmieścia i wiceburmistrz Mokotowa z PO (obecnie KO).

KSIĘSTWO ADAMA STRUZIKA

Marszałek Mazowsza Adam Struzik sam był bardzo skuteczny w załatwianiu posad, zleceń, grantów i innych benefitów, a po dogadaniu się z Marcinem Kierwińskim stanowią wszechmocny duet. Obaj mają ogromne możliwości, województwo mazowieckie jest bowiem najbogatszym regionem w Polsce, a Struzik ma realny wpływ na dysponowanie ogromnymi środkami, w tym funduszami unijnymi, Kierwiński tworzy zaś jego polityczną tarczę. Rządzący na Mazowszu Struzik z Kierwińskim sprawują władzę porównywalną z niejednym ministrem, a nawet większą. To marszałek buduje drogi, stawia mosty, daje pracę tysiącom ludzi – także tym, na których zależy Kierwińskiemu. To Struzik lobbował za połączeniem kolejowym lotniska Modlin z Płockiem, a za tę inwestycję współodpowiedzialny był Marcin Kierwiński, w latach 2007–2010 wiceprezes zarządu spółki Mazowiecki Port Lotniczy Warszawa-Modlin.

W realiach układu mazowieckiego telefon marszałka Mazowsza lub sekretarza generalnego KO wystarczy, by dla ich protegowanych znalazło się dowolne stanowisko, a dla przeciwników – kary polegające m.in. na tym, że przez lata nie mogą załatwić w urzędach tego, co zależy od woli urzędników. Układ mazowiecki działa tak, by uzależnić od siebie aparat urzędniczy, a lokalnych polityków wmontować w jak największą liczbę geszeftów i towarzystw świadczenia sobie przysług. Tu konkursy i przetargi są najczęściej fikcją, co oczywiście podnosi ich koszty. Nie działają normalne mechanizmy awansu, stanowiska są obsadzone przez krewnych, znajomych i klientów, a jedyną metodą na funkcjonowanie jest pogodzenie się z rzeczywistością. Odwoływanie się do sądów czy organów ścigania i kontroli zwykle nic nie daje, bo wszyscy się znają, pomagają sobie wzajemnie i nie chcą wchodzić sobie w drogę. Lokalne media są zaś albo za słabe, by taką władzę kontrolować, albo siedzą w jej kieszeni, funkcjonując jako tuby propagandowe.

> Nie jest tajemnicą, że w Warszawie Kierwiński jest „kadrowym" i to on może załatwić każdą posadę. Podobnie jak na Mazowszu marszałek Struzik. Posady w spółkach samorządowych są objęte czymś w rodzaju zasady wzajemności: warszawscy radni dorabiają w spółkach kontrolowanych przez mazowiecki urząd marszałkowski, a działacze KO z Mazowsza w spółkach warszawskich

Adam Struzik zapewnił sobie kontrolę najważniejszych instytucji i spółek poprzez ulokowanie tam swoich ludzi. Poza wspomnianym już Krzysztofem Filińskim, kierującym Agencją Rozwoju Mazowsza S.A., w Mazowieckim Zarządzie Dróg Wojewódzkich zastępcą dyrektora ds. inwestycji jest Mariusz Kozera. Stanowisko dyrektora Mazowieckiego Centrum Polityki Społecznej zajmuje inny zaufany marszałka Struzika – Aleksander Kornatowski, były wicedyrektor ds. usług rynku pracy w Wojewódzkim Urzędzie Pracy w Warszawie. Wojewódzką Stacją Pogotowia Ratunkowego i Transportu Sanitarnego „Meditrans" kieruje Karol Bielski, wieloletni działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego, a poprzedni szef, Artur Kamecki, też był człowiekiem Struzika.

Na czele Instytutu Papieża Jana Pawła II w Warszawie – instytucji kultury, która bezpośrednio podlega samorządowi województwa mazowieckiego – od początku jej istnienia (od 2005 r.) stoi ks. dr hab. Zdzisław Struzik, brat marszałka Mazowsza. Po prostu na Mazowszu i w Warszawie wszystko pozostaje w rodzinie – jeśli nie marszałka Struzika, to ministra Kierwińskiego.

eprasa.pl f6b642825d

W grudniu 2023 r. zamrożono konkursy w sądach powszechnych, co oznacza, że nie ma naboru na stanowiska sędziów z wyjątkiem absolwentów Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. Efekt? 1,3 tys. wakatów orzeczniczych w sądach. Ostatecznie uderza to w Polaków, którzy słusznie oczekują od sądów sprawiedliwego i sprawnego rozstrzygania ich spraw

Rządy prawa *albo* „nadzwyczajnej kasty”

Fot. Andrzej Wiktor

Z sędzią dr. Maciejem Nawackim, członkiem Krajowej Rady Sądownictwa w latach 2018–2026, rozmawia Jerzy Szmit

Jest pan doświadczonym sędzią, a także nauczycielem akademickim. Jak się pan czuje, ucząc studentów z podręczników, których autorzy wspierają polityków w łamaniu konstytucji i prawa?

Maciej Nawacki: Niestety od dłuższego czasu takie wolty wykonują osoby, które kiedyś uchodziły za autorytety prawnicze. Podam przykład prerogatywy prezydenckiej – możliwości ułaskawienia danej osoby w trakcie postępowania, czyli tzw. abolicji indywidualnej. Autorzy podręczników postępowania karnego twierdzili, że głowa państwa ma takie prawo. Kiedy prezydent zastosował je wobec Mariusza Kamińskiego i Michała Wąsika, krzyczeli, że nie może tego zrobić. Przykłady można mnożyć. Zaczyna to przypominać badania, co jest bardziej szkodliwe – kawa czy herbata. Wyniki zależą od tego, kto zleca. Zbyt wielu prawników zapomniało, że prawo powinno stać ponad bieżącym interesem politycznym.

Na początku swoich rządów premier Donald Tusk powiedział: „Będziemy stosować prawo tak, jak je rozumiemy” W praktyce oznacza to, że prawo przestało obowiązywać.

Swoim studentom mówię tak: osobom, które kończą studia, wydaje się, że znają prawo; osoby, które idą na aplikację, a potem ją kończą, orientują się, że prawa nie znają, a po kilku latach praktyki zawodowej dochodzą do przekonania, że prawo nie działa tak, jak zostało zapisane w konstytucji, ustawach czy traktatach międzynarodowych. Liczy się interpretacja, zależna od sytuacji i woli politycznej. Taki stan rzeczy godzi w fundamenty naszej cywilizacji, bazującej na zasadzie państwa prawa.

Przejawem tego jest kwestionowanie statusu ok. 3 tys. sędziów, z których ponad 90 proc. wykonuje swój zawód od wielu lat. Zarzut jest taki, że awansowali albo nawet zostali przesunięci do innego sądu po 2017 r.

Ponownie posłużę się przykładem. Dawno temu na mocy nominacji jednego prezydenta sędzia z Lublina awansował i został sędzią sądu rejonowego. Kolejny prezydent awansował go do sądu okręgowego. Po 2018 r., zważywszy na jego dorobek, nominowano go do sądu apelacyjnego i w tym momencie okazało się, że jest sędzią nieprawidłowo powołanym na urząd.

eprasa.pl f6b642825d

Europejski Trybunał Praw Człowieka uzurpował sobie prawo oceny tego rodzaju kwestii pod kątem prawidłowego ukształtowania sądu. Polska konstytucja określa, że mamy cztery kategorie sędziów: wojskowych, sądów powszechnych, Sądu Najwyższego i administracyjnych. Ich status nie zmienia się na skutek awansu czy zmiany sądu. I nie ma nad czym dyskutować, ale obecna władza, kiedy była w opozycji, w Polsce i za granicą atakowała nominacje sędziów. Teraz ministrowie Bondar i Żurek masowo delegują sędziów, zmieniają im sądy do orzekania. I co? I cisza.

Zamiast prawa pojawiły się wypowiedzi instytucji Unii Europejskiej, które miały zastąpić polskie prawo i dyktować nam warunki.

Tak to ma wyglądać według obecnej władzy. A przecież w dokumentach podpisanych przez Polskę i w obowiązujących traktatach nie ma niczego na temat możliwości ingerowania w nasz wymiar sprawiedliwości. Jego kształtowanie, powoływanie sędziów czy organizacja sądów leży w kompetencjach kraju członkowskiego UE. Dlatego te wszystkie próby powinniśmy po prostu ignorować. W Polsce reguluje to konstytucja RP. Udowadnialiśmy to wielokrotnie w różnych miejscach i przy wielu okazjach, również jako Krajowa Rada Sądownictwa. Do 2023 r. robiliśmy to, współpracując z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Teraz rząd działa w kierunku pozbawienia polskiego sądownictwa suwerenności. Doszło do czegoś, co można określić mianem zdrady dyplomatycznej.

W praktyce przekłada się to na unieważnianie wyroków, które zostały wydane np. na groźnych bandytów albo w sprawach cywilnych (spektakularna sprawa unieważnienia rozwodu w Giżycku). Jak to zatrzymać?

Postawmy pytanie, czy jest wola, aby to zrobić. Od 2019 r. prawnicy działający w Stowarzyszeniu Prawnicy dla Polski, do którego należę, mówią jasno i wyraźnie: wystarczy przestrzegać prawa – art. 7 konstytucji, czyli zasady legalizmu. Sąd nie orzeka tam, gdzie nie ma przyznanych kompetencji, tak jak w Giżycku, czy inny sąd pracy, który próbuje orzekać w sprawach dyscyplinarnych sędziego. Nie orzeka w sprawie ważności rozwodów na podstawie tego, jaki sędzia wydał wyrok. Nie rozstrzyga, kto jest sędzią, a kto nie – o tym rozstrzyga prezydent.

W I Rzeczypospolitej funkcjonował ruch egzekucyjny.

Tak, problem tkwi w braku możliwości egzekwowania prawa. W ruchu egzekucyjnym chodziło o ukaranie urzędników, którzy nadużywali lub łamali prawo i odzyskanie należnych narodowi praw. I znowu przykład z życia. Zostałem skazany przez Sąd Rejonowy w Białymstoku (Wydział Pracy) na areszt za wykonanie uchwały Sądu Najwyższego.

Trafił pan do aresztu?

Na szczęście nie, ale orzeczono areszt z natychmiastową wykonalnością bez uchylenia immunitetu sędziowskiego. To rażące łamanie prawa przez kastę. I nic nie zrobiono.

Jednym z obszarów konfliktu jest spór o Krajową Radę Sądownictwa. O co w nim chodzi?

Walczymy o rzecz zasadniczą. Do 2018 r. o tym, kto może być sędzią, awansować w zawodzie, gdzie i na jakich warunkach pracować, poza wszelką kontrolą decydowała korporacja sędziowska, a właściwie wąska grupa, którą nazywaliśmy „Spółdzielnią". Pani sędzia Irena Kamińska nazywała to środowisko „nadzwyczajną kastą". Korzenie tej grupy tkwią głęboko w PRL. Doskonale opisano to w książce „Resortowe dzieci w togach". Reforma prowadzona w 2018 r., otwierająca zawód sędziowski dla ludzi spoza układu, doprowadziła do tego, że nadzwyczajna kasta straciła władzę i cały postkomunistyczny układ poczuł, że może skończyć się jego bezkarność. Teraz walczą, aby odzyskać pełną kontrolę nad polskim wymiarem sprawiedliwości i utrzymać ten układ zamknięty.

Wcześniej taką próbę podjął były szef klubu PiS, śp. Przemysław Gosiewski.

Ustawa, którą przygotował, otworzyła zawody prawnicze dla ludzi spoza układu, którzy chcieli solidnie i niezależnie wykonywać zawody prawnicze. Zapoczątkowała zmiany. Reforma z 2018 r. była wprost realizacją art. 4 konstytucji, który mówi, że wszystkie organy państwa są wyłaniane bezpośrednio lub pośrednio przez naród albo w wyborach, albo przez przedstawicieli. Trzeba pamiętać, że sędziowie nie są przedstawicielami, bo nie pochodzą z wyborów. Reforma dotycząca Krajowej Rady Sądownictwa jest krokiem w dobrą stronę, bo wprowadza element wpływu suwerena na wybór sędziów.

Jaki był efekt reformy Krajowej Rady Sądownictwa?

Skokowy wzrost liczby osób reprezentujących wolne zawody, które mogły objąć stanowiska sędziowskie po spełnieniu ustawowych warunków, tj. adwokatów, radców prawnych, prokuratorów, a nawet notariuszy. Np. do Sądu Okręgowego w Olsztynie przez osiem lat weszło ok. 30 prawników, połowa z wolnych zawodów. Wcześniej osoby z zewnątrz sądów, doskonali prawnicy, nie mieli szans. Napotkało to ogromny opór środowiska, bo złamało ustalony przez kastę porządek, zależności i przyszłych awansów. Rozumiano to jako krzywdę i zamach na elementarne i nienaruszalne prawa środowiska sędziowskiego.

Na zakończenie swojego urzędowania prezydent Andrzej Duda odmówił nominowania ok. 40 sędziów, w listopadzie ub.r. prezydent Karol Nawrocki zrobił to samo w przypadku 46 sędziów. Zalała ich fala ostrej krytyki.

Mianowanie sędziów jest prerogatywą prezydenta i jako strażnik konstytucji ma do tego pełne prawo. Ponadto głowa państwa ma dostęp do informacji niejawnych, niedostępnych dla KRS, która składa wniosek o nominację. To, że nie może być tu prostego automatyzmu, dowodzi sprawa byłego sędziego Tomasza Szmydta, który okazał się białoruskim szpiegiem, a był znajomym panów Żurka, Mazura czy posłanki Gasiuk-Pihowicz.

eprasa.pl f6b642825d

Do tego mamy stały nacisk wywierany na polskie sądownictwo przez instytucje Unii Europejskiej.

Obrona suwerenności prawnej to warunek suwerenności każdego państwa. Integracja europejska czy inna jest potrzebna, gdy służy interesom obywateli i wspólnoty oraz odbywa się dobrowolnie i na podstawie prawa. Są jednak obszary, które pozostają nienaruszalną domeną państwa, np. obronność albo ustrój. Dlatego każde państwo ma własny, swoisty kształt ustrojowy – są w Europie monarchie, republiki prezydenckie, parlamentarno-gabinetowe. Elementem ustroju państwa jest zaś organizacja wymiaru sprawiedliwości. Do państwa należy określenie swojej konstytucji i każdej władzy, także sądowniczej. Ingerencje są niedopuszczalne.

Jednak instytucje UE stale próbują wkraczać w te sfery.

Mają na to przyzwolenie brukselskich elit. Ponadto biurokracja – szczególnie tak potężna – stale chce poszerzać swoją władzę. TSUE zajął się kiedyś sprawą pracy francuskich funkcjonariuszy służb mundurowych walczących z grupami terrorystycznymi. Dopatrzył się naruszenia ich praw pracowniczych. Co zrobił francuski rząd? Po prostu to zignorował. I tak samo powinna się zachowywać Polska. Tyle że teraz mamy rząd, który nie chce suwerennego państwa polskiego.

Dla obywatela codzienną dolegliwością jest przewlekłość procedur sądowych. Za czasów Bodnara i Żurka radyklanie wzrosła. Co jest tego przyczyną?

1,3 tys. wakatów orzeczniczych w sądach. W grudniu 2023 r. zamrożono konkursy w sądach powszechnych, co oznacza, że nie ma naboru na stanowiska sędziów z wyjątkiem absolwentów Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. Musieliśmy wykonać w KRS gigantyczną pracę, aby przygotować wnioski o nominacje dla prezydenta, ponieważ absolwenci aktualnego rocznika zostaliby bez środków do życia, a sądy bez orzeczników. Ale to kropla w morzu potrzeb. Drugą przyczyną są narastające przez ostatnie dwa lata zaległości i nierównomierne obłożenie pracą sędziów. Np. w wydziale frankowym w Warszawie liczba spraw na jednego sędziego dochodzi do 900. A przecież są to sprawy finansowe i nie ma miejsca na jakąkolwiek pomyłkę. Kolejna rzecz to wyłączenie obywateli ze sprawowania wymiaru sprawiedliwości zgodnie z art. 4 konstytucji. Chodzi o ławników czy sędziów pokoju. W KRS wypracowaliśmy takie rozwiązania, ale wszystko zostało wyrzucone do kosza przez aktualną władzę. A te rozwiązania przyspieszyłyby pracę sądów i podniosłyby ich autorytet. Chodzi też o to, aby rozszerzyć krąg osób orzekających o osoby z innym doświadczeniem. Kolejna sprawa to czystki ministrów Bodnara i Żurka wśród prezesów sądów i dyrektorów, co oczywiście spowodowało dezorganizację sądów.

> W wydziale frankowym w Warszawie liczba spraw na jednego sędziego dochodzi do 900. A przecież są to sprawy finansowe i nie ma miejsca na jakąkolwiek pomyłkę

A czy nie jest też tak, że – ponownie cytując panią sędzię Irenę Kamińską – „nadzwyczajna kasta" wprowadza chaos, aby utrzymać swoje wpływy?

Jeżeli prezesi sądów są odwoływani, bo poparli kogoś kandydującego do KRS, a na ich miejsce powołuje się jedynie „słusznych", jeżeli sędziowie w Sądzie Najwyższym uchylają rozstrzygnięcia sędziów powołanych po 2018 r. i jeżeli codziennie widzimy, że część sędziów, idąc za przykładem ministrów Bodnara i Żurka, traktuje prawo „sytuacyjnie", oznacza to, że ci sędziowie kierują się interesem „nadzwyczajnej kasty". Przywołam tu szczere stwierdzenie wspomnianej pani sędzi Ireny Kamińskiej: „Mamy broń, którą są orzeczenia". Czyli orzeczenia sądów nie mają realizować prawa i służyć rozstrzyganiu ludzkich spraw, ale są narzędziem utrzymywania ich władzy. Wobec tego sprawy mogą krążyć między sądami i instancjami, można wzywać dziesiątki świadków, powoływać biegłych w oczywistych sprawach, odwoływać rozprawy z błahych powodów i latami prowadzić postępowania. Dlatego mamy takie przypadki jak w Sądzie Okręgowym w Olsztynie, gdzie wobec sprawcy wypadku drogowego, w którym zginęły dwie osoby, za okoliczność łagodzącą uznano jego twierdzenie, że nie czuł prędkości, bo ma wypasione auto! Pod rządami ministrów Bodnara i Żurka skumulowały się największe wady polskiego wymiaru sprawiedliwości. Doprowadziło do wielkiej deprecjacji prawa i odpowiadających za jego stanowienie, a potem egzekucję. Ostatecznie uderza to w Polaków, którzy słusznie oczekują od sądów sprawiedliwego i sprawnego rozstrzygania ich spraw.

Jak wyjść z tej zapaści?

Propozycji jest wiele. Pan prezydent słusznie zainicjował debatę w sprawie zmian w konstytucji. Bardzo podoba mi się pomysł, aby kandydat na prezydenta już w czasie kampanii wyborczej wskazywał osobę, którą powoła na stanowisko prokuratora generalnego zaraz po własnym wyborze na pięcioletnią kadencję. To dawałoby głowie państwa narzędzie do egzekwowania postanowień konstytucji, szeroko rozumianego bezpieczeństwa narodowego, dyscyplinowania urzędników, również ministrów. Tak umocowany prokurator generalny byłby prawdziwie niezależny i wspierałby prezydenta w realizacji idei państwa prawa i praw obywatelskich. To przywróciłoby również porządek w sądach zgodny z niewykonywanymi obecnie orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego.

eprasa.pl f6b642825d

Fot. Shutterstock

Zasłona dymna dla MEN

DOROTA ŁOSIEWICZ

Rząd przyjął projekt ustawy wprowadzającej od 1 września 2026 r. ogólnopolski zakaz używania smartfonów przez uczniów szkół podstawowych publicznych i niepublicznych. Ograniczenia mają obowiązywać przez cały czas pobytu dziecka na terenie szkoły – zarówno podczas lekcji, jak i na przerwach, z pewnymi wyjątkami. Nauczyciele twierdzą jednak, że zaproponowane przepisy nie rozwiązują problemu do końca

Na pierwszy rzut oka trudno znaleźć argumenty przeciwko takiemu rozwiązaniu. Nauczyciele, rodzice i eksperci od lat alarmują, że smartfony stają się głównym źródłem rozproszenia uwagi, pogłębiają problemy z koncentracją, ograniczają relacje rówieśnicze i narażają dzieci na cyberprzemoc. Coraz częściej mówi się także o zjawisku uzależnienia cyfrowego, które dotyka uczniów już na etapie edukacji wczesnoszkolnej.

Jednocześnie trudno oprzeć się wrażeniu, że wokół tej decyzji powstał pewien paradoks. Rząd przedstawia ją jako przełomową reformę, choć w rzeczywistości znaczna część szkół już dawno rozwiązała ten problem samodzielnie. Co więcej, zakaz pojawia się w momencie, gdy Ministerstwo Edukacji Narodowej znajduje się pod ostrzałem opinii publicznej z powodu innych, znacznie bardziej kontrowersyjnych reform.

Dlatego dziś pytanie nie brzmi wyłącznie, czy zakaz smartfonów jest potrzebny. Coraz więcej osób odpowiada na nie twierdząco. Znacznie ciekawsze wydaje się to, dlaczego właśnie teraz i czy nowe przepisy faktycznie zmienią rzeczywistość szkolną.

SPEŁNIONY POSTULAT ŚRODOWISK KONSERWATYWNYCH

Nie da się ukryć, że decyzja rządu oznacza realizację postulatu od lat podnoszonego przede wszystkim przez środowiska konserwatywne, organizacje rodzicielskie oraz część ekspertów zajmujących się rozwojem dzieci.

Przez wiele lat alarmowano, że polska szkoła przegrywa walkę o uwagę uczniów.

23/0526/F

eprasa.pl f6b642825d

W czasie przerw szkolne korytarze zamiast być miejscem rozmów, zabawy i budowania relacji stawały się przestrzenią cichego wpatrywania się w ekrany telefonów. Dzieci przebywały obok siebie, ale coraz rzadziej ze sobą rozmawiały.

Krytycy niekontrolowanej cyfryzacji zwracali uwagę, że smartfon nie jest neutralnym narzędziem. To urządzenie projektowane w taki sposób, aby maksymalnie przyciągać uwagę użytkownika. Powiadomienia, krótkie filmy, media społecznościowe i algorytmy rekomendacyjne konkurują o czas dziecka znacznie skuteczniej niż podręcznik, nauczyciel czy szkolny kolega.

Jednak jeszcze kilka lat temu postulaty ograniczenia obecności smartfonów w szkołach bywały przedstawiane jako przejaw przesadnego konserwatyzmu lub nostalgii za szkołą sprzed ery cyfrowej. Gdy w 2023 r. ówczesny minister edukacji Przemysław Czarnek zapowiedział prace nad projektem zakazu smartfonów, Aleksandra Gajewska, dziś wiceminister edukacji, ostro krytykowała tę inicjatywę, mówiąc: „Nie uwierzycie, ale minister Czarnek chce zakazać smartfonów w szkołach. […] Panie ministrze, to nie jest XIX w.”. Dziś Barbara Nowacka mówi, że rząd i społeczeństwo dojrzało.

W tym sensie obecna decyzja rządu stanowi przyznanie racji tym środowiskom, które od dawna ostrzegały przed skutkami niekontrolowanego dostępu dzieci do urządzeń mobilnych.

IDEALNY MOMENT POLITYCZNY

Nie sposób jednak pominąć kontekst polityczny tej decyzji. Ministerstwo Edukacji Narodowej od wielu miesięcy zmaga się z kryzysem wizerunkowym. Znaczną część opinii publicznej podzieliła kwestia edukacji zdrowotnej, która od września ma jednak stać się przedmiotem obowiązkowym, po wyłączeniu modułu edukacji seksualnej. Choć resort przekonuje, że nowy przedmiot ma odpowiadać na wyzwania współczesności i wspierać zdrowie młodych ludzi, część rodziców oraz organizacji społecznych zarzuca ministerstwu ideologizację programu oraz nadmierne ingerowanie państwa w sferę wychowania.

Kontrowersje wywołały również zmiany dotyczące prac domowych. Reformę przedstawiano jako sposób na odciążenie uczniów, jednak wielu nauczycieli wskazywało na chaos organizacyjny, brak odpowiednich konsultacji i niejasne skutki dla jakości nauczania. Do tego dochodzi Reforma26 Kompas Jutra, która przez wiele organizacji jest uważana za niszczenie polskiej edukacji.

W efekcie MEN znalazło się w sytuacji, w której niemal każda kolejna inicjatywa budzi emocje i sprzeciw części środowisk oświatowych. Na tym tle zakaz smartfonów jawi się jako temat wyjątkowo wygodny. Trudno bowiem znaleźć polityka, który by otwarcie

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ

WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN
W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ
O AKCJI
POMOCY:

eprasa.pl 16b642825d

bronił nieograniczonego korzystania z telefonów przez dzieci.

Rząd otrzymuje więc możliwość zaprezentowania reformy, która jest medialnie atrakcyjna, łatwa do komunikowania i cieszy się dużym poparciem społecznym. Tym samym uwaga opinii publicznej może choć częściowo zostać odciągnięta od reszty kontrowersyjnych działań MEN.

WYWAŻANIE OTWARTYCH DRZWI

Najciekawsze w tym wszystkim jest jednak to, iż rządowa reforma w dużej mierze legalizuje stan, który już istnieje. Według różnych szacunków zakazy lub daleko idące ograniczenia korzystania ze smartfonów obowiązują już w ponad połowie polskich szkół. Dyrektorzy i rady pedagogiczne przez lata samodzielnie modyfikowali statuty placówek, dostosowując je do lokalnych potrzeb. W praktyce wiele szkół funkcjonuje według zasad bardzo podobnych do tych, które mają zostać zapisane w ustawie. Problem nie polegał na braku zakazów, lecz na braku skutecznych narzędzi ich egzekwowania. Właśnie dlatego część nauczycieli i dyrektorów przyjęła rządowe propozycje z dużą rezerwą.

W ich ocenie państwo ogłasza rozwiązanie, które już istnieje, nie odpowiadając jednocześnie na najważniejsze pytania praktyczne. Co zrobić z uczniem, który łamie zakaz? Czy nauczyciel może odebrać telefon? Gdzie urządzenie powinno być przechowywane? Kto ponosi odpowiedzialność za ewentualne uszkodzenie sprzętu? Czy rodzic powinien osobiście odebrać telefon dziecka? Na te pytania ustawa nie daje jednoznacznych odpowiedzi.

WIELKA FIKCJA?

Na te problemy zwraca uwagę Agnieszka Pawlik-Regulska, prezes stowarzyszenia Nauczyciele dla Wolności oraz koordynator Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły. Jej zdaniem nowe przepisy nie rozwiązują problemu, z którym nauczyciele stykają się każdego dnia.

– Czy pani minister zapewni nam, nauczycielom, komfort, że dostaniemy jasne informacje, co mamy zrobić, kiedy dziecko używa telefonu? Nie! Szkoły mają poradzić sobie z tym same. Nie tego oczekujemy. Oczekujemy jasnych informacji i jasnych przepisów z MEN, co robić. Czy możemy odnieść telefon do sekretariatu, a może telefon powinien odebrać rodzic? W innej sytuacji co to za prawo, które nie będzie mogło być egzekwowane?! Więc jest to po prostu jedna, wielka fikcja. Nie oczekujemy tego, co jest już zapisane w statutach szkół, tylko narzędzi prawnych. Tego, by w szkołach była konsekwencja – mówi mi polonistka.

Czy pani minister zapewni nam, nauczycielom, komfort, że dostaniemy jasne informacje, co mamy zrobić, kiedy dziecko używa telefonu? Nie! Szkoły mają sobie poradzić z tym same. Nie oczekujemy tego, co jest już zapisane w statutach szkół, tylko narzędzi prawnych – mówi polonistka Agnieszka Pawlik-Regulska

Trudno nie zauważyć, że słowa Pawlik-Regulskiej trafiają w samo sedno problemu. Ustawa ma charakter deklaratywny. Określa cel, ale nie tworzy precyzyjnych mechanizmów jego realizacji. Co więcej, sama minister Barbara Nowacka zapowiedziała, że szkoły będą mogły samodzielnie określać sposoby egzekwowania nowych przepisów. Oznacza to, że odpowiedzialność za wdrożenie reformy ponownie zostanie przerzucona na dyrektorów i nauczycieli.

Podobne wątpliwości zgłasza były poseł Koalicji Obywatelskiej (dziś niezrzeszony) i nauczyciel Marcin Józefaciuk. Choć przyznaje, że uzależnienie dzieci od technologii jest realnym problemem, uważa projekt za niepełny i niedopracowany. Józefaciuk zwraca uwagę, że szkoły nie otrzymują żadnych nowych narzędzi. Brakuje poradników wdrożeniowych, procedur, a nawet środków finansowych na stworzenie bezpiecznych systemów przechowywania telefonów. W jego ocenie większość szkół, które chciały skutecznie ograniczyć korzystanie ze smartfonów, zrobiła to już wcześniej. Natomiast te placówki, które mają problem z egzekwowaniem własnych regulaminów, nie otrzymają od państwa realnego wsparcia. Dlatego polityk zapowiada poprawki mające zwiększyć udział rodziców w kształtowaniu higieny cyfrowej najmłodszych.

Co ciekawe, Józefaciuk proponuje także rozwiązanie technologiczne zamiast klasycznego zakazu. Chodzi o stworzenie specjalnego państwowego profilu uczniowskiego instalowanego na smartfonach. Taki system mógłby automatycznie blokować media społecznościowe i rozpraszające aplikacje podczas pobytu dziecka w szkole.

Można dyskutować nad wykonalnością tego pomysłu, ale trudno odmówić mu jednej zalety – stanowi próbę odpowiedzi na problem XXI w. za pomocą narzędzi XXI w.

Zakaz smartfonów w szkołach jest krokiem w dobrym kierunku. Dzieci potrzebują więcej kontaktów społecznych, ruchu i koncentracji, a mniej ciągłego bombardowania cyfrowymi bodźcami. Jednak przedstawianie tej decyzji jako przełomowej wydaje się przesadą.

Po pierwsze dlatego, że wiele szkół już dawno wprowadziło podobne rozwiązania. Po drugie, ponieważ państwo nadal nie rozwiązało problemu egzekwowania przepisów. Po trzecie wreszcie z tego powodu, że zakaz został ogłoszony w momencie wyjątkowo trudnym dla MEN, którego działalność została poddana ostrej krytyce przez różne środowiska.

A ostateczny sukces zakazu zależeć będzie nie od konferencji prasowych i medialnych deklaracji, lecz od odpowiedzi na proste pytanie, czy nauczyciele dostaną narzędzia do egzekwowania prawa, czy pozostaną z nim sami – jak dotychczas.

eprasa.pl f6b642825d

Dokręcanie ideologicznej śruby

Tęczowa agitacja Katarzyny Kotuli skierowana do urzędników państwowych i niskie ukłony rządu Donalda Tuska przed środowiskiem LGBT+ nie są przypadkowe. To element szerokiego planu i jasnych wytycznych Komisji Europejskiej, coraz bardziej zirytowanej oporem stawianym dotąd przez Polskę wobec genderowej indoktrynacji

MARZENA NYKIEL

Bruksela zdecydowała o radykalnym przyspieszeniu swoich ideologicznych celów, a radykalne procesy zmian zawarła w planie pięcioletnim. Wszystko pod płaszczykiem zwalczania dyskryminacji i wzmacniania praw podstawowych.

TĘCZOWA STRATEGIA UE PRZYSPIESZA

Pod koniec ubiegłego roku Komisja Europejska ogłosiła nową strategię UE na rzecz równości osób LGBT+ na lata 2026–2030. W dokumencie „Wolność kochania, wolność bycia" zapowiada wzmożoną ochronę osób homo-, bi-, trans-, queer i plusseksualnych, wzmacnianie ich pozycji w społeczeństwie, na rynku pracy oraz dodatkowe, ogromne środki na promocję tego stylu życia i kontrolowanie w sieci »mowy nienawiści«". Program KE dąży do stworzenia Unii Równości, w której „każda osoba może bezpiecznie żyć zgodnie ze swoją tożsamością", co ma również sprzyjać „innowacyjności i spójności gospodarczej Europy".

Strategia ta stanowi kontynuację wcześniejszych działań, ale zmierza w stronę stanowczej egzekwowalności. Autorzy dokumentu twierdzą, że choć dotychczasowa strategia 2020–2025 przyniosła poprawę i doprowadziła do wzrostu akceptacji społecznej dla osób LGBT+, wobec których przychylność deklaruje nawet ok. 75 proc. badanych, nie jest to efekt zadowalający. KE twierdzi, że „osoby LGBT+ nadal doświadczają

Fot. Iryna Imago/Shutterstock.com

eprasa.pl f6b642825d

nieproporcjonalnie wysokiego i niedopuszczalnego poziomu nienawiści, przemocy i dyskryminacji" i należy to skutecznie wyeliminować. Nowy dokument wprowadza więc konkretne wytyczne, zobowiązując kraje członkowskie do zdecydowanej i silnej współpracy oraz wdrażania zaleceń we wszystkich obszarach polityki. Co się pod tym kryje?

OCHRONA CZY PRZEMOC IDEOLOGICZNA?

„Free to love, free to be: the EU's new LGBTIQ+ strategy" – właśnie tak nazwano dokument przyjęty przez Komisję Europejską jako strategię nowego życia społeczno-politycznego w krajach UE na lata 2026–2030. Zawarta w tytule wolność wyznacza zobowiązania, które zmierzają do dominacji środowisk mniejszościowych nad większością. Dokument wskazuje na kluczowe obszary działań: ochronę osób LGBT+, wzmacnianie ich pozycji w społeczeństwie oraz angażowanie wszelkich struktur w promowanie ideologii gender. Gdy wczytamy się w szczegółowe zapisy, robi się naprawdę groźnie.

Pierwszy filar, określony jako „ochrona osób LGBT+", jest przedstawiony w formie troski o zapewnienie bezpieczeństwa oraz zwalczanie nienawiści i przemocy we wszystkich jej formach w świecie wirtualnym i rzeczywistym. Kluczowe zadania obejmują określenie nowego planu przeciwdziałania cyberprzemocy oraz utworzenie centrum informacji, które będzie gromadzić dane na temat treści szerzących nienawiść motywowaną uprzedzeniami. Łatwo więc wyobrazić sobie homopolicję, która hojnie dofinansowana ze środków unijnych będzie tworzyć drobiazgowe raporty dotyczące rzekomych naruszeń. Znamy to już zresztą z przeszłości. Drugie zadanie w obszarze „ochrony" skupia się na stworzeniu ram prawnych w całej Unii. KE zapowiada dążenie do zharmonizowania definicji przestępstw z nienawiści, aby „zapewnić skuteczną ochronę przed dyskryminacją ze względu na orientację seksualną lub tożsamość płciową". Pomocne mają być struktury społeczeństwa obywatelskiego, broniące praw osób LGBT+ oraz dalsze finansowanie tych organizacji. Trzeci element to „zwalczanie praktyk konwersyjnych", a więc eliminacja działań psychologów, pedagogów czy wspólnot, które chciałyby wspierać zagubionych tożsamościowo ludzi.

Jak KE definiuje „praktyki konwersyjne"? Jako szkodliwe interwencje bazujące na błędnym założeniu, że osoby LGBT+ są chore, a ich orientację seksualną lub tożsamość płciową można i należy „wyleczyć" lub zmienić. Zapowiada więc przeanalizowanie ich skali i rozważenie całkowitego zakazu. Już w założeniu mamy więc do czynienia z kompletnym odwróceniem pojęć. Jeśli mielibyśmy w tym kontekście mówić o konwersji, powinna ona raczej określać porzucenie płci biologicznej na rzecz płci „życzeniowej". Zjawisko to jest szczególnie groźne, gdy dotyczy dzieci i młodzieży. Doświadczenie pokazuje, że silna promocja ideologii LGBT+ uderza w dorastające osoby borykające się z problemami emocjonalnymi. Zmiana orientacji często jest aktem deklaratywnym, mającym pomóc w pozyskaniu akceptacji grupy rówieśniczej czy wzmocnieniu pozycji towarzyskiej. Jeśli na tym etapie nie otrzyma odpowiedzialnego wsparcia pedagoga czy psychologa, może zostać błyskawicznie przejęta przez prężnie działające środowiska, dysponujące szybką ścieżką nieodwracalnych działań z kuracją hormonalną na czele. Nietrudno sobie wyobrazić dramatyczne skutki tak błędnie pojętej „ochrony".

RÓWNOŚĆ CZY DOMINACJA?

Drugim filarem unijnej strategii jest „wzmacnianie pozycji osób LGBT+", mające na celu wyeliminowanie dyskryminacji i zapewnienie równych szans we wszystkich dziedzinach życia. Główne cele to równość w zatrudnieniu, ochrona „tęczowych rodzin" i „dostęp do usług". KE zapowiada monitorowanie rygorystycznego stosowania dyrektywy o równości w zatrudnieniu oraz wydanie nowych wytycznych dotyczących inkluzywnych praktyk rekrutacyjnych. W Polsce już widzimy pierwsze zmiany, nawet w tak banalnych kwestiach jak forma zamieszczania ogłoszeń z ofertami pracy. Uwikłany w promocję ideologii jest także biznes. KE starannie promuje wszelkie programy wsparcia pracowników, jak choćby „karty różnorodności". Chwali się, że w całej Unii istnieje 27 krajowych kart, które zrzeszają łącznie ponad 17,5 tys. sygnatariuszy i obejmują ponad 17 mln pracowników. Biorąc pod uwagę ogromne programy finansowe, grantowe i partycypacyjne pozostające w dyspozycji KE, łatwo sobie wyobrazić, że udział w tego rodzaju „przyjaznych społecznościach" dla części firm nie jest jedynie dobrowolną inicjatywą. Warunki stawia ten, kto rozdaje pieniądze. Zauważalne są także zapowiedzi dotyczące „zachęcania państw członkowskich do wzajemnego uznawania rodzicielstwa w sytuacjach transgranicznych, aby zapewnić dzieciom i ich rodzicom pełnię praw niezależnie od miejsca zamieszkania w UE. Widoczne są również zmiany opisane w dokumencie jako równy dostęp do usług poprzez zwalczanie nierówności w dostępie do ochrony zdrowia (np. poprzez szkolenia personelu medycznego), edukacji oraz przeciwdziałanie wykluczeniu mieszkaniowemu i ubóstwu.

Nie są to jedynie postulaty. Idzie za tym silne wsparcie instytucji unijnych i precyzyjny monitoring. KE zapowiada nadzorowanie tego, w jaki sposób państwa członkowskie stosują istniejące instrumenty dotyczące spraw małżeńskich, odpowiedzialności rodzicielskiej, alimentów czy sukcesji w odniesieniu do rodzin LGBT+. Planowane są również dyskusje z państwami członkowskimi na temat praktycznych wyzwań, z jakimi borykają się te rodziny w sytuacjach transgranicznych. Przewidziano także wsparcie szkoleniowe dla praktyków prawa, w szczególności sędziów i prokuratorów, a także kampanie informacyjne dla obywateli na temat przysługujących im praw.

W Polsce widzimy już pierwsze efekty. Zaczęło się od wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który orzekł, że nasz kraj ma uznawać za małżeństwo jednopłciowy związek zawarty w innym państwie UE. Następnie Naczelny Sąd Administracyjny nakazał kierownikowi warszawskiego Urzędu Stanu Cywilnego dokonanie transkrypcji zagranicznego aktu uznającego za „małżeństwo" pary homoseksualnej. W ślad za tym poszły wyroki WSA w Olsztynie i w Gorzowie Wielkopolskim, a rząd Donalda Tuska ośmielony tymi aktami poszedł jeszcze dalej – ministrowie cyfryzacji i spraw wewnętrznych wydali rozporządzenie zmieniające urzędowy wzór aktu małżeństwa, tak by można w nim wpisać dwóch mężczyzn lub dwie

eprasa.pl f6b642825d

kobiety. Wszystkie te działania są bezprawne i sprzeczne z polską konstytucją, ale czy to argumenty zdolne powstrzymać Tuska przed uległością wobec oczekiwań Brukseli? A presja rośnie i widać to szczegółowo w zapisach omawianej strategii.

ZAANGAŻOWANIE CZY DEPRAWACJA?

Trzeci filar tego obszernego dokumentu został określony jako „zaangażowanie", i to zaangażowanie wręcz bezgraniczne. Zakłada włączenie całego społeczeństwa oraz współpracę wszelkich organizacji na wszystkich poziomach zarządzania w celu promowania „równości". Działania te obejmują utworzenie nowego „Forum polityki LGBT+", które będzie platformą dialogu między KE a organizacjami pozarządowymi, partnerami społecznymi i naukowcami. Istotnym elementem jest tu finansowanie, i to niezwykle hojne. KE zapewnia kontynuację wsparcia w ramach programu CERV+, będącego częścią AgoraEU, na który przewidziano do 3,6 mld euro „na działania na rzecz równości, niedyskryminacji i demokracji". Komisja zobowiązuje jednocześnie wszystkie państwa członkowskie do przyjęcia własnych krajowych planów działań lub strategii na rzecz osób LGBT+ do 2027 r. Ambicje KE są jednak jeszcze szersze i mają wymiar globalny. Komisja stawia sobie za cel promowanie praw osób LGBT+ na arenie międzynarodowej, w tym dążenie do globalnej depenalizacji kontaktów osób tej samej płci.

Na postulatach i zachętach finansowych bynajmniej się nie kończy. W dokumencie czytamy zapowiedź regularnego monitorowania wdrożeń strategicznych oraz wyznaczony na 2028 r. śródokresowy przegląd jej realizacji. W 2029 r. Agencja Praw Podstawowych opublikuje kolejną falę kompleksowego badania dotyczącego osób LGBT+ i biada, jeśli któryś z krajów nie nadąży za wytycznymi. Można się spodziewać, że Komisja Europejska jest gotowa sięgnąć po wszelkie mechanizmy warunkowości i posłużyć się szantażem finansowym, byle tylko zrealizować założone cele stragiczne.

Tak oto homo-translobby otrzymuje wszystkie możliwe narzędzia ekspansji. Fundamentalnym punktem odniesienia potężnej politycznej strategii międzynarodowej staje się kwestia seksualności, i to w ujęciu dewiacyjnym. Nie dotyczy to przecież jedynie homoseksualistów, lecz także najrozmaitszych emanacji eksperymentowania z płcią i seksualnością. KE mówi o równości osób LGBT+, a więc lesbijek, gejów, biseksualistów, osób transpłciowych, interpłciowych, queer oraz plus, czyli wszelkich orientacji seksualnych i tożsamości płciowych, które nie zostały bezpośrednio wymienione w akronimie, których nie sposób zakwalifikować do któregokolwiek z określeń lub które nie są jeszcze bliżej znane. Jak w takim razie można serio traktować tak ujętą koncepcję polityczną i stworzoną przez nią strategię? Jak można w odpowiedzialny sposób oprzeć na tym przebudowę struktur społecznych, prawnych, instytucjonalnych? A jednak nie jest to jedynie ideologiczny sen wariata. To rzeczywistość, która zostanie przeniesiona na wszystkie obszary życia – od badań naukowych poprzez praktyki terapeutyczne, publikacje medialne aż po decyzje polityczne, regulacje prawne i ograniczenie wolności słowa.

> Na razie Polska jest jednym z ostatnich krajów, który nie poddaje się temu szaleństwu. Patrząc jednak na uległość rządu Tuska wobec Berlina i Brukseli, trzeba się liczyć z próbą wdrożenia tego neomarksistowskiego obłędu

GDZIE BĘDZIEMY ZA PIĘĆ LAT?

Plan został wyraźnie zarysowany przez Komisję. PE już w 2005 r. przyjął dyrektywę zobowiązującą wszystkie państwa członkowskie do uznawania „homomałżeństw". Od tamtej pory z dużym powodzeniem próbuje domknąć w Europie wszystkie założenia rewolucji kulturowej, kompletnie dewastując struktury społeczne oparte na fundamencie rodziny i tożsamości narodowej.

Warto pamiętać, że większość krajów nie wprowadziła pełnego pakietu przywilejów dla środowisk LGBT+ z dnia na dzień. To był proces zmian społecznych bazujący na strategii „małych kroków", stopniowe przesuwanie granic i oswajanie opinii publicznej ze zjawiskami, na które wcześniej nikt nie wyraziłby zgody. Schemat za każdym razem był taki sam. W pierwszym etapie państwa wyrażały zgodę na rejestrowane związki partnerskie, wprowadzając instytucję przejściową, która choć zmieniała prawo, to jednak nie naruszała drastycznie kulturowego tabu. Tempo przejścia od związków do „małżeństw" było różne, np. w Danii zajęło 23 lata (1989–2012), a w Niemczech 16 lat (2001–2017). Gdy społeczeństwo oswoiło się już ze związkami partnerskimi, następował krok drugi: pełna równość małżeńska. Gdy wreszcie także z tym zjawiskiem społeczeństwo zostało oswojone, przychodził czas na nadawanie homoseksualistom przywileju zakładania rodziny. Powoli otrzymywali prawa rodzicielskie, które w poszczególnych krajach są regulowane różnie, ale można je podzielić na adopcję wewnętrzną, pełną lub dostęp do zapłodnienia in vitro.

Na razie Polska jest jednym z ostatnich krajów, który nie poddaje się temu szaleństwu, ale presja unijnych ideologów jest niebywale silna. Patrząc na uległość rządu Tuska wobec Berlina i Brukseli, trzeba się liczyć z próbą wdrożenia tego neomarksistowskiego obłędu. Zostaną do tego użyte wszelkie siły i narzędzia – organizacje mniejszościowe, propaganda ideologiczna, grupy lobbingowe, naciski polityczne oraz niezwykle hojne programy finansowe. Gdyby ktoś miał jeszcze pokusę wzięcia obietnic Tuska na poważnie, powinien przypomnieć sobie treść deklaracji krakowskiej, ogłoszonej przez posłów PO w 2003 r.: „Będziemy bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa. [...] U podnóża Wawelu, gdzie złożone są szczątki naszych królów i wieszczów – przysięgamy wszystkim Polakom, że od tych zasad nigdy nie odstąpimy".

eprasa.pl f6b642825d

Surogacja to niewolnictwo XXI w.

Wiele matek zastępczych, z którymi rozmawiałam, mówiło, że czuły się odczłowieczone i zniewolone. Od momentu podpisania umowy przez surogatkę aż do porodu każdy etap jest kontrolowany przez kliniki i rodziców zamawiających dziecko

Z Reem Alsalem, specjalną sprawozdawczynią ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt, rozmawia Goran Andrijanić

Przebywa pani w Warszawie przy okazji konferencji o macierzyństwie, którą organizuje Ordo Iuris. Jako prelegent ma pani mówić o surogacji i o tym, jak może być związana z przemocą nad kobietami. W zeszłym roku opublikowała pani sprawozdanie dla ONZ, w którym również o tym mówiła. O co właściwie chodzi?

Reem Alsalem: Niestety surogacja jest nieuchronnie związana z przemocą wobec kobiet oraz ich wykorzystywaniem. Opiera się na idei uprzedmiotowienia zdolności reprodukcyjnych kobiet. To wielomiliardowy przemysł, który byłby niemożliwy, gdyby nie wykorzystywanie trudnej sytuacji kobiet, uważających, że jedynym sposobem na utrzymanie siebie i swoich dzieci jest przyjęcie roli matki zastępczej. To trochę jak prostytucja. Dla mnie systemy prostytucji i macierzyństwa zastępczego są bardzo podobne. Uprzedmiotawiają funkcje reprodukcyjne kobiet i dziewcząt, wykorzystując ich niepewną sytuację. Rzadko się zdarza, aby bogate i zamożne kobiety zostawały matkami zastępczymi. Dotyczy to tylko kobiet biednych lub dotkniętych wojną, np. na Ukrainie, gdzie surogacja jest powszechnym zjawiskiem. Chodzi o pewne rozszerzenie systemu, w którym wszystko można kupić i sprzedać, w tym dzieci i funkcje reprodukcyjne.

Można jednak zapytać, co złego jest w tym, że biedna kobieta zarabia na życie, a ktoś będzie szczęśliwy, bo dostał upragnione dziecko.

Po pierwsze, jest mitem, że większość pieniędzy dostają matki zastępcze. Największa część trafia do klinik, które są

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl f6b642825d

pośrednikami i czerpią z tego ogromne zyski. Kobiety te rezygnują z kontroli nad swoim ciałem i autonomii poprzez macierzyństwo zastępcze, ponieważ po podpisaniu umowy, której często nie rozumieją, oddają pełną kontrolę zleceniodawcom kupującym dziecko oraz pośredniczącym w tym procederze klinikom. Dobro matek zastępczych jest ignorowane.

Od momentu podpisania umowy przez matkę zastępczą aż do porodu każdy etap jest kontrolowany przez kliniki i rodziców zamawiających dziecko. W dowolnym momencie mogą oni podjąć decyzję o aborcji – nawet jeśli dziecko jest zdrowe – tylko dlatego, że mają na to ochotę. Sytuacja, w której znajdują się te kobiety, jest porównywalna do niewolnictwa. Nie mają się do kogo zwrócić, ponieważ są związane umową i nie mają dostępu do prawników. Wiele matek zastępczych, z którymi rozmawiałam, mówiło, że czuły się odczłowieczone i zniewolone. Wiele z nich nie zdaje sobie sprawy z wpływu hormonów wstrzykiwanych im w celu zajścia w ciążę. Największy szok stanowi natomiast rozwijająca się więź z dzieckiem i psychologiczny ciężar, jaki niesie ze sobą rozłąka z nim. Po porodzie dziecko jest natychmiast odrywane od matek zastępczych. Istnieje również wiele udowodnionych szkód dla dzieci. Biologiczna i psychologiczna więź między dzieckiem a matką jest tak silna, że rozłąka powoduje traumę na całe życie. Nie mówiąc o tym, że każde dziecko ma również prawo do poznania swojego pochodzenia i tego, kim są jego rodzice. Jest jednak oddzielone i o tym nie wie.

Są również przypadki, że dzieci, które zostały kupione, zostały wykorzystane seksualnie lub w celu pozyskania ich organów. Nie znamy skali tego zjawiska. To mit, że wszyscy kupujący dzieci naprawdę chcą zostać rodzicami. Nie mamy żadnego nadzoru nad tym procesem i nikt go nie monitoruje. Obserwuje się również coraz częstszy trend wśród zamożnych kobiet, które pragną mieć dziecko, ale nie chcą być w ciąży.

W swoim raporcie zaleca pani zakaz macierzyństwa zastępczego.

Nie używam słowa „zakazać", lecz „znieść". Dla mnie istnieje nawet różnica prawna. Przykładowo zakazuje się palenia nikotyny, skupiając się na zdelegalizowaniu samego aktu, kiedy zaś mówimy o zniesieniu, chcemy wykorzenić pierwotne przyczyny prowadzące do rozkwitu czegoś. W centrum każdego zniesienia znajduje się inicjatywa mająca na celu powstrzymanie popytu. Musimy zniechęcać rodziców zlecających macierzyństwo zastępcze, karać prawnie kupowanie dzieci i nakładać sankcje na pośredników, czyli kliniki. Zniesienie oznacza również, że kobiety zaangażowane w macierzyństwo zastępcze traktuje się jak ofiary – ponieważ w istocie nimi są. Oznacza to, że nie karze się tych kobiet, ale zapewnia im strategie wyjścia z sytuacji, w której czują, że muszą podjąć się roli matki zastępczej. Trzeba wspierać ich możliwości generowania dochodu, a także zapewnić im wsparcie psychologiczne.

Jednym z wyzwań jest również spadający wskaźnik dzietności na świecie, w tym w Europie. To duży problem, że państwa uciekają się do macierzyństwa zastępczego jako doraźnego rozwiązania. Zamiast tego musimy stworzyć warunki umożliwiające kobietom, które chcą zostać matkami, realizację tego pragnienia. Musimy też przestać demonizować macierzyństwo.

W swoim drugim raporcie na temat przemocy wobec kobiet, opublikowanym w zeszłym roku, pisze pani, że uznanie rzeczywistości biologicznej płci jest kluczowe dla przeciwdziałania nowym formom ucisku, jakim poddawane są kobiety i dziewczynki. Co miała pani na myśli?

Zapis, że dyskryminacja ze względu na płeć jest nielegalna, zawarto we wszystkich najważniejszych międzynarodowych dokumentach dotyczących praw człowieka, od Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka po Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych. Nawet Karta Narodów Zjednoczonych w art. 11 stanowi, że ONZ będzie pracować nad wyeliminowaniem dyskryminacji ze względu na płeć. To ustalone prawo międzynarodowe.

Nikt nie definiował wtedy płci, ponieważ wszyscy wiedzieliśmy, o czym mówimy. Teraz istnieją jednak pewne grupy, które twierdzą, że płeć oznacza także tożsamość płciową i dlatego wszystkie prawa przysługujące kobietom muszą dotyczyć mężczyzn identyfikujących się jako kobiety. A ja mówię nie, to jest sprzeczne z prawem międzynarodowym. Istnieją prawa przysługujące kobietom z racji ich płci, których nie można podporządkować prawom innych grup ze względu na tożsamość płciową. Są sytuacje, w których kobiety potrzebują przestrzeni – konkretnie i symbolicznie – przeznaczonych wyłącznie dla nich.

Na przykład?

Z pewnością sport. MKOl nareszcie podjął decyzję o zakazie udziału kobiet transpłciowych w igrzyskach olimpijskich. Musimy być świadomi, że istnieją biologiczne różnice między mężczyznami a kobietami, nawet przed okresem dojrzewania, i z tego powodu w sporcie zawsze będziemy mieli do czynienia z przewagą mężczyzn.

Drugą przestrzenią, która powinna być zarezerwowana tylko dla kobiet, jest system kwotowy. Konwencja w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet (CEDAW) stanowi, że aby promować prawa kobiet i zrekompensować historyczną dyskryminację, której doświadczają, kraje mogą podejmować pozytywne działania. Dlatego są państwa, w których obowiązuje np. parytet miejsc w parlamencie, ponieważ chcemy zachęcić więcej kobiet do udziału w polityce. Teraz w niektórych z tych krajów widzimy mężczyznę, który startuje w ramach miejsca przeznaczonego dla kobiety. To samo dotyczy nagród. Jeśli przyznaje się nagrody literackie kobietom, mężczyźni nie powinni być brani pod uwagę w tych kategoriach.

A co z przestrzenią prywatną?

To również jest problem. Istnieją przestrzenie, w których kobiety mogą być narażone na przemoc lub nadużycia. Są to toalety, więzienia, a także schroniska dla kobiet, które padły ofiarą przemocy. Nie twierdzimy, że wszyscy mężczyźni to gwałciciele, ale realia są takie, że to oni najczęściej są sprawcami przemocy wobec kobiet. W tych sytuacjach nie ma obiektywnego sposobu na wyeliminowanie mężczyzn z tych przestrzeni. Dlatego trzeba tworzyć takie warunki, by kobiety mogły czuć się w nich bezpiecznie.

eprasa.pl f6b642825d

W swoich sprawozdaniach zwracaliście również uwagę na problem nieletnich zgłaszających dysforię płciową, których łatwo poddaje się tranzycji i nieodwracalnym interwencjom medycznym związanym ze zmianą płci.

Holandia jest krajem, który jako pierwszy wprowadził medyczną tranzycję dzieci w ramach systemu zwanego protokołem holenderskim. Powszechnie wiadomo, że zdecydowano się na jego przyjęcie mimo braku danych, które jasno potwierdzają, że osoba po tranzycji medycznej poczuje się lepiej.

Jeśli chodzi o dzieci i podejmowanie przez nie decyzji, to nie powinny być one traktowane jak dorośli. Nie mogą decydować w sprawie procedur, które będą miały długotrwały wpływ na ich ciała, takich jak mastektomia, usunięcie macicy, okaleczanie żeńskich narządów płciowych czy usunięcie penisa. Przez lata w wielu krajach dzieciom pozwalano na to tylko dlatego, że mówiły: „Cierpię w swoim ciele". Są one zachęcane do działań, które zaczynają się od tranzycji społecznej, następnie prowadzi się je do tranzycji medycznej, bez możliwości rzeczywistej oceny, skąd bierze się to cierpienie.

Większość tych dzieci nie cierpi na dysforię płciową, ale ma problemy z depresją lub są ofiarami znęcania się albo przemocy seksualnej. Jest również tak, że dość często odczuwają pociąg do przedstawicieli tej samej płci, lecz albo podświadomie są homofobami, albo spotykają się z przejawami homofobii w swoim otoczeniu i dlatego interpretują ten pociąg jako dysforię płciową. W wielu krajach istnieje system, który pozwala na natychmiastową operację takich dzieci.

Czy nie chodzi tu o pieniądze, które zarabiają kliniki zajmujące się tranzycją?

Chodzi o pieniądze oraz ideologię. Niektórzy żywią przekonanie, że jest ktoś taki, jak dziecko transpłciowe. Nie ma żadnych dowodów medycznych potwierdzających istnienie wrodzonej transpłciowości. Część strategii komunikacyjnej w branży tranzycji polegała na tym, że mówiono: „Jeśli natychmiast nie przeprowadzicie tranzycji dziecka, popełni samobójstwo". To również nie było oparte na żadnych faktach naukowych. Niedawno w Finlandii opublikowano badanie dotyczące osób po tranzycji. Pokazało ono, że brakuje dowodów na to, że zmiana płci doprowadziła do poprawy kondycji psychicznej tych osób. Co więcej, może ona prowadzić do pogłębienia lęku i pogorszyć stan psychiczny. Większość krajów, które pozwalały dzieciom na tranzycję, wycofuje się z tego. Jednocześnie obawiam się, że w Europie trend zakazujący terapii konwersyjnej może być wykorzystywany do dalszego promowania tranzycji dzieci.

W jaki sposób?

Terapia konwersyjna jest uznawana za formę tortur, nieludzkiego i poniżającego traktowania. Oczywiście mogę się z tym zgodzić. Problem pojawia się wtedy, gdy definiuje się terapię konwersyjną tak szeroko, że zabrania ona badania każdego cierpienia dziecka lub osoby dorosłej zgłaszających dysforię płciową. Samo badanie psychologiczne jest określane jako próba terapii konwersyjnej. To wielki problem, ponieważ prowadzi do cenzurowania wszelkiej krytyki procedur tranzycji.

> Obserwuje się coraz częstszy trend wśród zamożnych kobiet, które pragną mieć dziecko, ale nie chcą być w ciąży

Co mamy zrobić, by to zatrzymać?

Nie powinniśmy pozwalać na poddawanie nieletnich nieodwracalnym interwencjom medycznym. Powinniśmy umożliwić odpowiednie zbadanie ich zdrowia psychicznego i fizycznego, gdy doświadczają cierpienia, aby naprawdę określić, na czym polega problem.

Czy prezentując takie stanowisko, nie czuje się pani trochę osamotniona w instytucjach ONZ?

Nie widziałam, by jakakolwiek agencja ONZ otwarcie mówiła o niesprawiedliwości i złym traktowaniu dzieci w trakcie tranzycji medycznej. Wiele organizacji praw człowieka nadal opowiada się za dostępem dzieci do tranzycji i zmianą płci. Wśród wielu podmiotów działających na rzecz praw człowieka panuje przekonanie, że istnieje coś takiego, jak dziecko transpłciowe. Nie sądzę, aby była to prawda. Tak, w ONZ czuję się odosobniona w tej opinii. Ale jak już wspomniałam, wiele państw wycofuje się z tych procedur.

Zamiast dbać o dzieci i ich dobrostan, niektórzy cały czas dbają o ideologię.

Cóż, podobną sytuację mamy w przypadku nieograniczonego dostępu dzieci do brutalnej pornografii oraz nadużyć, których doświadczają w internecie. Nie podjęliśmy jeszcze żadnych realnych działań, aby położyć temu kres.

Myślę, że niektóre kraje stoją przed koniecznością rozliczenia. Zaczynają rozumieć, co kryje się za koncepcją tranzycji. Coraz częściej mamy też do czynienia z ludźmi, którzy zdecydowali się na tranzycję, a nie mogą liczyć na wsparcie. Zaczynają mówić o swoich doświadczeniach i o tym, jak ich ciała zostały okaleczone, że pozwolono im podejmować decyzje, których nigdy nie powinni byli powziąć w dzieciństwie.

Problem polega również na tym, że rodzice, którzy próbują się temu przeciwstawić, również są oczerniani. Jeśli jesteś rodzicem w Niemczech i próbujesz uratować swoje dziecko przed tranzycją, może ci ono zostać odebrane. Podobnie w Szwajcarii. To ogromny problem. W Stanach Zjednoczonych nauczyciel może przeprowadzić tranzycję ucznia bez wiedzy jego rodziców. To duży problem, który niszczy relację rodziców z dziećmi.

Jest to dziwna koncepcja, według której udajemy, że dzieci mogą podejmować ważne decyzje o sobie. Dlatego dorośli zawsze muszą szanować wolę dziecka. Ale to nieprawda. Zgodnie z prawem międzynarodowym każde działanie dotyczące dzieci musi być zgodne z jego najlepszym interesem.

eprasa.pl f6b642825d

Rozpadające się europejskie mocarstwo

Kryzys, degradacja i rozczarowanie – to najkrótszy opis tego, czego doświadcza dziś Wielka Brytania

MAREK BUDZISZ

„Czy jest już za późno, by uratować Wielką Brytanię?” – pyta we wstępie do swego artykułu Allister Heath, redaktor naczelny konserwatywnego „The Telegraph”. „Czy rozkład jest zbyt głęboki, upadek zbyt zaawansowany, a nasz system polityczny zbyt osłabiony, by zmienić kurs, czy też pozostała iskierka nadziei, że pewnego dnia odzyskamy choć część naszej wielkości?”. Szukając odpowiedzi na to pytanie, Heath napisał, że jeszcze w ubiegłym roku uważał, iż jego ojczyzna miała 25 proc. szans, aby nie stać się „państwem upadłym”, ale po ostatnich wydarzeniach jego pesymizm wzrósł i dziś dawałby Zjednoczonemu Królestwu jedną szansę na sześć, by uniknąć takiego losu.

Wskaźniki gospodarcze są fatalne, zadłużenie kraju rośnie w ekspresowym tempie, a na dodatek system polityczny znalazł się w głębokim kryzysie, co jeszcze pogarsza sytuację, bo niezależnie od tego, kto rządzi, perspektywy poprawy są niewielkie. Brak pomysłu, jak zmienić sytuację, intelektualna bezradność rządzących i opozycji zwiększają destabilizację. Fraser Nelson, komentator polityczny „The Times”, przytoczył opinię jednego z włoskich dzienników, który napisał niedawno, że Larry, kot mieszkający w siedzibie brytyjskiego premiera przy Downing Street 10, już wkrótce będzie miał okazję oglądać siódmego lokatora. „Kiedy Włosi kpią z ciebie z powodu niestabilności demokracji – napisał Nelson – oznacza to, że mamy problem”. „Staliśmy się światowym pośmiewiskiem” – dodał sarkastycznie.

Fot. Michael Tubi/Shutterstock.com

eprasa.pl f6b642825d

PRAWICA ROŚNIE W SIŁĘ

Wiele wskazuje na to, że po przyszłotygodniowych wyborach uzupełniających, które w świetle sondaży ma szansę wygrać Andy Burnham, burmistrz Wielkiego Manchesteru i rywal Starmera, polityk cieszący się większym poparciem w Partii Pracy niż urzędujący premier, w ugrupowaniu tym rozpocznie się wewnętrzna walka o władzę, co może jeszcze bardziej zdestabilizować sytuację. Tym bardziej że w przeciwieństwie do szefa rządu, uchodzącego za przedstawiciela partyjnego centrum, jego rywala popiera lewica, dążąca do przesunięcia kraju w lewo i opowiadająca się za wzrostem podatków, upaństwowieniem części gospodarki oraz dalszą liberalizacją polityki migracyjnej. Ale nawet jeśli Burnham wygra prawybory i obali urzędującego premiera, jego mandat nie będzie silny. Kandyduje on w Makerfield, okręgu robotniczym, tradycyjnie głosującym na laburzystów.

Tym razem jego sukces nie jest pewny, bo Reform UK, najpopularniejsza obecnie partia w Wielkiej Brytanii, której kandydaci wygrali ostatnie wybory lokalne i dwa głosowania w wyborach uzupełniających, wystawiła przeciw Burnhamowi – który był już ministrem i jest jedną z gwiazd brytyjskiej polityki – Roberta Kenyona, lokalnego radnego, z zawodu hydraulika. Sondaże wskazują na 10-proc. przewagę burmistrza Wielkiego Manchesteru, ale na wynik, jaki osiągnie Reform UK, wpływ będą miały dwa czynniki.

Po pierwsze, nie wiadomo, ilu wyborców odda swe głosy na Rebeccę Shepherd z Restore Britain, partii założonej przez tych, którzy odeszli z Reform UK i formułują program o jeszcze bardziej prawicowym obliczu niż formacja Nigela Farage'a. Gdyby dodać sondażowe wyniki Kenyona i Shepherd, to przewaga Partii Pracy topnieje do 2 proc., co oznacza, że wynik do końca nie będzie pewny. Tym bardziej że Reform UK zawsze osiągała lepsze rezultaty wyborcze, niż wskazywały badania opinii publicznej, na dodatek Wielką Brytanią niemal w przeddzień wyborów wstrząsnęły dwie sprawy – Henry'ego Nowaka w Southampton i Stephena Ogilviego z Belfastu.

PROBLEM Z NIELEGALNYMI MIGRANTAMI

W tym pierwszym przypadku powszechne oburzenie i gniew wywołało to, że zakuto w kajdanki umierającego, dźgniętego kilka razy nożem, niewinnego chłopaka oraz ujawniono przez media powody takiego zachowania policji. Okazało się, że w trakcie wielu szkoleń funkcjonariusze byli instruowani, jak interweniować w przypadku incydentu z udziałem przedstawicieli mniejszości etnicznych. Kładziono nacisk na walkę z wyimaginowanym rasizmem, co w rezultacie dało efekt odwrotny – pojawił się rasizm, tyle że zwrócony przeciw białym. Ofiarą tych nowych porządków padł Henry Nowak.

> Zadłużenie publiczne Wielkiej Brytanii rośnie obecnie najszybciej na świecie (z wyjątkiem Botswany). Dynamicznie zwiększają się za to wydatki socjalne

Starmer, który publicznie klęczał po zabiciu przez policję George'a Floyda w Stanach Zjednoczonych, nie zdobył się na podobny gest, kiedy ofiarą padł biały obywatel Wielkiej Brytanii o polskich korzeniach. W Belfaście, gdzie Hadi Alodid, 30-letni migrant z Sudanu, próbował swej ofierze odciąć nożem głowę, sprawy wymknęły się spod kontroli. Policja interweniowała z opóźnieniem, napastnika obezwładnili (używając kija do krykieta) lokalni mieszkańcy, co wywołało powszechne komentarze pod adresem stróżów prawa w rodzaju „nigdy was nie ma". Na dodatek okazało się, że granica z Irlandią Północną jest praktycznie niestrzeżona i swobodnie przekraczają ją migranci z krajów afrykańskich i arabskich, którzy potem dostają azyl.

Media ujawniły, że negocjowane przez długie miesiące porozumienie w sprawie brexitu, gdzie jednym z głównych punktów spornych była właśnie kwestia ochrony granicy z Irlandią, jest w gruncie rzeczy fikcją, bo od jego podpisania Wielka Brytania cofnęła tylko jednego nielegalnego migranta, a co roku przybywają ich setki tysięcy. Tego rodzaju informacje rodzą podejrzenia o „zdradę elit", które ignorują opinię wyborców, realizując własne cele. Jonathan Hall z organizacji monitorującej terroryzm stwierdził, że imigrację należy traktować jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, a przemoc ze strony przybyszów ma coraz większy wpływ na jego stan. Podobnie uważają nawet ankietowani przez media wyborcy tradycyjnie głosujący na laburzystów w Makerfield, którzy są zdania, że kraj „znajduje się w koszmarnym położeniu" i rządzącym trzeba dać ostrzeżenie.

To zaś oznacza, że nawet jeśli Burnham wygra wybory i obali Starmera, to jego mandat będzie słaby, poparcie dla Partii Pracy w skali kraju nie wzrośnie, a proponowane rozwiązania w postaci podniesienia podatków dla najzamożniejszych raczej nie przyniosą pożądanego efektu, czyli odrodzenia gospodarki.

FINANSOWA KATASTROFA

KPMG, globalna firma doradcza, prognozuje, że gospodarka Wielkiej Brytanii urośnie w tym roku o 0,8 proc., oczywiście jeśli szybko zakończy się kryzys wokół Iranu. W poprzednim roku wzrost wyniósł 1,4 proc., co też trudno uznać za imponujący wskaźnik. Dynamicznie zwiększają się za to wydatki socjalne i zadłużenie publiczne. Obecnie rośnie ono najszybciej na świecie (z wyjątkiem Botswany) i od początku tysiąclecia, kiedy w Londynie po raz ostatni cieszono się z nadwyżki budżetowej, dług publiczny zwiększył się trzykrotnie – z poziomu 30,4 proc. PKB do 95,5 proc. PKB. Rządy konserwatystów niespecjalnie różniły się od okresów, kiedy władzę sprawowała Partia Pracy, były równie fatalne, co jeszcze pogłębia kryzys zaufania i zwiększa rozczarowanie wyborców niewidzących alternatywy.

Każdego dnia zadłużenie rośnie o 650 mln funtów i ekonomiści są zdania, że zbliża się moment, kiedy Londyn, nie mogąc sobie poradzić, będzie zmuszony zwrócić się z prośbą do Międzynarodowego

Autopromocja

eprasa.pl f6b642825d

Funduszu Monetarnego o uruchomienie – wzorem państw Trzeciego Świata – programu ratunkowego. To jeszcze pogłębi poczucie destabilizacji oraz wzmocni negatywne trendy społeczne i na rynku pracy.

Z ostatnich raportów opracowanych na zlecenie Konfederacji Rekrutacji i Zatrudnienia wynika, że w Zjednoczonym Królestwie rośnie liczba tymczasowych miejsc pracy, co – jak argumentuje publicysta lewicowego „The Independent" – jest wywołane „niskim zaufaniem do gospodarki" i presją na obniżanie kosztów. Młode pokolenie ma coraz gorsze perspektywy, czego efektem jest z jednej strony emigracja, z drugiej zaś rosnąca liczba tych, którzy nic nie robią. Liczba osób klasyfikowanych jako NEET – młodych, którzy nie uczą się, nie pracują i nie odbywają szkoleń – osiągnęła już milion osób i stale się zwiększa.

W Wielkiej Brytanii zaobserwowano też inne zjawisko na rynku pracy –tworzenie się „wykształconego proletariatu". Z jednego z ostatnich raportów think tanku Policy Exchange na temat wyższego wykształcenia w Zjednoczonym Królestwie wynika nie tylko, iż systematycznie spada jego poziom, rosną za to koszty ponoszone przez studiujących (kredyty studenckie), lecz także – co gorsza – ten zwiększony wysiłek nie idzie w parze z „nagrodą" w postaci awansu materialnego absolwentów. Pięć lat po ukończeniu edukacji na poziomie wyższym jeden na dziesięciu z nich zyskuje wynagrodzenie poniżej pensji minimalnej, co oznacza, iż system edukacyjny produkuje nowy proletariat – wykształconą, sfrustrowaną i pozbawioną nadziei grupę społeczną, stającą się zarzewiem polaryzacji.

Zgodnie z zapowiedziami Starmera, nakłady na politykę socjalną, które w roku budżetowym 2024/2025 przekroczyły 300 mld funtów, do końca dekady mają wzrosnąć do ponad 400 mld funtów, a dominujące frakcje w jego partii chcą jeszcze więcej. Już teraz indywidualne zasiłki społeczne pobiera 3,9 mln osób, co kosztuje budżet 26 mld funtów. Do 2030 r. wydatki tylko na ten program mają skoczyć do 40 mld funtów.

Brakuje za to pieniędzy na inne cele, w tym uzbrojenie i rozbudowę sił zbrojnych. Wielka Brytania utrzymuje najmniejsze siły lądowe od początku XVIII w., a Royal Navy jest cieniem własnej potęgi. Obecny rząd od zeszłego roku zwleka z ogłoszeniem precyzyjnego planu wydatków na obronność, do czego zobowiązał się na ostatnim szczycie NATO. Przez media przetacza się fala listów otwartych byłych dowódców sił zbrojnych, którzy w alarmującym tonie piszą o degradacji zdolności i nieprzygotowaniu do obrony Zjednoczonego Królestwa.

Odpowiedzią na apele o zwiększenie wydatków są zapowiedzi kolejnych ograniczeń. Dziura w budżecie Brytyjskich Sił Zbrojnych jest szacowana przez komisję Izby Gmin na 28 mld funtów, a zgodnie z ostatnimi deklaracjami kanclerz skarbu Reeves rząd może przeznaczyć na jej pokrycie maksimum 15 mld funtów – bo tyle zdoła uzbierać. Zniechęcony ciągłym targowaniem się o pieniądze, których jest zawsze zbyt mało, do dymisji podał się John Haley, minister obrony, a w jego ślady poszedł Al Carnes, odpowiadający za chronicznie niedofinansowane siły lądowe.

James Cartlidge, minister finansów w konserwatywnym gabinecie cieni, zwrócił uwagę mediów, iż rząd Starmera podniósł w tym roku podatki, co pozwoliło mu uzyskać dodatkowe 60 mld funtów. To zaś oznacza, że programy socjalne nadal są hojnie subwencjonowane, ciężary rosną, a problemy z finansowaniem sił zbrojnych to raczej kwestia priorytetów, a nie braku środków. Oszczędności i opóźnienia w siłach zbrojnych nie mają końca. Na początku czerwca „The Telegraph" informował, że plany zakupu 12 myśliwców F-35A Stealth „mogą zostać odroczone lub całkowicie porzucone". Ich pozyskanie – a są to maszyny zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych i dlatego Londyn miał je zamiar nabyć – miało być kluczowym narzędziem zwiększania wiarygodności brytyjskiego „parasola nuklearnego". Podobny los może czekać projekt budowy okrętów nowej generacji, które miały wejść do służby pod koniec przyszłego dziesięciolecia. W rządzie trwają wewnętrzne dyskusje o wstrzymaniu tego projektu pod pretekstem konieczności uwzględnienia zmian w sposobie walki zaobserwowanych na Ukrainie. To, że siły zbrojne muszą korzystać z doświadczeń ukraińskich, jest oczywiste, ale tempo wdrażania nowych konstrukcji też ma znaczenie. Opóźnienia i niedofinansowanie nie zwiększa wiarygodności odstraszania.

CO DALEJ?

Gospodarka w kryzysie, napięcia na tle polityki migracyjnej, zniechęcenie i rosnąca emigracja ze Zjednoczonego Królestwa (statystki jej nie ujawniają, bo operuje się kategoriami netto, co oznacza, że liczba wyjeżdżających jest przykrywana danymi o przybywających) to społeczny wymiar degradacji Wielkiej Brytanii. Zwolennicy Unii Europejskiej, diagnozując sytuację, mówią o negatywnych skutkach brexitu, co można uznać za przekonujący argument, gdyby nie fakt, że sytuacja na kontynencie nie jest lepsza. Na to nakłada się głęboki kryzys systemu politycznego. Jeśli sytuacja się nie zmieni, to tradycyjne partie w rodzaju Partii Konserwatywnej, a także Partii Pracy, mogą zostać zmiecione ze sceny publicznej. Zamiast wizji, jak wyjść z kryzysu, obywatele Wielkiej Brytanii dostaną polaryzację, zamieszki, polityczne konflikty i brak nadziei.

Aspiracje nadal są wysokie i elity myślą o Wielkiej Brytanii w kategoriach rozgrywającego, może już nie w wymiarze światowym, ale z pewnością europejskim. Ten rozziew między realnymi możliwościami a starymi kliszami mentalnymi przez pewien czas można tuszować kwiecistymi deklaracjami, ambitnymi programami czy spotkaniami przywódców świata. Zapewne znajdą się tacy, którzy w to uwierzą, ale nie zmienia to faktu, że zbliża się kolejny 31 marca 1947 r. Wówczas Wielka Brytania musiała zaprzestać finansowania greckiego rządu walczącego z komunistycznym powstaniem i wycofała stamtąd swoje wojska. Nie miała już pieniędzy i siły na kontynuowanie dotychczasowej polityki. Historycy uznają tę decyzję za jeden z kluczowych przejawów zmierzchu Pax Britannica. Sytuację Grecji udało się wówczas uratować, bo obowiązki Brytyjczyków przejęli Amerykanie. Pytanie, kto dzisiaj zastąpi rozpadające się „europejskie mocarstwo", pozostawiam otwarte.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl f6b642825d

Płonący Belfast

To były bez wątpienia najbardziej brutalne antyimigranckie zamieszki, jakie wybuchły dotąd w demokratycznej Europie

JAN ROKITA

Nocne zdjęcie z wtorku 9 czerwca zrobione na położonej w północnym Belfaście Oakley Street natychmiast skojarzyły mi się z fotografiami Charkowa czy Chersonia po kolejnym uderzeniu rosyjskich dronów. Widać na nich po obu stronach ulicy skorupy wypalonych jednopiętrowych domów z czarnymi osmalonymi dziurami po oknach, zniszczoną ogniem nawierzchnię ulicy z odkrytymi rurami gazowymi, spalone wraki aut i poruszające się w ulewnym deszczu mokre sylwetki strażaków.

Fot. Henry Nicholls/AFP/East News

eprasa.pl f6b642825d

Na niektórych zdjęciach, zrobionych krótko po północy, kiedy domów nie opanowały jeszcze pożary, można zobaczyć policyjne opancerzone Land Rovery, którymi wywożeni są mieszkańcy przed spodziewanym atakiem.

Podobne fotografie pochodzą też ze wschodniej części miasta, np. z Newtownards Road, czyli starego centrum protestanckiej klasy robotniczej Ulsteru, gdzie widać wrak spalonego autobusu. Ulewa, jaka spadła na miasto, tym razem była dobroczynna, bo przygasiła pożary, a nad ranem położyła kres rozruchom.

GNIEW MŁODYCH UNIONISTÓW

Tym razem w Belfaście to nie były zwyczajne rozruchy, jakie znamy z telewizyjnych obrazków z Paryża czy Berlina, gdzie płonące auta i starcia manifestantów z policją należą do codzienności. Młodzi unioniści (bo tak zwykło się nazywać społeczność Ulsteru opowiadającą się za przynależnością do Wielkiej Brytanii) skrzyknęli się tamtej nocy błyskawicznie, ale nie po to, by manifestować, lecz by w końcu wziąć odwet na znienawidzonych imigrantach. To były raczej grupy bojowe, nawiązujące do dziedzictwa walk „pomarańczowych" z „zielonymi" (czyli Brytyjczyków z Irlandczykami), które w Belfaście toczono przed zawarciem sławnego porozumienia wielkopiątkowego. Tyle że celem akcji bezpośredniej „pomarańczowej" młodzieży tym razem nie byli – to całkowita nowość w Ulsterze – „zieloni" sąsiedzi, lecz przybysze z Afryki, których rząd w Londynie chętnie zwykł lokować w Belfaście, by nie przysparzali kłopotów w samej stolicy.

Inaczej niż na „normalnych" demonstracjach wśród uczestników obowiązywał zakaz używania smartfonów i robienia zdjęć, więc światowe media nie mają teraz zbyt wielu obrazów z Belfastu. Samodyscyplina „pomarańczowych" okazała się nadzwyczajna, gdyż chyba nikt z uczestników nie opublikował w sieci filmików, które przecież – jak wolno sądzić – miałyby olbrzymie zasięgi.

Zdyscyplinowane były też stroje: czarne bluzy z kapturami i czarne kominiarki, aby uniknąć identyfikacji przez policję. Wszystko to wskazuje na wysoki poziom samoorganizacji młodych unionistów, którzy musieli być nieźle przygotowani na taką okoliczność.

BRUTALNY ATAK SUDAŃCZYKA

To, co zdarzyło się w poniedziałek, musiało wstrząsnąć miastem. O wpół do jedenastej na Kinnaird Avenue, parę kroków od szerokiej i ruchliwej arterii Antrim Road, 30-letni Sudańczyk powalił na chodnik przechodzącego mężczyznę i wyjął kuchenny nóż, próbując odciąć głowę napadniętemu. Z tego, co wiemy, nic nie łączyło mordercy i ofiary poza tym, że napadnięty to biały Ulsterczyk, a napastnik – jak można sądzić z ryciny zrobionej na sali sądowej – to nie Murzyn, lecz raczej sudański Arab. Masywnej postury, łysiejący, z wąsami i zarostem na twarzy.

> Jest tylko kwestią czasu, gdy po którymś kolejnym przypadku obcinania głowy białemu człowiekowi ginąć zaczną Murzyni, Arabowie i Azjaci, którzy przybyli do Europy, poddani przez rozwścieczony lud odpowiedzialności zbiorowej. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć taki rozwój zdarzeń

Zaatakowany mężczyzna miotał się na ziemi, więc oprawca, nim zdążył mu obciąć głowę (co w końcu zabiera trochę czasu), wybił mu lewe oko i pokiereszował nożem twarz i kark. Do morderstwa jednak nie doszło, a ofiara znalazła się w szpitalu w stanie ciężkim.

Jak mówił w środę rano brytyjski minister ds. Irlandii Północnej Hilary Benn, napadniętego ocalił człowiek, który w Ulsterze zyskał już status bohatera narodowego. Maitie Mag Toghearnan (czyli z angielska Matt McKiernan) przejeżdżał obok autem wraz z synem, który tego wieczora trenował hurling – dynamiczną zespołową grę podobną do rugby, w którą ponoć musi grać każdy szanujący się chłopak w Irlandii. Maitie zatrzymał się, wyjął z bagażnika jesionowy kij do hurlingu i kilkakrotnie walnął nim napastnika po głowie. Kolejni przechodnie obezwładnili otumanionego oprawcę i oddali go w ręce policji. W spontanicznej zbiórce w sieci „na piwo dla Maitiego" w podzięce za jego odwagę w ciągu kilku pierwszych godzin zebrano przeszło 20 tys. funtów.

Sam fakt, iż sudański napastnik został pokonany przez Irlandczyka za pomocą kija do hurlingu, stał się powodem do dumy dla mieszkańców Belfastu, zwłaszcza tych młodych, z robotniczych dzielnic, nie tylko „pomarańczowych", lecz także „zielonych", na co dzień nieznoszących się nawzajem. Wieść o próbie odcięcia głowy białemu mężczyźnie przez afrykańskiego imigranta oraz o bohaterskim Maitiem obiegła miasto lotem ptaka, czy raczej – z prędkością internetowego twitta.

Już w ciągu dnia we wtorek policja w Belfaście informowała, iż w mieście „w różnych punktach wybuchają sporadyczne zamieszki", apelowała o spokój i o to, by ludzie nie wychodzili z domów. Trudno o bardziej nieskuteczny komunikat w sytuacji, gdy dobrze zorganizowana i wyposażona w koktajle Mołotowa i petardy „pomarańczowa" młodzież właśnie zbierała się w kilku punktach miasta, aby rozpocząć akcję.

Kierunek ataku nie był chaotyczny ani przypadkowy. Wznosząc okrzyki „FOREIGNERS OUT!", manifestanci ruszyli na ulice, przy których zostali osiedleni imigranci. Nie tylko wznoszono płonące barykady przeciw policji, nie tylko palono auta i sklepy imigrantów. Tym razem rzecz była poważniejsza: podpalano zamieszkiwane przez nich domy.

eprasa.pl f6b642825d

To były bez wątpienia najbardziej brutalne antyimigranckie zamieszki, jakie wybuchły w demokratycznej Europie. W Belfaście coś takiego musiało wisieć w powietrzu, skoro policja przystąpiła do natychmiastowej ewakuacji mieszkańców. Na całe szczęście nie ma doniesień o ofiarach. Palono puste domy, na razie nie doszło jeszcze do prawdziwego pogromu.

Do buntowniczej atmosfery w Belfaście przyczyniła się zapewne ponura i głośna historia Henry'ego Nowaka, polsko-angielskiego studenta zamordowanego w Southampton przez sikha. Proces mordercy, który dopiero co był obszernie relacjonowany przez brytyjskie media, uświadomił opinii publicznej, że angielscy policjanci są zindoktrynowani wspieraną przez rząd lewicową propagandą, która nakazuje im tropić rasizm i nietolerancję wśród białych ludzi, a zwłaszcza wśród chrześcijan.

Policjanci w Southampton nie tylko nie udzielili pomocy ranionemu nożem chłopakowi, lecz także zakuli go w kajdanki i doprowadzili do jego śmierci – tak bardzo chcieli okazać względy kolorowemu sikhowi, który zaprzeczał popełnionej przez siebie zbrodni, a ofiarę wskazywał jako winną rasizmu. Policja zadowoliła się potem przeprosinami wobec rodziny zamordowanego chłopaka, ale nie wiadomo, by zaślepionych ideologią policjantów, którzy nie udzielili pomocy umierającemu, ktoś postawił przed wymiarem sprawiedliwości. Nie tylko dla młodzieży w Belfaście musiała to być niezła lekcja stanu brytyjskiej sprawiedliwości.

KRYZYS PO CICHU NARASTA

Kilka godzin po tym, jak ulewa spacyfikowała bunt w Belfaście, brytyjski premier Keir Starmer mówił w parlamencie, że to, co nocą działo się w mieście, było „całkowicie nieuzasadnione i odrażające". Starmer bolał nad „rzeczywistym strachem, jaki ogarnął społeczność imigrantów", nie dopuszczając nawet do siebie myśli o strachu jego rodaków – Anglików i Irlandczyków z Ulsteru, którzy widzą, jak przybysz z Afryki zabiera się do obcinania głowy, zapewne nauczony tego w szkole Państwa Islamskiego. Premierowi wtórował lider liberalnych demokratów Ed Davey, który domagał się zrobienia w końcu porządku z „miliarderami z branży technologicznej". Szło mu zapewne o wpis Elona Muska na platformie X, wskazujący, iż w kwestii napływu imigrantów „tylko wielokrotne i głośne protesty mogą przynieść jakąkolwiek zmianę". Tym samym politycznym językiem o buncie w Belfaście mówią władze Ulsteru: premier Michelle O'Neill, liderka irlandzkiej lewicowej partii Sinn Fein, nazwała zajścia „jawnym bandytyzmem".

Trzeba przyznać, że jakaś nieprzezwyciężalna i zdumiewająca ślepota brytyjskiej elity rządzącej nie pozwala jej dostrzec, iż sama jest winna wznoszącej się fali przemocy przeciw imigrantom oraz postępującemu rozkładowi brytyjskiej państwowości. Niemal wszystkie względnie umiarkowane kroki podejmowane przez kolejne rządy w Londynie w celu zmniejszenia skali migracji w ciągu ostatnich lat kończyły się fiaskiem. Albo z powodu nieudolności tamtejszej władzy i niesterowności państwa, albo z powodu blokad nakładanych wyrokami angielskich sędziów, albo z powodu ideologicznego zaczadzenia lewicowej części establishmentu. A w Wielkiej Brytanii rzecz jest dodatkowo drażliwa politycznie, bo przecież Brytyjczycy nie tak dawno głosowali za brexitem właśnie dlatego, iż promotorzy opuszczenia Unii obiecali im odzyskanie przez państwo kontroli nad granicami.

Tymczasem od czasu brexitu jest coraz gorzej, co zdumiewa tym bardziej, że Londyn nie ma już obowiązku podporządkowania się żadnym wyrokom sądów europejskich, od których przestrzegania w każdej chwili może się uchylić. Pełen przemocy ludowy bunt w Belfaście dotkliwie przypomina więc Brytyjczykom, że brexit okazał się fiaskiem. Ale przypomina także całej Europie, że kryzys wokół imigracji nieustannie po cichu narasta i będzie eksplodować coraz bardziej gwałtownymi zaburzeniami społecznymi. Na razie palą się ulice Belfastu zasiedlone przez imigrantów. Ale jest tylko kwestią czasu, gdy po którymś kolejnym przypadku obcinania głowy białemu człowiekowi zaczną ginąć Murzyni, Arabowie i Azjaci, którzy przybyli do Europy, poddani przez rozwścieczony lud odpowiedzialności zbiorowej. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć taki rozwój zdarzeń.

W Irlandii Północnej rzecz ma jeszcze jeden doniosły aspekt. Na łamach gazety „UnHerd" pisze o nim w arcyciekawym reportażu Aris Roussinos, który noc z 9 na 10 czerwca spędził na ulicach ogarniętego rozruchami północnego Belfastu. Tradycyjnie antyimigracyjna jest tu społeczność unionistów, której politycznym rzecznikiem pozostaje DUP (Demokratyczna Partia Unionistów) – formacja społecznie konserwatywna, eurosceptyczna i twardo probrexitowa. Katolicka większość w Ulsterze, reprezentowana przez lewicową Sinn Fein, bardziej niźli przybyszów z Afryki i Azji obawia się dominacji unionistów, wrogich wobec Europy, języka irlandzkiego i pogardliwie traktujących katolickich robotników, zamieszkałych w dzielnicach protestanckich. I oto teraz, po upływie niemal trzech dekad od porozumień wielkopiątkowych, w Belfaście pojawiły się zdumiewające przejawy sympatii społeczności „zielonych" wobec brutalnej antyimigranckiej akcji „pomarańczowej" młodzieży.

Tak opisuje to Roussinos: „Oto katolicy z klasy robotniczej wyszli na ulice, by obserwować zamieszki swoich protestanckich sąsiadów z antropologicznym dystansem, w którym nie widać już było dawnej pogardy. Nigdy dotąd nie słyszałem, by katoliccy robotnicy z głęboko republikańskich rejonów mówili o zjednoczeniu »pomarańczowych i zielonych« inaczej niźli z drwiną. Na rondzie Ardoyne, jednym z najbardziej niestabilnych sekciarskich miejsc w północnym Belfaście, protestujący z obu społeczności uścisnęli sobie dłonie i oświadczyli przyjaźń, co robiło wrażenie oszałamiającej sceny". Być może kiedy pewnego dnia dojdzie do prawdziwego pogromu imigrantów, katolicka klasa robotnicza w Belfaście będzie już szła ręka w rękę z protestanckimi unionistami.

eprasa.pl f6b642825d

Najważniejsza sprawa naszego życia

Polscy naukowcy powinni na polskich dzieciach porównać bezpieczeństwo podawanych im szczepionek. Nie ufać propagandzie koncernów i ich komiwojażerów w różnych przebraniach

Z Delem Bigtreem, jednym z najbliższych współpracowników Roberta F. Kennedy'ego jr, ministra zdrowia USA, byłym szefem medialnym jego kampanii prezydenckiej, laureatem Nagrody Emmy za talk show o medycynie „The Doctors", producentem filmów „Vaxxed" i „Niewygodne badanie", liderem ruchu ICAN (Informed Consent Acion Network), rozmawia Maciej Pawlicki

Po co przyjechałeś do Polski?

Del Bigtree: By mówić o rosnącym zagrożeniu utraty wolności, które dotyczy nas wszystkich – nas w USA tak samo, jak was w Polsce. Globalna próba pozbawienia nas wolności jest realizowana przez system ochrony zdrowia. Widzieliśmy gwałtowne przyspieszenie tej operacji podczas pandemii COVID, gdy zakazywano nam poruszania się, pracowania, nawet normalnego oddychania. W USA szczepień odmówiło 30 proc., w Polsce 50 proc. ludzi, czyli wasz poziom samodzielnego myślenia sprawił, że połowa nie poddała się hipnozie wylewanej przez media. A wystarczy 15 proc., by zmienić system, możecie więc dokonać cudów.

Podczas tzw. pandemii jednym z głównych oponentów wobec covidowego terroru był Robert F. Kennedy jr. A potem wystartował w wyborach na prezydenta USA. Byłeś szefem medialnym jego kampanii, kreując wizerunek kandydata i broniąc go przed atakami. Jakie były wasze główne zadania?

RFK powiedział nam, że wystartuje z tego samego powodu, z którego startował jego ojciec. Nie oczekiwał, że wygra, ale chciał mówić ludziom prawdę. Jego ojciec, gdyby nie został zastrzelony, pewnie zostałby prezydentem. Dziś jego syn podobnie widzi swe zadanie. Nasz kraj jest obecnie poddany interesom korporacji. Zdecydowaliśmy się na opuszczenie skorumpowanej Partii Demokratycznej, Bobby wystartował jako kandydat niezależny, zdobył 20 proc. poparcia. Po zamachu zadzwonił do Trumpa z wyrazami solidarności, a Trump powiedział: „Wspaniale walczysz, ale nie wygrasz, a w sprawie zdrowia nikt nie zrobi tego lepiej niż ty, dołącz do nas". Ogłoszenie tej decyzji to jeden z ikonicznych momentów w amerykańskiej polityce – rywale łączą siły, by zrobić coś dobrego dla swego narodu.

Jak to się stało, że RFK, podczas pandemii tak poniewierany, marginalizowany, wyśmiewany, manipulowany, także w Polsce, został zaakceptowany na jednym z najważniejszych stanowisk rządu USA?

Fot. Gage Skidmore/CC BY-SA 3.0

eprasa.pl f6b642825d

RFK był znienawidzony przez koncerny farmaceutyczne, posłusznych im polityków i media. Mówił, że zbliżamy się do państwa totalitarnego, technologia umożliwia całkowite śledzenie, więzienie, które dla nas budują, będzie bezwzględne i perfekcyjne. Miliony ludzi się obudziło i spostrzegło, że to nie RFK oszalał, lecz świat. Zrozumieli, że nasze prawa mogą zostać zdeptane w jednej chwili pod byle pretekstem. Kennedy stał się inspiracją dla tych, dla których wolność jest ważna. Jeśli wolność nie jest najważniejsza także w trudnych czasach, to nie istnieje. RFK nigdy nie zostałby sekretarzem Departamentu Zdrowia, gdyby nie COVID. Dopiero on uświadomił ludziom, jak ważne jest, by na tym stanowisku był człowiek odważny, dociekliwy i niezależny. Trump i Kennedy, znienawidzeni przez korporacje i media, dzięki mediom społecznościowym, dzięki głosowi narodu, objęli dwa najważniejsze na świecie stanowiska w kwestii zdrowia.

Dlaczego zdecydowałeś się robić film o „badaniu"? Przecież badanie to w nauce coś oczywistego, banalnego.

Tak, ale mowa o najważniejszym badaniu, które powinno być wykonywane dla dobra naszych dzieci, dla dobra gatunku ludzkiego – badaniu, które jest zwalczane, ukrywane i zakazywane na całym świecie. W USA mamy najbardziej chore dzieci w historii i w wolnym świecie. 57 proc. naszych dzieci cierpi na co najmniej jedną chorobę przewlekłą. W latach 80. było to 12 proc. To największy upadek zdrowia w historii. Co go powoduje? Nie genetyka, geny nie ewoluują tak szybko. Film „Vaxxed" był o szczepionce MMR i autyzmie. Jeździłem z nim po USA, przeprowadziłem ponad tysiąc wywiadów z ofiarami szczepionek, cierpiącymi nie tylko z powodu autyzmu. Przychodzili rodzice, których dzieci umarły po szczepionce na grypę, były sparaliżowane po Gardasilu czy szczepieniu przeciw HPV oraz wielu innych.

Wciąż słyszymy, że szczepionki są „bezpieczne i skuteczne".

Nie obchodzi mnie kwestia skuteczności, obchodzi mnie to, na jakiej podstawie uznajemy, że są bezpieczne. Widzę ten ocean nieszczęścia, ocean skutków ubocznych i zrozpaczonych rodziców, którym mówi się, że oszaleli, a ich dziecko zachorowało z innego powodu niż przez jeden z kilkudziesięciu preparatów, które mu wstrzyknięto. A w nich żywe wirusy, bakterie, tkanki martwych płodów, metale ciężkie, rtęć, aluminium. Jak to jest, że są takie bezpieczne?

Kiedy nastąpił tak gwałtowny wzrost liczby szczepień?

Kluczowa była ustawa Vaccine Injury Act, która zwalniała producentów z odpowiedzialności za efekty uboczne szczepionek. Podpisał ją Ronald Reagan w 1986 r. Producenci przekonali go, że płacą tak ogromne odszkodowania za skutki uboczne, że nie zarabiają na szczepionkach. Odtąd odszkodowania ofiarom płacą podatnicy. W sprawie leków można pozywać producentów, w sprawie szczepionek – nie. Odtąd liczba szczepionek wystrzeliła, dodano kilkadziesiąt nowych. Wtedy nastąpiła eksplozja chorób alergicznych, immunologicznych i neuropsychiatrycznych. Nagle na całym świecie ludzkie systemy odpornościowe, zamiast chronić nas przed zagrożeniami i zanieczyszczeniami zewnętrznymi, atakują nas – atakują trzustkę, powodując cukrzycę, atakują mięśnie, powodując zapalenia, stwardnienie rozsiane i wiele innych. Musimy zrozumieć powody rozregulowania naszej odporności. Żaden inny ssak nie przechodzi takiego kryzysu swego ciała, tylko ten najmądrzejszy.

A może przyczyny są inne?

Mówią mi: „Skąd wiesz, że to nie fluor, który dodają do wody czy past do zębów, herbicydy i pestycydy, które są w żywności czy hormony, które dodają do mięsa albo wszechobecny plastik?". Ale jest tylko jeden produkt, który został zaprojektowany właśnie tak, by hiperstymulować nasz system odpornościowy. Skoro mamy problemy z systemem odpornościowym, czy nie powinniśmy przyjrzeć się temu, co nieustannie go atakuje i zaburza? Nie 1 raz, nie 10, nie 20, ale 72 razy! [w Polsce 42 – przyp. red.]. Czy jest możliwe, że atakując nasz system odpornościowy kilkadziesiąt razy, rozstroiliśmy go, więc zamiast tego atakuje nas, zamiast bronić? To racjonalne pytanie. Ale to jedyne naukowe pytanie, którego nie wolno zadać.

Naukowcy go nie zadają?

Gdy powiedziałem to na spotkaniu z naukowcami, dr Marcus Zervos z Henry Ford Health, może najlepszego ośrodka na świecie, powiedział, że gdy słyszał, jak twierdzę, że nigdy nie przeprowadzono prawidłowego badania, by naukowo stwierdzić, że szczepionki są bezpieczne. Uważał to za obraźliwe i mając może największą na świecie bazę danych, chciał przynieść dowody na to, że się mylę. Ale ich nie znalazł, przyznał mi rację, iż żadnej szczepionki nigdy nie poddano badaniu zaślepionemu, porównującemu z placebo, czyli jedynego wiarygodnego. Nigdy nie przeprowadziliśmy naukowego badania bezpieczeństwa szczepionki. To jest problem. „To go rozwiąż, przeprowadź takie badanie" – powiedziałem. Zgodził się. Byłem zachwycony, bo to badanie, o które prosimy od dekad.

Brawo, skłoniłeś naukowca do najważniejszego badania.

Przeprowadził je w 2020 r. I odmówił opublikowania wyników. Zapytałem, dlaczego, wszak każdy, kto chce sprawdzić teorię, hipotezę czy nowy produkt, nie powinien być uciszany, a wręcz przeciwnie – zapraszany do zadawania pytań. Weryfikowania, by wzmocnić teorię czy produkt. Na tym przecież polega nauka. Odpowiedział: „Gdy zgodziłem się zrobić to badanie, nie zdawałem sobie sprawy, że będzie ono oznaczać koniec programu szczepień dzieci. Nie mogę ci tego wyjaśnić, ale te rezultaty są straszne. Dla szczepionek". Naciskałem go przez dwa lata, spotkałem się z nim i zrobiłem coś, czego nigdy wcześniej nie robiłem – nagrałem naszą rozmowę ukrytą kamerą, jest w filmie „Niewygodne badanie". Dr Zervos powiedział, że nie opublikuje wyników tego badania, bo to zniszczyłoby jego karierę, byłby „skończony".

eprasa.pl f6b642825d

Robert Kennedy jr wraz z dr. Brianem Hookerem, który także jest ze mną w Warszawie, napisali książkę „Vax-Unvax. Let the Science Speak", do której napisałem wstęp [wydanie polskie „Szczepić – nie szczepić. Prawda o szczepionkach w świetle badań naukowych", 2024], w której z ogromną rzetelnością odsłonili przerażający brak badań naukowych nad skutkami szczepień.

RFK jest teraz ministrem zdrowia, dlaczego nie przeprowadzicie takiego badania na nowo?

W dniu, w którym RFK został sekretarzem Departamentu Zdrowia, dane zostały zniszczone. Musi je zatem zbierać z innych źródeł, ma problemy ze znalezieniem naukowców, którzy chcieliby zaryzykować przeprowadzenie takiego badania, boją się. Myślę zresztą, że każdy kraj powinien je przeprowadzić. Polska powinna to zrobić na swojej grupie badawczej, nie ufać propagandzie koncernów i ich komiwojażerów w różnych przebraniach. Polscy naukowcy powinni porównać na polskich dzieciach bezpieczeństwo podawanych im szczepionek.

Polscy lekarze i naukowcy są prześladowani za kwestionowanie covidowych dogmatów czy przymusu szczepień dzieci, ponad setce z nich wytoczono procesy za zadawanie pytań.

Zadawanie pytań to podstawa nauki. Bez tego nauka nie istnieje. Ci, którzy tego zabraniają, to wrogowie nauki, głupcy lub skorumpowani słudzy rodzącego się totalitaryzmu. W wielu krajach prześladowano lekarzy, którzy mieli odwagę leczyć ludzi chorych na COVID. Lekarze, którzy zyskali 100-proc. skuteczność, lecząc iwermektyną, tracili licencje, a zachowali je ci, którzy nie leczyli ludzi, wysyłali ich do domu i kazali przyjść, gdy pacjent był w bardzo złym stanie. Wtedy podłączano go do respiratora i w 9 na 10 przypadkach nie wychodził żywy. To działo się wszędzie, wedle tej samej instrukcji.

Jaki jest na to – nomen omen – lekarstwo?

Odwaga. Lekarze, którzy mają odwagę zadawać pytania, są bohaterami. Wszyscy, którzy to rozumieją, muszą stanąć razem w obronie swej wolności. Nie wolno nam pozwolić, by to wydarzyło się znowu. A przecież wiemy, że szykują nam kolejną pandemię, wydali miliardy na paszporty szczepionkowe i nie zrezygnowali z nich. Trzeba zacząć pozywać szpitale, izby lekarskie, które ścigają uczciwych i odważnych lekarzy. Oni chcą, byśmy się bali, 50 proc. Polaków nie przyjęło wątpliwego preparatu na COVID, a wasz parlament chce przyjąć ustawę zakazującą terapii innych niż wyznaczone przez koncerny farmaceutyczne. Chcecie być skazani tylko na system, który was okłamywał w sprawie COVID? I nie wie, skąd gwałtowny wzrost turboraka, ataków serca, zakrzepicy, podczas gdy połowa z was zna prawdę?

> Kwestia obowiązkowości szczepień to najważniejsza sprawa naszego życia. Nie ma czasu, tylko kilka lat dzieli nas od utraty naszych dzieci, naszej wolności, naszej przyszłości

Nasze rządy w wielu sprawach idą za wskazaniami USA, ale w tym jednym – nie.

Ameryka jest teraz samotna. Tylko w USA mamy rząd, który wystąpił ze skorumpowanego WHO i otwarcie mówi, że sprawa zdrowia jest wykorzystywana do pozbawiania krajów niepodległości, a obywateli – wolności. Dlaczego wy tego nie robicie? Wybraliśmy Trumpa i Kennedy'ego jr, chociaż w USA tylko 30 proc. ludzi nie poddało się pandemicznemu terrorowi. U was było to aż 50 proc., macie ogromną siłę.

A co z tymi, którzy wierzą, że szczepionki bazują na badaniach naukowych?

A co z tymi, którzy wierzyli w komunizm?

Do polski komunizm przywiozły sowieckie czołgi.

Byli potężni, ale okazało się, że jest wystarczająco wielu ludzi, by obalić komunizm. Teraz także istnieją potężne siły, ale również je można pokonać, pod warunkiem że Polacy staną w obronie swojej wolności. Bo jeśli nie, ustawią was w szeregach jak bydło i będą szczepić nie jedną, nie kilkudziesięcioma, ale setkami szczepionek, które będą decydować o zdrowiu i życiu, o tym czy możesz mieć dzieci. Bill Gates już to robił, został przyłapany na sterylizowaniu dziewczynek w Kenii. Za pomocą szczepionek masowo sterylizowane są zwierzęta, wiadomo, jak to robić. Gdy Gates, Obama, Schwab i Światowe Forum Ekonomiczne mówią, że największym problemem świata jest przeludnienie, a ich ulubionym działaniem jest szczepienie – słuchajmy ich.

Polacy mobilizują się raz na kilka lat, ale są niechętni codziennej aktywności.

Chcesz, by to rząd decydował, jak długo żyjesz, czym masz siłę, by myśleć o tym, czy możesz mieć rodzinę? Tak naprawdę właśnie o tym jest program szczepień. Dlatego są tak wściekle zdeterminowani, by wprowadzić paszporty szczepionkowe. COVID był po to, by zmusić do szczepień nie tylko dzieci, lecz także dorosłych. Chcą mieć kontrolę nad naszymi ciałami, być ich właścicielami. A jeśli mogą wstrzykiwać twoim dzieciom lub tobie co chcą bez twojej zgody, a nawet mimo sprzeciwu, to twoje prawa zostały zredukowane do praw zwierzęcia hodowlanego. Kwestia obowiązkowości szczepień to najważniejsza sprawa naszego życia. Nie ma czasu, tylko kilka lat dzieli nas od utraty naszych dzieci, naszej wolności, naszej przyszłości. Jeśli się nie przeciwstawimy, zdradzimy nasze dzieci, zrezygnujemy z człowieczeństwa.

eprasa.pl f6b642825d

Transkrypcja patologii

DARIUSZ MATUSZAK

Jedno małe rozporządzenie ministrów cyfryzacji i spraw wewnętrznych o nowych wzorach aktów małżeńskich, które z punktu widzenia prawa administracyjnego uruchamia tylko formalną czynność przepisania zagranicznego dokumentu, rozwala polski porządek prawny, ustrojowy i kulturowy dotyczący rodziny

Owo rozporządzenie oznacza bezprawne wprowadzenie w Polsce tzw. małżeństw jednopłciowych. Piszę „tzw.", bo zgodnie z kodeksem rodzinnym małżeństwo może być zawarte tylko przez kobietę i mężczyznę. Podobnie konstytucja określa małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Nie zmienią tego żadna erystyka, łgarstwa ani uwłaczające logice i przyzwoitości manipulacje. Jeśli małżeństwo nie jest związkiem kobiety i mężczyzny, to czym jest? Dowolną konfiguracją dwóch panów, trzech albo panów i pań z całą menażerią, jak psy i koty? Szaleństwo postępu nie zna granic ni kordonów i możemy sobie wyobrazić, że za kilka lat na Zachodzie również takie układanki będą możliwe. W Niemczech zoofilia była legalna do 2013 r. W pewnych środowiskach, np. „Gazety Wyborczej" czy niemieckich mediów działających w Polsce, psy zostały kulturowo zrównane z dziećmi. Na Zachodzie już zdarzają się przypadki uznawania bigamii, co jest związane z postępującą islamizacją.

SZTUCZKI I CKLIWE OPOWIASTKI

Instytucja małżeństwa, jaką znaliśmy, przestaje istnieć i może być poddana dowolnym zmianom wymyślonym na drodze postępu i islamizacji. Okazuje się też, że nawet w takich sprawach jak rodzina Polacy nie mają nic do powiedzenia, tylko muszą przyjąć obcy, narzucany Ordnung. Transkrypcja to sztuczka, oszustwo, gdyż rząd Tuska nie może ustawowo wprowadzić małżeństw jednopłciowych, bo prezydent by to zawetował. Akcji pozyskiwania wyborców o specyficznej orientacji seksualnej towarzyszy kolejne kłamstwo – że niby chodzi o zrównanie ich praw z osobami seksualnie normalnymi. Z nierównością praw mielibyśmy do czynienia, gdyby np. europoseł Szczerba mógł się ohajtać z jakimś, dajmy na to, Bogdanem, a taki zwykły byle Zdzisław z Ryszardem już nie. W epoce postrozumu trzeba przypominać oczywistości, bo będą one wciąż zakłamywane: w Polsce mogą wziąć ze sobą ślub tylko dwie osoby różnych płci, stanu wolnego, niespokrewnione i nieskoligacone ze sobą, nieubezwłasnowolnione i pełnoletnie. Mamy równe prawa, bo te warunki dotyczą każdego.

Żenujące są też łzawe gadki, jakoby państwo stało na przeszkodzie miłości. A co państwo obchodzi, czy ktoś się kocha, czy nie, czy chce brać ślub, bo mama kazała, czy dla kariery, czy dla pieniędzy. W Ameryce nikt nie badał, czy 27-letnia modelka „Playboya" Anne Smith wyszła za mąż za 89-letniego Howarda Marshalla, bo się zakochała w nim, czy w jego miliardach i polach naftowych. Te wszystkie ckliwe opowiastki o miłości i trzymaniu się za rączkę są dobre do romansów, a nie jako kryterium organizowania wspólnoty. Ta hołubi małżeństwo kobiety i mężczyzny, bo z tego stałego związku mogą być dzieci, które zapewnią wspólnocie przyszłość. Ze związków jednopłciowych dzieci nie ma, więc nie ma najmniejszego powodu, by nadawać im takie same przywileje i rozmontowywać kulturową oraz społeczną konstrukcję, jaką jest normalna rodzina.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f6b642825d

CYWILIZACYJNE BAGNO

Wystarczyło jedno pokolenie, 30 lat, by Zachód zgłupiał do tego stopnia, że nie wiadomo, kto z kim, pod kim albo nad kim i w jakiej kombinacji. Pierwszym krajem, który zalegalizował związki homoseksualne, była Dania – w 1989 r., a potem cała Skandynawia. W tym samym czasie, do 1994 r., w Niemczech homoseksualizm był ścigany karnie, na podstawie nowelizowanego dwukrotnie przepisu pochodzącego z nazistowskiego kodeksu karnego z 1935 r. Nie ma więc żadnej europejskiej wspólnej normy, do której zacofana Polska powinna dążyć. W Anglii homoseksualizm przestał być karany w 1969 r., w Szkocji – w 1980 r., w Irlandii – w 1993 r., w Hiszpanii – w 1979 r.

Mamy więc do czynienia z wariactwem od ściany do ściany. Gdyby te państwa były ludźmi, to mówilibyśmy o rozchwianiu emocjonalnym i intelektualnym. W przypadku Niemiec nawet o schizofrenii. Niech państwo pomyślą, co to za kraj, w którym ściga się za homoseksualizm, a jednocześnie legalna jest zoofilia. To także państwo, w którym przez 30 lat prowadzono jeden z najnikczemniejszych eksperymentów na dzieciach, oddając te bezdomne, osierocone pod opiekę zarejestrowanych pedofilów. Proceder wymyślił psycholog i pedagog Helmut Kentler, który twierdził, że dzieci dostają dach nad głową i „miłość", a pedofile mogą realizować swoje skłonności w „kontrolowany" sposób. W latach 1970–2003 przez koszmarny system przeszły w Berlinie setki dzieci. Niemcy to również kraj, w którym łagodzi się przepisy dotyczące gromadzenia i handlowania pornografią pedofilską. W 2024 r. obniżono kary: teraz minimalna to trzy miesiące, a nie rok, porno jest zaś legalne, jeśli nie przedstawia konkretnych dzieci, np. jest rysowane czy generowane przez AI. I to ten kraj wciąż stawia się nam za cywilizacyjny wzór.

TARGI DZIECI

Zwykły akt transkrypcji otwiera bramy do patologii prawnych, moralnych i kulturowych. Do zorganizowanego systemu hodowli dzieci, handlu nimi oraz ich seksualnego wykorzystywania. To oczywiste, że będzie kwitła turystyka ślubna – jednopłciowe pary będą wyjeżdżać do Berlina czy gdzie indziej i tam zawierać małżeństwa, by uznawano je w Polsce. Czy w takim razie będzie u nas możliwa adopcja dzieci przez takie pary, skoro wedle prawa, jak je rozumie rząd Tuska, są one małżeństwami?

By załatwić sobie dziecko, najlepiej wybrać się na jakieś targi dzieci, np. konferencję Men Having Babies w Berlinie. Na miejscu są prawnicy od formalności i przedstawiciele firm od fizycznych i handlowych aspektów sprawy, więc od razu można kupić cały pakiet usługowy. Najpierw wybór i pozyskanie od dawców jaja bądź nasienia. Potem zapłodnienie in vitro. Krok trzeci to znalezienie surogatki, by wynająć jej macicę i przenieść tam zarodek. Dalej ciąża, a potem poród, na końcu prawne ogarnięcie rodzicielstwa.

> To oczywiste, że będzie kwitła turystyka ślubna – jednopłciowe pary będą wyjeżdżać do Berlina czy gdzie indziej i tam zawierać małżeństwa, by uznawano je w Polsce

Za tym technicznym opisem mogą się kryć nieopisywane traumy. Dziecko jest w łonie tej, która je urodzi, wymienia z nią swoje komórki i słyszy ją. Ona je karmi, kołysze, daje ciepło, schronienie. Po urodzeniu dziecko rozpoznaje nawet głosy, które słyszało jeszcze w brzuchu. Tak się jednak nie stanie, bo od razu straci tę, która mówiła, karmiła, dawała ciepło i schronienie, po czym trafi w ręce dwóch facetów. Za dodatkową opłatą możliwe jest uznanie rodzicielstwa, zanim dziecko się urodzi. Wtedy dziecię od urodzenia ma dwóch tatusiów. Wszystko do ogarnięcia w rok za 100 tys. dol.

Oczywiście można kupić nasienie i jaja określonych dawców o wybranym kolorze włosów, oczu i wzroście, czyli zamówić wysokogatunkowe dziecko. Tańsze usługi oferuje się w Meksyku, Kolumbii czy na Ukrainie, gdzie działają fabryki dzieci. W 2021 r. wybuchł tam skandal, kiedy z powodu pandemii pary z Ameryki nie mogły odebrać setek zamówionych dzieci. Raporty m.in. ONZ i Eurojust wskazują, że trwa wielka rekrutacja surogatek w biednych krajach i że są one zmuszane do wynajmowania się.

Liczba adopcji przez pary jednopłciowe jest szacowana na dziesiątki tysięcy, ale trudno o dokładne dane, bo nie podaje się preferencji seksualnych opiekunów. Podobnie w statystykach przestępstw seksualnych wobec tych dzieci. W żadnym kraju nie zbiera się takich danych, można więc udawać, że problem nie istnieje. Tymczasem pojedyncze badania, np. amerykańskiego socjologa, prof. Marka Regnerusa, pokazują, że dzieci z homodomów rozwijają się znacznie gorzej niż potomstwo par hetero, źle radzą sobie w dorosłym życiu i średnio 10 razy częściej padają ofiarą pedofilii ze strony swych opiekunów. Oczywiście tęczowe lobby odrzuca te badania, opowiada łzawe bajeczki o uprzedzeniach i homofobii, że prawica chciałaby zabierać dzieci jednemu tatusiowi, gdy umrze drugi. Również wśród heteryków są zwyrodnialcy, jak choćby działaczka PO z Kłodzka i jej mąż, ale coraz częściej opisywane drastyczne przypadki wykorzystania seksualnego adoptowanych dzieci zdają się potwierdzać koszmarne odkrycia Regnerusa. W marcu w USA kary po 100 lat więzienia dostali William i Zachary Zulock, para „wzorowych rodziców", którzy adoptowali chłopców, by ich gwałcić, rejestrować ohydne akty i udostępniać w sieci. Albo sprawa Barrie'ego Drewitta-Barlowa, pierwszego brytyjskiego homoseksualisty, który z dwoma kolejnymi partnerami (obecny to były narzeczony jego biologicznej córki) załatwiał sobie dzieci – w sumie ośmioro – i zarobił krocie, sprzedając mediom swoje i ich życie jako reality show. W maju telewizja ITV miała emitować kolejne produkcje, gdy okazało się, że Barlow i jego kochaś są oskarżeni o gwałty i handel ludźmi.

eprasa.pl f6b642825d

Nasza Maja kochana

W ciągu zaledwie trzech tygodni Maja Chwalińska nie tylko zyskała ogromny szacunek w Polsce, lecz także stała się globalną gwiazdą

STANISŁAW JANECKI

Po finale turnieju Roland Garros kobiet (6 czerwca 2026 r.) Maja Chwalińska została zaproszona do programu TNT Sports, razem ze świetnymi kiedyś zawodnikami Johnem McEnroe i Timem Henmanem. McEnroe był niezadowolony, że zbliżający się turniej na Wimbledonie nie uwzględnia bieżącego rankingu (21. miejsce Polki), lecz ten sprzed kilku tygodni, dlatego Maja Chwalińska nie będzie rozstawiona. Upomniał się więc o dziką kartę dla tenisistki. I stwierdził, że od razu ją załatwi, Tim Henman należy bowiem do organizatorów Wimbledonu. Ten powiedział, że jest jak najbardziej za, a McEnroe od razu pogratulował naszej zawodniczce dzikiej karty. Maja błysnęła też w tym programie znajomością osiągnięć Johna McEnroe, siedmiokrotnego zwycięzcy turniejów wielkiego szlema, i tym, że nazwała jego tenis „vintage".

Samo zaproszenie Chwalińskiej do tego programu było wielkim wyróżnieniem. Zresztą w TNT Sports siedziała obok innej wielkiej gwiazdy tenisa, Andre Agassiego (zwycięzcy ośmiu turniejów wielkoszlemowych), który wręcz rozpływał się nad jej grą. Powiedział, że Maja jest po prostu stworzona do tenisa. A prowadzący program stwierdził, że uczestnicy rozmowy czują się świetnie, ponieważ sukces odnosi dobra osoba. I to się często powtarzało: Maja Chwalińska jest po prostu dobrym człowiekiem.

Potwierdziła to zaraz po finałowym meczu, gdy powiedziała: „Przede wszystkim gratulacje dla Mirry. Jesteś tak młoda i tak utalentowana. Życzę ci wszystkiego najlepszego w przyszłości". Bycie dobrym człowiekiem jest chyba kluczem do fenomenu Mai Chwalińskiej, co powoduje, że ludzie – nie tylko kibice na kortach Rolanda Garrosa – ją lubią, wspierają, są nią zauroczeni. Komentujący w studiu TNT Sports zauważyli, że w Polsce pozytywne szaleństwo na punkcie Mai Chwalińskiej jest nawet większe niż wtedy, gdy pierwszego wielkiego szlema wygrała Iga Świątek. Nikt nie miał wątpliwości, że Maja jest doceniana nie tylko za to, jak gra, lecz także za to, kim jest.

TURBONATURALNOŚĆ

Maja Chwalińska dotarła do finału, zaczynając od trzech rund kwalifikacji (114. miejsce w rankingu WTA) i w ciągu trzech tygodni stała się globalną gwiazdą. W historii paryskiego turnieju jeszcze żadna kwalifikantka przed nią nie dotarła do finału. Nie wygrała go, ale została damą Paryża i królową serc, bo ogromna większość widzów na trybunach ją pokochała. Nie tylko za bardzo wyrafinowany tenis, lecz także za inteligencję, skromność i absolutną bezpretensjonalność. Decydujący mecz Mai oglądał i wyraźnie jej kibicował Brad Pitt. A Polacy... zaczęli ją po prostu uwielbiać.

Nic dziwnego, że gdy 8 czerwca 2026 r. wróciła do Polski, na lotnisku Chopina witały ją tłumy. Rejs samolotu, którym leciała, widniał na radarach lotów jak LOTMAJA. Na stronie Flightradar24 był to najczęściej śledzony lot na świecie. Zanim wróciła do Polski, podczas koncertu Dawida Podsiadły na Stadionie Śląskim w Chorzowie kilkudziesięciotysięczny tłum odśpiewał jej „Sto lat" (skądinąd i Chwalińska, i Podsiadło pochodzą z Dąbrowy Górniczej).

Fot. Dubreuil Corinne/ABACA/Abaca/East News

eprasa.pl f6b642825d

Pytana na konferencji o to, dlaczego właśnie w Paryżu odniosła życiowy sukces, Maja stwierdziła skromnie: „Myślę, że po prostu kliknęło. Przez 18 lat gram już w tenisa, ciężko pracuję i daję z siebie wszystko każdego dnia, żeby być lepszą tenisistką, więc tak się złożyło, że akurat w tym momencie […] wszystko się złożyło w całość".

W Kanale Zero Tomasz Wolfke, znany ekspert tenisowy, mówił: „Tenis zabrnął w ślepy zaułek. Szkoli się wyłącznie tak, że najważniejsze jest przygotowanie fizyczne na początku, a potem dopiero uczy się ewentualnie jakichś bardziej finezyjnych uderzeń niż liftowany forhend i płaski, dwuręczny bekhend. W tenisie – po sukcesach sióstr Williams i Nadala – okazało się, że tym przygotowaniem fizycznym można zniwelować właśnie takie elementy, jakie ma Chwalińska". Tłumaczył, że Maja wszystko robi zupełnie inaczej niż 98 proc. zawodniczek. Dlatego „przeciwniczki nie wiedzą kompletnie, co z tym zrobić i głupieją po tej drugiej stronie kortu. Prędzej czy później Maja wybija im z głowy tenis i chęć gry w tenisa".

Grzegorz Kita, prezes Sports Management Polska, ekspert z zakresu marketingu i konsultingu sportowego, tak mówił dla sportowefakty.wp.pl: „Chwalińska to radosna, żywiołowa, czysta inteligencja biegająca po korcie. Jest uosobieniem renesansu tenisa inteligentnego i różnorodnego. Trochę takie czasy powrotu do Martiny Hingis, która chyba jest już zapomnianą marką. To też powiew świeżości dla kibiców znudzonych stylami gry opartymi na atomowych serwisach i bombardowaniach z linii końcowej. Tenis Chwalińskiej to różnorodność i paleta atrakcyjnych wizualnie i technicznie zagrań. Jakiś rodzaj renesansu slajsów, skrótów, lobów czy topspinów stosowanych nie dla celów obronnych, ale jako broń". Kita zauważył, że „wizerunek Mai opiera się na turbonaturalności – przyjazności, otwartości, sympatyczności. Chwalińska często żartuje, potrafi zaskoczyć bon motem. Potrafi się zaśmiać, machnąć ręką, jak coś jej się wymsknie".

To wszystko już przekłada się na marketingowy potencjał Mai. Według Instytutu Monitorowania Mediów Chwalińska wygenerowała wskaźnik wartości ekspozycji (AVE) w wysokości 68 mln zł, i to jeszcze przed ćwierćfinałem paryskiego turnieju.

WIELKIE ODRODZENIE

Maja Chwalińska nie tyle stopniowo doszła do wielkich umiejętności, ile je odzyskała, i to po bardzo dramatycznej walce, co tylko przysparza jej zwolenników. Kilka lat temu praktycznie nie było treningu bez bólu i łez. „Kort to takie miejsce, na którym przeżyłam najwspanialsze, ale w sumie też najsmutniejsze chwile w swoim życiu. […] Cały czas miałam jakieś kontuzje, moje ciało dawało sygnały, że jest przeciążone. Nie miałam radości z gry w tenisa, na każdym meczu walczyłam sama ze sobą. Były takie momenty, że nawet nie wiedziałam, z kim gram" – opowiadała kilka lat temu w Dzień Dobry TVN. Wtedy czasem nie była w stanie wyjść z łóżka. Dlatego przerwała karierę. Problemy zdrowotne były na tyle poważne, że często wycofywała się z turniejów lub poddawała mecze przed czasem.

> Maja Chwalińska dotarła do finału w Paryżu, zaczynając od trzech rund kwalifikacji do głównego turnieju. Napisała nową historię europejskiego tenisa

Jednak znacznie poważniejszym przeciwnikiem niż kontuzje i ból fizyczny okazała się depresja. W czerwcu 2021 r. Maja Chwalińska ogłosiła, że zawiesza karierę. Przyznała wtedy, że od ponad półtora roku choruje i nie jest w stanie trenować. „Bardzo ciężko mówi się o depresji. Za miłe chwile teraz przeżywamy, ale to jest temat rzeka" – mówił Tomasz Chwaliński podczas spotkania z polskimi dziennikarzami obsługującymi Roland Garros. „Sami wiecie, że to choroba nieraz wręcz niezauważalna dla bliskich. Takie osoby próbują to maskować" – dodawał.

„Od końca 2019 roku choruję na depresję. Pojawiające się nieustannie kontuzje na pewno nie pomagały mi poradzić sobie z tą chorobą. Próbowałam trenować i rywalizować, ale czułam, jak to wszystko coraz bardziej mnie wykańcza i przytłacza. Doszłam do takiego punktu, w którym nie jestem już w stanie zmusić się do trenowania" – napisała Maja Chwalińska w 2021 r. na swoim profilu na Facebooku. Już po tym oświadczeniu opowiadała, że miała problem z codziennym funkcjonowaniem: brakowało jej energii, miała niską samoocenę, kłopoty z wykonywaniem najprostszych czynności. „Co ciekawe, przez jakiś czas nie myślałam, że mam depresję. Nie domyślałam się. Zawsze bardzo dużo trenowałam i czułam, że i tak robię za mało; byłam cały czas przemęczona. W pewnym momencie przez brak wiary w siebie i niską samoocenę nie potrafiłam wyjść z domu" – opowiadała w TVP Sport. Psychika i ciało dawały jej sygnały, by zrobić przerwę i „w końcu musiała je uszanować".

W najgorszym dla siebie czasie Maja otrzymała ogromne wsparcie ze strony bliskich i opiekę specjalistów. „Nadal kocham tenis, ale wrócę na kort, kiedy będę gotowa" – pisała na Facebooku. W takiej sytuacji wielu sportowców decyduje o końcu kariery. Maja się nie poddała i to stało się początkiem powrotu.

Dziś Maja Chwalińska znów wygrywa, a finał w Paryżu jest jej największym sportowym osiągnięciem. Nie mówi jednak o pełnym zwycięstwie nad depresją: „Nie uważam, że to wygrana na całe życie. To ciągła praca nad sobą i nad swoimi przekonaniami. To nie jest tak, że mam to raz na zawsze załatwione niezależnie od okoliczności".

W tym, że ostatecznie wygra z depresją i osiągnie jeszcze większe sukcesy sportowe, Mai Chwalińskiej może pomóc to, co ją spotkało od ludzi – i tych bardzo sławnych, i zwyczajnych. Jest powszechnie kochana i szanowana. Oraz stawiana jako wzór: zarówno w osiąganiu sukcesów, jak i radzeniu sobie z życiowymi dramatami. Polacy coraz częściej mówią o niej: „Nasza Maja kochana".

eprasa.pl f6b642825d

Eliza Orzeszkowa bez cenzury – *życie ciekawsze od twórczości?*

Gdy słyszymy nazwisko Elizy Orzeszkowej, przed oczami stają nam szkolne lektury i mozolne analizy „Nad Niemnem”. Tyle o niej wiemy. A szkoda, że nie więcej. Bo zanim zdobyła uznanie i sławę jako jedna z najwybitniejszych powieściopisarek epoki pozytywizmu, niemal nagrodzonych Noblem, uchodziła za skandalistkę, która za nic miała ówczesne konwenanse

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

„Bardzo wiele pisałam. W tym zawarło się dziewięć dziesiątych mego życia. Od wczesnej młodości miałam w sobie głosy wewnętrzne, nieustanne, nieprzeparte, które ku temu właśnie mnie wołały” – mówiła o sobie Eliza Orzeszkowa u schyłku życia. Przez ponad pół wieku spod jej pióra wychodziły powieści, nowele, rozprawy i setki listów kryjących uczucia oraz myśli, które za wszelką cenę próbowała wyrazić słowem drukowanym.

Równolegle z pracą pisarską chłonęła świat idei i piękna, zawarty w dziełach polskich oraz zagranicznych myślicieli i artystów, zarówno jej współczesnych, jak i dawnych. Na szczęście burzliwe życie prywatne nie przeszkodziło jej w pisaniu. A niewiele brakowało, by stało się inaczej.

DZIEWCZYNA Z DOBREGO DOMU

Eliza Pawłowska przyszła na świat 6 czerwca 1841 r. w zamożnej rodzinie ziemiańskiej. Dorastała w świecie, w którym od kobiet oczekiwano przede wszystkim korzystnego zamążpójścia i prowadzenia domu. Już jako nastolatka wyróżniała się jednak inteligencją, ambicją i niezależnością. W latach 1852–1857 uczyła się na pensji sakramentek w Warszawie. To właśnie tam poznała Marię Wasiłowską, późniejszą Marię Konopnicką. Obie marzyły

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl f6b642825d

o czymś więcej niż życiu wyznaczanym przez społeczne konwenanse.

Sama Orzeszkowa po latach wspominała edukację na pensji jako stratę czasu. Twierdziła, że po jej ukończeniu była pogrążona w „bezmyślności i razem lekkomyślności". Młoda Eliza czytała dużo i zachłannie. Interesowała się filozofią, historią oraz najnowszymi prądami intelektualnymi Europy. Była ambitna, a zarazem niezwykle wrażliwa na problemy społeczne. To właśnie te cechy miały z czasem zadecydować o jej życiowej drodze.

MAŁŻEŃSTWO BEZ MIŁOŚCI

W wieku zaledwie 17 lat wyszła za niemal dwukrotnie starszego Piotra Orzeszkę, właściciela majątku Ludwinowo pod Kobryniem na Polesiu. Małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodzinę, a sama Eliza miała niewielki wpływ na decyzję. Zgodziła się na ślub, licząc, że w ten sposób uniezależni się od matki. Szybko się jednak okazało, że małżonków dzieli niemal wszystko. Piotr Orzeszko koncentrował się na prowadzeniu majątku i życiu towarzyskim, podczas gdy Eliza pragnęła intelektualnego rozwoju, rozmów o polityce i literaturze oraz aktywnego udziału w życiu publicznym. Różnice między nimi pogłębiały się z każdym rokiem. Pisarka wspominała później, że nie znalazła w małżeństwie ani partnerstwa, ani zrozumienia.

Choć związek nie należał do udanych, pobyt w Ludwinowie stał się dla przyszłej pisarki pierwszą okazją do zaangażowania się w życie społeczne. Klęska Rosji w wojnie krymskiej oraz narastające niepokoje społeczne prowadziły do dyskusji o reformach gospodarczych, przede wszystkim o uwłaszczeniu chłopów. Debaty toczyły się m.in. na forum komitetów ziemiańskich. Orzeszkowa opowiadała się po stronie rozwiązań demokratycznych, przeciwstawiając się egoizmowi części właścicieli ziemskich. Ku niezadowoleniu męża doprowadziła także do utworzenia szkoły dla dzieci wiejskich.

POWSTAŃCZA KURIERKA

Przełomowym momentem w życiu małżonków był wybuch powstania styczniowego. Piotr Orzeszko nie był zainteresowany zaangażowaniem się w walkę, natomiast Eliza od początku chciała działać. Przeżywała wszystkie nadzieje związane z insurekcją. Została łączniczką powstańców, organizowała dla nich m.in. żywność. Oprócz tego przekonała męża, by w czerwcu 1863 r. przez kilka tygodni ukrywać w Ludwinowie rannego Romualda Traugutta. Następnie, w lipcu tegoż roku, własnym powozem osobiście przewiozła przyszłego dyktatora powstania do granicy Królestwa Polskiego.

Ryzyko, jakie podejmowała młoda kobieta, było ogromne. Stała się niemal naocznym świadkiem ostatniej bitwy w lasach horeckich nad Kanałem Augustowskim, patrzyła na świeże mogiły poległych powstańców. Po latach przekuła te przeżycia w zbiór nowel pt. „Gloria victis". Patriotyczna postawa Elizy okazała się niezwykle kosztowna dla jej męża. Jesienią 1863 r. jeden ze służących doniósł Rosjanom o jej zaangażowaniu, ale to Piotr Orzeszko został aresztowany, a następnie skazany na wieloletnią zsyłkę do guberni permskiej na Syberii. Władze carskie skonfiskowały również cały majątek Orzeszków.

POWRÓT DO DOMU

Początkowo Eliza deklarowała, że dołączy do męża na zesłaniu. Ostatecznie zmieniła jednak zdanie i ku zdziwieniu ludzi wróciła do rodzinnej Miłkowszczyzny pod Grodnem, obciążonej długami i kontrybucją, splądrowanej przez wojska rosyjskie. Podobnie jak wiele majątków na Litwie, posiadłość zmagała się z carskimi represjami oraz problemami gospodarczymi związanymi z uwłaszczeniem chłopów. Ale oprócz trudów życia w rodzinnym domu czekała na nią imponująca biblioteka ojca. Znajdowały się w niej nie tylko dzieła literatury pięknej, lecz także książki filozoficzne, socjologiczne i ekonomiczne. To właśnie tam coraz bardziej niezależna Orzeszkowa mogła w pełni rozwijać swoje zainteresowania i samodzielnie kształtować poglądy.

Po kilku latach musiała jednak opuścić rodzinny dom, Miłkowszczyzna nie wytrzymała bowiem ciężaru carskich obciążeń. Po namowach jej przyjaciela, adwokata Stanisława Nahorskiego, w 1869 r. Orzeszkowa przeprowadziła się do Grodna, a rok później sprzedała rodzinny majątek. Ponieważ Polakom nie wolno było nabywać ziemi w zachodnich guberniach Imperium Rosyjskiego, trafiła ona w ręce rosyjskiego pułkownika.

Ostatnie lata spędzone w Miłkowszczyźnie ostatecznie ukształtowały poglądy Orzeszkowej i wyznaczyły kierunek jej działania. Doszła do przekonania, że skoro nie udało się zwyciężyć zbrojnie, społeczeństwo należy zmieniać poprzez edukację, rozwój gospodarczy i działalność społeczną. Korzystając z wiedzy zdobytej dzięki lekturom, próbowała zrozumieć przyczyny upadku ziemiaństwa oraz jego niezdolność do odnalezienia się w nowej rzeczywistości ekonomicznej. Dostrzegała również istotny problem w tym, że patriotyczna tradycja pielęgnowana przez warstwy ziemiańskie pozostawała dla chłopów obojętna, a niekiedy wręcz wroga. W tym okresie rozpoczęła także działalność literacką. Nawiązała kontakty ze środowiskiem „Tygodnika Ilustrowanego" i „Przeglądu Tygodniowego", najważniejszych organów prasowych warszawskich pozytywistów.

W latach 1879–1882 przebywała w Wilnie, gdzie była współwłaścicielką księgarni i wydawnictwa publikującego książki, kalendarze oraz pismo humorystyczne. Ta działalność nie spodobała się władzom carskim. Wydawnictwo zostało zamknięte, a pisarkę przymusowo skazano na ponowne osiedlenie w Grodnie.

ROMANSE, ROZWÓD, KOLEJNE MAŁŻEŃSTWO

Jeszcze podczas pobytu w Miłkowszczyźnie Orzeszkowa nawiązała romans z lekarzem Zygmuntem Święcickim, co wywołało niemałe poruszenie w środowisku ziemiańskim. Równocześnie rozpoczęła starania o rozwód z mężem, który w tym czasie przebywał na zesłaniu. W tym celu skorzystała z przepisów wprowadzonych przez osławionego generał-gubernatora wileńskiego Michaiła Murawjowa zwanego Wieszatielem. Dla wielu współczesnych był to krok trudny do

eprasa.pl f6b642825d

zaakceptowania, niemal ocierający się o zdradę narodową. W 1869 r., już po powrocie Piotra Orzeszki z zesłania, rozwód doszedł do skutku. Ostatecznie jednak ślub ze Święcickim się nie odbył. Lekarz nie zdecydował się porzucić intratnej posady w Mińsku. Jego ambicje zawodowe sięgały jeszcze dalej – planował karierę w Petersburgu i ostatecznie przeniósł się do miasta nad Newą.

Orzeszkowa niedługo pozostała sama. Po sprzedaży rodzinnej posiadłości i przeprowadzce do Grodna związała się ze wspomnianym wcześniej Stanisławem Nahorskim, znanym w okolicy adwokatem i intelektualistą. Tym razem sytuacja okazała się znacznie bardziej skomplikowana. Nahorski był bowiem żonaty, a rozwód nie wchodził w grę. Jego żona cierpiała na chorobę psychiczną, a on sam otwarcie deklarował, że nie opuści jej aż do śmierci. Dotrzymał słowa. Orzeszkowa i Nahorski pobrali się dopiero w 1894 r., po śmierci jego małżonki.

Związki ze Święcickim i Nahorskim poważnie zaszkodziły reputacji pisarki. Jej postępowanie nie mieściło się w obowiązujących normach obyczajowych, dlatego wielu przedstawicieli ziemiaństwa uznało je za niegodne kobiety z jej środowiska. Na łamach „Bluszczu" można było nawet przeczytać opinię, że „kobieta, która rozwodzi się, ani szlachetną, ani utalentowaną być nie może", a Orzeszkowej wróżono „najhaniebniejszą przyszłość". Ale mimo licznych kontrowersji zrobiła imponującą karierę literacką. Jej książki tłumaczono na wiele języków, pisarka należała do najbardziej rozpoznawalnych polskich intelektualistek przełomu XIX i XX w. Piętno skandalistki towarzyszyło jej jednak niemal do końca życia.

EMANCYPACJA, KTÓRA WYPRZEDZIŁA EPOKĘ

Orzeszkowa należała do pierwszych polskich pisarek, które tak otwarcie mówiły o nierównym traktowaniu kobiet. Krytykowała model wychowania sprowadzający rolę niewiast wyłącznie do obowiązków żony i matki. Domagała się szerszego dostępu do edukacji oraz możliwości podejmowania samodzielnej pracy zawodowej. Podejmowała tę problematykę zarówno w publicystyce, jak i w twórczości literackiej. W rozprawie „Kilka słów o kobietach" oraz powieści „Marta" przedstawiła kwestię kobiecą w szerokim kontekście społecznym i ekonomicznym. W wielu jej utworach pojawiają się bohaterki unieszczęśliwione przez narzucone małżeństwa lub przez wychowanie, które pozbawiło je zdolności samodzielnego kształtowania własnego losu. Poglądy Orzeszkowej wyprzedzały epokę, w której żyła. W 1886 r. pod patronatem jej oraz Marii Konopnickiej powstała tajna organizacja pod nazwą Koło Kobiet Korony i Litwy.

Orzeszkowa należała do pierwszych polskich pisarek, które tak otwarcie mówiły o nierównym traktowaniu kobiet. Krytykowała model wychowania sprowadzający rolę niewiast wyłącznie do obowiązków żony i matki. Domagała się szerszego dostępu do edukacji oraz możliwości podejmowania samodzielnej pracy zawodowej

Kolejnym ważnym tematem społecznym, którym zajmowała się Orzeszkowa, była sytuacja Żydów na ziemiach polskich. Już podczas pobytu w Warszawie w 1862 r. pod wpływem patriotycznych kazań rabina Markusa Jastrowa zainteresowała się ideą asymilacji Żydów i ich udziału w życiu narodu polskiego. Z czasem zaczęła jednak zwracać uwagę także na trudności i bariery utrudniające porozumienie między Polakami a Żydami. Uważała, że wzajemne poznanie jest warunkiem zrozumienia i akceptacji. Dziwiło ją, że społeczności żyjące obok siebie od stuleci wciąż tak niewiele o sobie wiedzą. „Nieznajomość nasza Żydów jest faktem zdumiewającym" – pisała w rozprawie „O Żydach i kwestii żydowskiej". Przed napisaniem powieści „Meir Ezofowicz" przeprowadziła gruntowne studia nad kulturą i religią żydowską. W utworze ukazała problemy związane z asymilacją oraz napięcia występujące zarówno w relacjach polsko-żydowskich, jak i wewnątrz społeczności żydowskiej.

DWA PODEJŚCIA DO NOBLA

Dziś niewiele osób pamięta, że Orzeszkowa była jedną z najpoważniejszych polskich kandydatek do Literackiej Nagrody Nobla. W 1905 r. wymieniano ją wśród głównych faworytów do wyróżnienia. Ostatecznie nagrodę otrzymał Henryk Sienkiewicz. Ponownie nominowano ją w 1909 r., lecz wtedy laureatką została szwedzka pisarka Selma Lagerlöf. Historycy literatury do dziś się zastanawiają, jak wyglądałaby pozycja Orzeszkowej w świadomości kolejnych pokoleń, gdyby noblowskie jury podjęło inne decyzje.

Eliza Orzeszkowa zmarła po ciężkiej chorobie serca 18 maja 1910 r. w Grodnie. Ponieważ nie była osobą praktykującą, miejscowy proboszcz początkowo odmówił jej pogrzebu kościelnego. Dopiero interwencja biskupa doprowadziła do zmiany decyzji. Podczas nabożeństwa żałobnego w kościele Najświętszej Maryi Panny w Grodnie przemówienie wygłosił ks. Stanisław Miłkowski. Z kolei Józef Kotarbiński, podsumowując życie i działalność pisarki, powiedział nad jej trumną: „Ona była żywą mądrością i czującym sercem całej epoki".

Najlepszym dowodem trwałości jej dorobku pozostaje to, że mimo kolejnych zmian w programach nauczania „Nad Niemnem" wciąż należy do najważniejszych lektur i najbardziej rozpoznawalnych dzieł polskiej literatury.

eprasa.pl f6b642825d

Róża, Erika, Sandra

Na polską premierę „Ojczyzny” przyjechali do Warszawy – poza nagrodzonym w Cannes reżyserem Pawłem Pawlikowskim – także Łukasz Żal (zdjęcia), duet Sobańska–Sławiński (scenografia), Aleksandra Staszko (kostiumy), Piotr Wójcik (montaż), Waldemar Pokromski (charakteryzacja). I ona – Sandra Hüller

Fot. Kino Świat

eprasa.pl f6b642825d

Do miana „najbardziej oczekiwanego polskiego filmu 2026 roku” – lista wydłuża się przy kolejnych premierach – dołączył właśnie obraz Pawła Pawlikowskiego. W historii rozgrywającej się w powojennych Niemczech głównych bohaterów – odwiedzającego tytułową „Ojczyznę” Thomasa Manna i jego córkę Erikę – zagrała para cenionych niemieckich aktorów: Hanns Zischler i Sandra Hüller. Oboje zawitali na warszawską premierę.

TEMATY I KREACJE

Amerykańska „Rocznica” i brytyjsko-polski „Dobry chłopiec” Jana Komasy, a także irlandzko-polsko-ukraińsko-cypryjski „Pojedynek” Łukasza Palkowskiego z Jakubem Gierszałem i Aidanem Gillenem oraz pełnometrażowy debiut Emi Buchwald „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” (filmy już po polskich premierach). W tym roku naprawdę się dzieje. Poza tym „Lalka” Macieja Kawalskiego z Kamilą Urzędowską i Marcinem Dorocińskim (w kinach od 30 września), „Nasza rewolucja” Piotra Domalewskiego z Arkadiuszem Jakubikiem i Magdaleną Popławską jako Jackiem i Grażyną Kuroniami (na ekranach od 11 listopada) oraz „Violetta Villas” Karoliny Bielawskiej z Sandrą Drzymalską w głównej roli (premiera 27 listopada). To najbardziej wyczekiwane premiery polskich produkcji. A także tych z polskim udziałem, chętnie nazywanych polskimi i równie chętnie typowanych do polskich nagród filmowych. Sądząc po panujących w branży trendach, wielką szansę na takie wyróżnienia ma Sandra Hüller – aktorka, która od kilku lat umacnia swoją pozycję na światowej arenie.

NARODZINY GWIAZDY

Międzynarodowe uznanie zyskała po raz pierwszy dwie dekady temu. To wtedy otrzymała Srebrnego Niedźwiedzia dla najlepszej aktorki na Berlinale za „Requiem” Hansa-Christiana Schmida. Dziesięć lat później, po roli w filmie „Toni Erdmann” w reżyserii Maren Ade, triumfowała na gali Europejskich Nagród Filmowych. Mówiło

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

się wtedy o narodzinach europejskiej gwiazdy, choć do Hüller określenie „gwiazda” raczej średnio pasuje. Na co dzień pewnie łatwo byłoby jej zgubić się w tłumie, ale od kilku lat faktycznie coraz bardziej daje się zapamiętywać także z czerwonych dywanów. Z tym że są to czerwone dywany filmowo-prestiżowe,

festiwalowe oraz związane z najważniejszymi kinowymi nagrodami.

W 2024 r. została nominowana do Oscara za najlepszą rolę pierwszoplanową (w „Anatomii upadku” Justine Triet, gdzie zagrała żonę podejrzewaną o zabójstwo męża). Na koncie ma też nominacje do Złotych Globów i nagród BAFTA za wspomnianą francuską „Anatomię upadku” oraz głośną brytyjską „Strefę interesów” Jonathana Glazera. W Niemczech trzykrotnie honorowano ją Niemiecką Nagrodą Filmową. W 2020 r. (także za wspieranie pozbawionych pracy przez pandemię COVID-19 filmowców) została odznaczona Orderem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec.

MIĘDZY EUROPĄ A HOLLYWOOD

Z opinią jednej z najważniejszych dziś gwiazd europejskiego kina trafiła aż do czterech tegorocznych produkcji, o których było lub będzie głośno w mediach. W lutym otrzymała drugiego Srebrnego Niedźwiedzia – za rolę w filmie „Róża”. Zagrała w nim tajemniczego żołnierza, który na początku XVII w. trafia do niemieckiej protestanckiej wioski i tylko pod męską postacią ma szansę „zyskać wolność i niezależność”. Mroczną narrację dopełniają czarno-białe kadry.

W podobnej filmowej estetyce została zrealizowana „Ojczyzna” Pawła Pawlikowskiego. Także tu bohaterka grana przez Hüller stoi w społecznym i kulturowym drugim szeregu, choć jej słynny ojciec nie dałby sobie bez niej rady na wielu pozaliterackich płaszczyznach. W opowieści o powrocie z emigracji do zmienionych wojną, bliskich sercu miejsc, Sandra Hüller jest stale obecna na ekranie. Inaczej rzecz się ma z hollywoodzką produkcją „Projekt Hail Mary”. Tu wszystkie światła zostały skierowane na Ryana Goslinga, ale zagrać u boku tak popularnego w świecie aktora to też nie przelewki.

Kolejną supergwiazdą, z którą przyszło się spotkać niemieckiej aktorce na hollywoodzkim planie, jest Tom Cruise. Wystąpili razem w komedii „Digger” w reżyserii Alejandra G. Iñárritu (światowa premiera 2 października).

Z NRD W ŚWIAT

Sandra Hüller doskonale rozumie klimaty filmowej „Ojczyzny” – urodziła się w 1978 r. w niespełna 40-tysięcznym miasteczku Suhl jeszcze w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Aktorstwo studiowała w Berlinie, zawodowe szlify zdobywała na deskach teatrów w Lipsku i szwajcarskiej Bazylei. W 2011 r. urodziła córkę Ruby. Macierzyństwo tylko dodało jej skrzydeł. W rozwoju europejskiej kariery pomogła jej biegła znajomość czterech języków: niemieckiego, angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego.

eprasa.pl f6b642825d

Polska piosenka w likwidacji

Prawo inżyniera Mamonia rządzi opolskim festiwalem, stojącym głównie tym, co już kiedyś słyszeliśmy. Obok odrobiny nowości trwa tam nieustanna kanibalizacja polskiej piosenki. Jubel goni jubel, serwując korowody imitacji i woskowych figur

Fot. AKPA

eprasa.pl f6b642825d

MACIEJ WALASZCZYK

O polskimi festiwalami kieruje prawo inżyniera Mamonia z „Rejsu" i wielu, znając je, natychmiast przytaknie, że podobają im się tylko te melodie, które już raz słyszeli. Oczywiście nie ma w tym nic złego. A nawet łącząc „znane i lubiane" z „nowym", świetnie jednoczą się też pokolenia muzyków i generacje publiczności, budując tradycję. Przy okazji pomagając telewizji gromadzić widzów z różnych grup wiekowych. Jednak prawo Mamonia zaczyna działać na coraz silniejszym sprzężeniu dodatnim, rok w rok potęgując swą moc i prowadząc do sytuacji, że mamy przygniatającą przewagę tego, co już znamy. Więcej – doświadczamy zalewu nostalgii, kolejnych benefisów i jubileuszy, podlewanych cienkuszem coverologii. A więc nowych wersji starych piosenek granych przez młodszych wykonawców, a do tego w interpretacjach trudnych do przyjęcia. Z różnych powodów doświadczamy kanibalizacji polskiej piosenki.

OPOLE ZJADA OPOLE

Chyba najjaśniejszym przebłyskiem ostatniego festiwalu był koncert Lady Pank, podczas którego Jan Borysewicz i Janusz Panasewicz, a więc filary najsłynniejszego i oryginalnego składu zespołu, świętowali 45-lecie pracy artystycznej. Kilka tygodni temu ukazała się nawet nowa płyta z nowymi piosenkami. Gwieździe lat 80. umożliwiono obchody jubileuszu pewnie nie bez przyczyny, gdyż zawsze ustawiała się w szeregu obrońców obecnego obozu władzy.

Ale publiczność nie bez powodu przyjęła ich koncert z nieukrywanym entuzjazmem i choć Panasewicz nie cieszy się już taką formą wokalną jak kiedyś, widownia żywiołowo zareagowała na przeboje grupy, wspólnie śpiewając „Kryzysową narzeczoną" (1983), „Zawsze tam, gdzie ty" (1990) i wiele innych hitów, liczących często ok. 40 lat. Mimo to Borysewicz potwierdza, że jest znakomitym muzykiem, aranżerem i showmanem. W czasie występu Borysewicz złożył hołd świetnemu autorowi tekstów Andrzejowi Mogielnickiemu.

Koncert był jednak idealnym przykładem eksploatowanej w Opolu estrady nostalgicznej, odgrywania ku radości publiki tego, co już zna i co przywołuje w niej najlepsze wspomnienia minionych lat. Nawet tak nieodległych jak ze „Stacja Warszawa" z 2004 r.

Po Lady Pank znów miał miejsce recital honorujący zmarłą niedawno Magdę Umer i Agnieszkę Osiecką. „Bohaterkami tego wieczoru będą dwie niezwykłe kobiety. Obie nam zniknęły" – zapowiadał Artur Andrus. Również dzień wcześniej na tej samej scenie wieczór „upłynął pod znakiem wielkich przebojów, wspomnień i wzruszeń", gdy młodsi wykonawcy, idąc utartym od wielu lat szlakiem, odśpiewali znakomite piosenki Bogdana Olewicza, autora tekstów kapitalnych przebojów, które zna chyba każdy. „Autobiografia", „Nie płacz Ewka" czy „Niewiele ci mogę dać" Perfectu, „Jesteś lekiem na całe zło" Krystyny Prońko, hity wspominanych już Lady Pank, Budki Suflera, Urszuli, Zdzisławy Sośnickiej, Seweryna Krajewskiego czy „Moje jedyne marzenie" Anny Jantar – wzorcowo zresztą przekombinowane interpretacją Mietka Szcześniaka i Alicji Szemplińskiej, choć to piosenka piękna głównie swą naiwną prostotą.

I tu rodzi się problem, bo przy takiej liczbie hołdowniczych recitali mamy nadmiar coverów, z których co drugi zazwyczaj rozczarowuje. Może chodzi o wzmocnienie tęsknoty za tym, co było i nie wróci? I szukanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego dobre jest to, co grano co najmniej dwie dekady temu i wcześniej? Bo po tej cezurze trudno przywołać wspomnienia, coś zanucić.

Już w 2015 r. festiwalowi zarzucano ugrzęźnięcie w przeszłości. Broniąc tej formuły, mówiono o jego „misyjności", polegającej na tym, że jest to jedyna impreza, na której regularnie przypomina się utwory kształtujące polską kulturę, przy których bawiły się kolejne pokolenia Polaków. W ten sposób, spotęgowanym prawem inżyniera Mamonia, znaleźliśmy się na ziemi jałowej, pełnej awatarów, imitacji, protez i podróbek, którymi żonglują menedżerowie i reżyserzy. To, co przeminęło, przywołujemy podczas trwającego w nieskończoność seansu spirytystycznego.

JUBILEUSZE, BENEFISY, HOŁDY

By to udowodnić, wystarczy prześledzić, co działo się na opolskiej scenie tylko w ciągu ostatnich 10 lat. Oczywiście wyłączając koncerty „Debiutów" i „Premier". Zresztą docenione tam piosenki (są, jakie są) zazwyczaj rozpływały się potem w morzu dźwięków napierających ze streamingów. Uwaga publiczności jest bowiem rozproszona i jedyne, co ją skupia, to nostalgia. Problem w tym, że trwa to już latami, przeradzając się nawet nie w pogrzeb, a niekończącą się stypę po polskiej piosence.

Choćby w 2015 r. obchodzono 50-lecie pracy artystycznej Skaldów oraz 100. urodziny Jeremiego Przybory. Rok później odbył się koncert z okazji 120-lecia kinematografii, podczas którego zaprezentowano znane piosenki z filmów i seriali, następnie koncert „Grand Prix Publiczności – Złote Opole", a więc przegląd znanych od lat festiwalowych przebojów. Co ciekawe, wygrała wówczas względnie nowa twarz, a więc Michał Szpak, ale przebój „Jesteś bohaterem" rywalizował z takimi hitami jak np. „Bądź gotowy do drogi" Haliny Frąckowiak z 1974 r. czy „Niech żyje bal" Maryli Rodowicz" z 1984 r., której rok później wyprawiono jubileusz 50-lecia pracy artystycznej. I nawet podczas koncertu premier „Jaskółkę uwięzioną" zaśpiewał Stan Borys (60-lecie pracy artystycznej), a występ „Od Opola do Opola" został utkany niemal wyłącznie ze starych przebojów śpiewanych przez młodszych wykonawców. Także koncert muzyki tanecznej After Party zmontowano z dawnych hitów, głównie z lat 80. i 70.

W 2018 r., choć mocno powiało nowościami, zorganizowano koncert „Piosenka ci nie da zapomnieć. Koncert przebojów stulecia". Rok później znów

Autopromocja

eprasa.pl f6b642825d

mieszkanka starego i nowego, tym razem na koncercie piosenek literackich i kabaretowych oraz kolejny przegląd staroci, czyli hitów m.in. 2 Plus 1, Lady Pank, Perfectu, Grechuty i Rynkowskiego. Dla odmiany w czasie koncertu „Nie pytaj o Polskę – #30LatWolności" znane piosenki, które stały się przebojami po 1990 r., śpiewali w większości oryginalni wykonawcy, np. będący już posłem Paweł Kukiz ze słynnym „Na falochronie" grupy Emigranci, z którą współpracował na początku lat 90.

Ten schemat powtarza się nieustannie: „Wielkie przeboje małego ekranu", czyli piosenki znane z filmów i seriali, „Ale to już było! Jest i będzie!", czyli utwory z ostatnich 60 lat festiwalu, „Cała sala śpiewa z nami, czyli hity opolskiej publiczności", „Niemen symfonicznie" czy dwa lata temu „Superjedynki", pomyślane jako przegląd piosenki „młodzieżowej" z lat 80. i 90. z wygasłymi już gwiazdami, jak np. Kobranocka i Proletaryat, w ewidentny sposób odbierającymi za jednym zamachem swą antypisowską rentę polityczną.

Od lat obchodziliśmy benefisy i jubileusze zazwyczaj naprawdę znakomitych muzyków, kompozytorów i tekściarzy: Janusza Kondratowicza, Alicji Majewskiej, Włodzimierza Korcza, Justyny Steczkowskiej, Michała Bajora. Któregoś razu koncert „Scena alternatywna" stał się okazją do obchodów 50-lecia SBB, a nawet 35-lecia Armii. Czy w końcu słynne z już urodzinowe „Trzy ćwiartki Jacka Cygana", które miały pozasceniczną alkoholową puentę autorstwa Ryszarda Rynkowskiego.

Rok w rok upamiętniano koncertami tych, którzy odeszli i zapisali się na kartach polskiej muzyki rozrywkowej złotymi nutami. Np. w 2023 r. spektaklem „Czas ołowiu" czy hołdami dla Wojciecha Trzcińskiego, Romualda Lipki, Andrzeja Nowaka z TSA lub Krzysztofa Krawczyka, gdy postanowiono korzystać z materiałów archiwalnych, łączonych w czasie występu z występami solistów na scenie, tak by sprawiały wrażenie „wspólnych wykonań". Tamta muzyka wciąż broni się jednak sama. Te koncerty nie tyle przypominają dawnych wykonawców i ich osiągnięcia, ile to one po 40 czy 50 latach swoją atrakcyjnością wciąż ożywiają umierający festiwal. Ile to jeszcze potrwa? Na jak długo wystarczy tej nostalgicznej energii?

SCENA SKOLONIZOWANA

Oczywiście przyjemnie jest widzieć słynnych wykonawców, ciepło wspominanych muzyków, słuchać ich głosu. Wszak nową płytę wydał 83-letni Paul McCartney, koncertuje 81-letni Eric Clapton, na scenie wciąż szaleje 65-letnia Kim Wilde. Na festiwalu niekoniecznie słyszymy jednak nowe piosenki, ale głównie to, co już kiedyś udało się wylansować właśnie na opolskiej scenie i w rozgłośniach radiowych.

> W polskiej piosence musi dokonać się przewrót na miarę lat 80. XX w. Muszą narodzić się nowe legendy, zaiskrzyć dźwięk epoki, który zapamiętamy jako przełamanie dyktatu masowej produkcji i w obecnych realiach także sztucznej inteligencji

Złota epoka polskiej piosenki trwała od lat 60. nieprzerwanie przez cztery dekady i mimo pewnej zadyszki na przełomie lat 80. i 90. znakomicie poradziła sobie na starcie nowych, trochę szalonych rynkowych czasów. „Tak napisane piosenki, do genialnych muzyk, trafiły do znakomitych wykonawców. Potem trafiały do państwa. Znalazły u was swój kąt. W pamięci, sercu" – mówił, dziękując publiczności, Bogdan Olewicz. Ale coś złego wydarzyło 20–25 lat temu. Dzisiaj zdaje się, że ani on, ani ciepło wspominane gwiazdy prawdopodobnie nie mieliby szans, mierząc się z wyrachowanym przemysłem rozrywkowym.

Ciekawie opisuje to zjawisko dziennikarz muzyczny Tomasz Lada w swojej ostatniej książce „Wszystko jak leci. Polski pop lat 1990–2000". Nie tylko zmieniły się sposoby rozpowszechniania muzyki masowej, osłabiając siłę imprez takich jak Opole, lecz także polską piosenkę wyjałowili producenci. Ludzie z zachodnich gigantów wydawniczych, kolonizujący polski rynek, czy menedżerowie stacji radiowych, których dyktat wymusił import zachodniej tandety, spłaszczanie i standardyzację gustów. Zdecydowały po prostu stojące za tym pieniądze i komercja, domagająca się wyników słuchalności i sprzedaży reklam. Również piosenka została sprowadzona wyłącznie do formatu towaru.

Dzisiaj po tamtym boomie – bo okres, który opisuje Lada, jest wyjątkowy i oznacza prawdziwą eksplozję bardzo dobrej polskiej muzyki – nie pozostało nic. Poza jubileuszami, benefisami, koncertami „ku pamięci" i rynkowo eksploatowaną nostalgią, także w postaci licznych telewizyjnych show łowiących talenty. Tak jak w całej gospodarce, np. handlu, zatriumfował model kolonialny. Choć nie brakuje osobowości i wizjonerów. W polskiej piosence musi dokonać się przewrót na miarę lat 80. XX w. Muszą narodzić się nowe legendy, zaiskrzyć dźwięk epoki, które zapamiętamy jako przełamanie dyktatu masowej produkcji i w obecnych realiach także sztucznej inteligencji. Czas stworzyć muzyczne zabytki, które z nostalgią odkurzą nasze wnuki.

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl f6b6428250

HITY i KITY ZAREMBY

Dydaktyka i zabawa

„Don Kichot" Bartosza Cwalińskiego i Jakuba Zalasy w częstochowskim Teatrze im. Adama Mickiewicza dzieje się nie w XVII w., ale zawsze, czyli nigdy. Za dużo w nim schematów współczesnej, „przetwórczej" dramaturgii. Choć robota teatralna bywa niezła

To spektakl „według Miguela de Cervantesa" tylko z nazwy. Napisał to Bartosz Cwaliński, a choć schemat fabularny jest podobny jak w utworze z początku XVII w., wszystko musi być przetkane współczesnymi gadżetami i językiem. Niestety także mnożonymi wulgaryzmami. „K..." czy „p..." mają dowodzić, że autor ma kontakt ze współczesnością. Typowe.

Teatralny bloger już się ucieszył, że bohaterowie mówią językiem „Krytyki Politycznej". Na początku szalony Don Kichot podczas swojej inicjacji błędnego rycerza w karczmie nosi koszulkę z Che Guevarą. I bredzi coś o rewolucji. Kiedy odwożą go do domu, Pleban i Doktor wraz z Gospodynią w tajemnicy przed nim palą książki. Ale nie romanse rycerskie, jak u Cervantesa, tylko wielkie dzieła filozofii.

Mamy więc zbanalizowany wątek wolności zagrożonej przez cenzurę, koniecznie klerykalną. Zarazem w teatralnym programie Cwaliński wraz z reżyserem Zalasą tłumaczą, że idea błędnego rycerza musi być rewolucyjna. Naprawdę? Tyle że potem obaj gubią tę sztuczną myśl.

Wędrówki i bitwy Don Kichota są mieszaniną konceptów Cervantesa i współczesnych aluzji, ale rewolucyjność gdzieś wyparowuje. Mamy za to zaskakującą aluzję do „uśmiechniętej władzy". Natura opowieści jest chaotyczna. Wszystko się komplikuje. Na dokładkę mamy powracanie do motywu teatru w teatrze. W rezultacie raz po raz słyszymy, że to „tylko aktorzy".

Lewicowy początek odebrałem jako konwencjonalne mądrzenie się – autorzy chcą podobno mówić o „wykluczeniu". A potem ulegają urokowi teatralnej maszynerii. I to bywa atrakcyjne.

Mroczna opowieść o Marceli (Hanna Zbyryt), doprowadzającej mężczyzn do szaleństwa i śmierci. I zaraz poważny tekst o naturze wojny (w tle „Guernica" Pabla Picassa). W drugim akcie szalony pomysł: Książę i Księżna (sugestywni Robert Rutkowski i Marta Honzatko) torturują Don Kichota latynoską telenowelą.

A koń Rosynant (uroczo groteskowy Karol Czajkowski) recytujący po hiszpańsku? Na tle ascetycznej, umownej dekoracji Jakuba Kotyni słuchamy wiązanki klasycznych utworów z różnych epok, a także współczesnych songów (muzyka Jan Bąk). Stroje aktorów są od Sasa do Lasa.

Niestety ta inscenizacja ma inną skazę. Aby wzuszyć się śmiercią Don Kichota (a zwykle się wzruszamy), szaleńca czy nawet rewolucjonisty, powinniśmy się z nim wcześniej zżyć. Rozumiem, że Maciej Półtorak gra przeciętniaka z brzuszkiem, ma być trochę nijaki. Ale ta opowieść daje zbyt mało okazji, byśmy się do niego naprawdę zbliżyli. I nie z winy aktora, a koncepcji, układu tekstu. Dostajemy za mało empatii, sentymentu, poezji.

Przebojowa jest postać pragmatyka Sancho Pansy w wykonaniu Adama Hutyry. Zgodnie z intencjami Cwalińskiego i Zalasy on ma dominować. Ale bez zderzenia z wyraźniejszym Don Kichotem to trochę uderzenie w próżnię. Choć marudzenia Hutyry można słuchać w nieskończoność.

Innym wygranym jest tu Mariusz Urbaniec w pięciu rolach, równie wybitny jako demoniczny półtrup Grisostomo, jak i roześmiany po latynosku Cardenio z telenoweli. Iloma głosami mówi ten młody aktor, jakże swobodnie bierze wiraże najkomiczniejszych sekwencji! Wraz z Czajkowskim, Hanną Zbyryt i Iwoną Chołuj rozbawia nas do łez, aranżując brawurowo tandetny melodramat. Tylko czy do tego potrzebny był archetyp Don Kichota? On miejscami ledwie się przebijał. A chciałem zapłakać po drągalu z La Manchy.

Piotr Zaremba

Fot. Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie

Fot. TVP

„Norymberga" Tomczyka po 20 latach

TVP Kultura przypomniała „Norymbergę" Wojciecha Tomczyka. Ten Teatr Telewizji, wstrząsający w wymowie, pojawił się w 20-lecie premiery

Przypomnę: to kameralny zapis spotkania młodej dziennikarki ze starym pułkownikiem PRL-owskich wojskowych służb specjalnych. Ona szuka informacji, on oferuje jej opowieść o swoim życiu. W niej zaś ważną rolę odgrywa nieżyjący ojciec Hanki. Pułkownik chce być osądzony za swój udział w zbrodniach komunizmu.

Premiera tej sztuki odbyła się w kwietniu 2006 r. na małej scenie warszawskiego Teatru Narodowego. Reżyserowała Agnieszka Glińska. Potem grano ją m.in. w Gorzowie i w Bielsku Białej, także w Estonii. Kilka miesięcy później Waldemar Krzystek, reżyser filmowy, mocno zanurzony w różnych wątkach polskiej historii, nakręcił Teatr Telewizji. Spektakl składa się z rozmów, wspomnień, chwilami personalnych konfrontacji. Musi być więc opowiedziany perfekcyjnie. Sama realizacja jest niezwykle staranna. Ewa i Andrzej Przybyłowie urządzili to mieszkanie z troską o najmniejsze detale. Podobnie jest z muzyką Zbigniewa Karneckiego, punktującą kolejne napięcia.

Janusz Gajos czyni ze swoich relacji antyczny dramat. Każe nam z napięciem śledzić najmniejszy niuans jego gestu czy mimiki. Gęstość osobowości, ironia buzująca w głosie – to jego wkład w tę historię. Dominika Ostałowska, początkowo zimna, potem zapada się w siebie, coraz bardziej stężała od grozy. Ogląda się to z zapartym tchem. Ale w równiej mierze dzięki znakomitym dialogom Tomczyka. Niuansom gestów, ruchów, min postaci odpowiadają niuanse tekstu. Taka dramaturgia sprawdza się zwłaszcza przez dygresje. Tu jest ich pełno, najcelniejszych.

Na końcu pojawia się Halina Łabonarska jako żona. Aktorka gra – zgodnie ze swoimi warunkami – świetlistą damę. I tylko chwilami odsłania coś odpychającego, groźnego, co w niej siedzi. Dodajmy, że autor nie odsłania wszystkich tajemnic tekstu. Jedną z nich jest rola żony w wydarzeniach.

Można dyskutować, czy wszystkie detale tej historii są potwierdzone realiami czasów. Czy oficerowie WSI zdobywali w grudniu 1981 r. stocznię gdańską? Wielu widzów skrzywi się na koncept, iż służby specjalne miały wielkie możliwości, by wpływać na życie innych po 1989 r. Nieprzypadkowo Tomczyk to wróg numer jeden „Gazety Wyborczej".

Ile tu szczegółowej prawdy, a ile uogólniającej metafory? Zauważę, że chyba nigdy w III RP nikt tak otwarcie i precyzyjnie nie postawił w teatrze kwestii odpowiedzialności: PRL za nasze losy i konkretnych ludzi za PRL. Przed 20 laty można było to opowiedzieć z udziałem ludzi, powiedzmy, neutralnych. Gajos nie kojarzy się z antykomunizmem.

Potem zajmowała się tym co najwyżej prawica, z coraz mniejszą skutecznością. Spór o PRL utonął we współczesnych polaryzacjach. Symbolem tego jest przywracanie uprzywilejowanych emerytur ludziom peerelowskich służb z woli rządu, na którego czele stoi dawny działacz opozycji Donald Tusk. Ta opowieść nie będzie więc podejmowana i rozwijana. Szkoda.

OPĘTANIE PRZEZ WRÓŻKĘ? NAWET ORYGINALNE

„Obsesja" Curry'ego Barkera to dość kameralny amerykański horror. Tacy znawcy kina gatunkowego jak Piotr Kletowski okrzyknęli go oryginalnym. Istotnie, straszy porządnie. Zarazem trudno się w nim doszukać dodatkowej myśli

Mnie, entuzjaście gatunku, horrory zdążyły się mocno opatrzyć. Gapimy się na standardowe trailery i bąkamy pod nosem: „Znowu szatan!", „Znowu nawiedzony dom!", „Znowu opętane dzieci!". W tym przypadku skromna z pozoru fabuła istotnie zaskakuje.

Najpierw myślimy, że sprawcą przemocy będzie nieśmiały, beznadziejnie zakochany w koleżance z pracy chłopak. Potem za pomocą przypadkowo nabytego przedmiotu („laski wierzbowej wróżki") próbuje on zdobyć ową dziewczynę, posługując się czarami. Tyle że magiczna miłość naprawdę okaże się miłością na zabój.

Kolejne zwroty akcji przerażają, mało znani aktorzy (w głównych rolach Michael Johnston i Inde Navarrette) potrafią nas przyprawić o palpitacje. Koniec jest naprawdę paradoksalny. Nie miałem poczucia straconego czasu.

Nasunęła mi się jednak dodatkowa uwaga. Horrory dość często łączyły grozę z jakąś myślą, przesłaniem. Strach nie był tylko strachem przed czarami czy nagą przemocą. Stephen King jako teoretyk gatunku przekonywał, że często kryją się w nich rozmaite metafory ludzkiej natury czy nawet zjawisk społecznych. Sam umiał się nimi posługiwać.

Czy tu wydobędziemy jakieś przesłanie? Może kryje się ono w wyjściowej nieśmiałości ekspedienta Beara? Sięga po magię, kiedy nie umie nawiązać normalnej relacji z kobietą. Sporo się dziś mówi o alienacji mężczyzn. Ale już przestroga przed obsesyjnym uczuciem trafia w próżnię, skoro wywołały ją czary. Reszta to ciąg naprawdę zręcznych sztuczek. Ci, którzy je lubią, docenią, wraz z krwawym finałem. Reszta odwróci się z obrzydzeniem albo ze śmiechem.

MARCELLE RATAFIA*

Historie i przepisy z ulic świata

Burrito i obwarzanki, pad thai i biryani – codziennie sięga po nie 2,5 mld ludzi! Autorka książki „Street food. Historia i przepisy z ulic świata" – poza różnorodnością i smakowitością potraw, na które przepisy podaje – dostrzega w ulicznej żywności fenomen socjologiczny i kulturowy, a także znak współczesnych czasów.

Z urodzenia paryżanka, laureatka Prix Curnonsky – francuskiej nagrody gastronomicznej przyznawanej za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury i krytyki kulinarnej – Marcelle Ratafia z uwagą i wnikliwością przygląda się ulicznemu jedzeniu.

Podkreśla, że nie jest to fast food, choć ten ostatni „bezczelnie przywłaszczył sobie uliczne przepisy!". Zauważa, jak wiele ulicznych potraw zrodziło się np. z niedostatku. I tak bánh mì to „rezultat kulturowej hybrydyzacji"; korzenie okonomiyaki sięgają unicestwionej Hiroszimy, gdy ocalali sięgali po to, co mieli pod ręką. A kanapka? Jest „dziełem arystokraty, który nie chciał odrywać się od gry w karty".

W street foodzie znaleźć można „odbicie globalnej wędrówki pokarmów i ludzi: zdobywców, osadników, kupców". Iberyjscy konkwistadorzy sprowadzili do Europy i basenu Morza Śródziemnego ziemniaki, pomidory i papryczki chili. Bez nich nie byłoby frytek, pan bagnat ani harissy! Portugalscy kolonizatorzy przyczynili się do rozpowszechnienia orzeszków ziemnych, pieprzu cayenne, manioku i innych składników w krajach, do których żeglowali po morzach i oceanach: w Afryce Zachodniej, na południu Półwyspu Malajskiego, w prowincji Guangdong, a nawet Japonii. Bez nich nie byłoby hausańskich szaszłyków ani sosu satay! Również ci, którzy zostali wzięci do niewoli i wyrwani siłą z ojczyzny, przewozili w ładowniach statków zalążki przepisów, które wkrótce miały podbić świat, np. na akarę z Dahomeju, podstawę antylskiej acry i acarajé z Bahii.

„Jedzenie uliczne stanowi ucieleśnienie zaskakującego paradoksu. Jest dostępne dla każdego (street foodowe potrawy są znane i popularne), a jednocześnie pozostaje prawdopodobnie najmniej zbadaną i najbardziej niezrozumianą gałęzią gastronomii" – podkreśla Ratafia, przyglądając się z uwagą kolejnym, opanowującym ulice daniom.

Frykadelka, botokoin, hot dog, bacon roll, dosa, pad thai, lahmacun, karantika, currywurst, bún cha, fricassé, maritozzo, nasi goreng, acra, donut, jian bing, shoarma, poutine, ćevapi, ramen, chorion, takoyaki, foul, burger, papo bijana, grilled cheese, smørrebrød, bubble tea, falafel, poke, arancini, fish & chips, karaage, churros, burrito, taco, pastel, completo. Jest w czym wybierać.

Jolanta Gajda-Zadworna
**Dziennikarka, krytyczka kulinarna, specjalistka od jedzenia i kina*

Burrito

Składniki: 4 pszenne tortille, 200 g piersi z kurczaka, 1 puszka fasoli czarne oczko, 1 awokado, 150 g ugotowanego ryżu, 1 opakowanie crème fraîche, 50 g poszatkowanej czerwonej kapusty, 50 g startego żółtego sera, 2 łyżki soku z limonki, 1 łyżeczka mielonej papryczki chipotle, 1 łyżka mielonego kminu rzymskiego, 1 łyżka meksykańskiej mieszanki przypraw, 8 posiekanych gałązek świeżej kolendry, 1 kostka rosołowa, sól, pieprz, olej do smażenia.

Przygotowanie: Zagotuj wodę z dodatkiem kostki rosołowej. Włóż kurczaka i gotuj 7 minut. Odcedź. Poszarp mięso. Krótko podsmaż je na patelni na odrobinie oleju, dopraw solą i mieszanką przypraw. W rondlu podgrzej fasolę, dopraw chipotle i kminem rzymskim. Rozdrobnij ziarna widelcem. W misce rozgnieć awokado, dodaj sok z limonki i kolendrę. Dopraw solą i pieprzem. Podgrzej tortillę. Na środek placka nałóż guacamole, czerwoną kapustę, crème fraîche, fasolę, podsmażonego kurczaka, ser i ryż. Załóż brzegi na nadzienie, a następnie zroluj placek od dołu do góry.

Fot. Guillaumeblot, materiały prasowe, Shutterstock

eprasa.pl f6b642825d

SŁODKO-SŁONY

Makaron Mai

ANNA MONICKA

Na przemian gryzłam paznokcie, nerwowo się drapałam, kompulsywnie jadłam (albo nic nie mogłam przełknąć), odchodziłam od telewizora, wracałam, próbowałam nie zapeszać i tak mocno trzymałam kciuki, że bolą mnie do dziś.

Nie jestem specem od tenisa, ale gdy grała Maja Chwalińska, zachowywałam się jak wariatka. I chociaż złoszczę się, że dziennikarze próbują wściubiać nos w jej życie, poczułam radość, gdy ktoś zdradził, jakie jest jej ulubione danie – makaron z podsmażanym czosnkiem i płatkami papryki, włoska klasyka z Neapolu. Robi się je szybko i jest osiągalne nawet dla mało doświadczonego kucharza, na dodatek takiego, któremu wiecznie brakuje czasu. Trzeba tylko mieć pod ręką dobrej jakości oliwę i parmezan lub pecorino. Kocham spaghetti, więc sama się nim zajadam. Kojarzy mi się z wakacyjnymi smakami, ciepłymi wieczorami i kolacjami z przyjaciółmi na tarasie pod gwiazdami.

Pierwszy krok to oczywiście makaron – najlepiej z pszenicy durum, który nie rozgotowuje się i nie chłonie sosu jak gąbka, lecz ładnie się w nim zanurza. Gotujemy go zgodnie z przepisem na opakowaniu (aby zaostrzyć smak, można użyć soli z płatkami chili). Drugi krok – gdy makaron siedzi w garze, na rozgrzaną oliwę z pierwszego tłoczenia wrzucamy pokrojony w cieniutkie talarki czosnek i posiekaną ostrą papryczkę (czerwoną, żółtą, może być także zielona – kontrolujemy ilość, aby nie było za ostro). Smażymy krótko, by uwolnić olejki eteryczne, a nie przypalić, wystarczą 2–3 minuty. Kontrolujemy temperaturę, by oliwa nie zaczęła dymić, a czosnek nie zbrązowiał i nie nabrał goryczy. Teraz czas na garść natki pietruszki – kolejne pół minuty. Ponieważ ugotowany i odlany makaron przełożymy zaraz na patelnię, musimy uważać, by nie brać za dużo oliwy. Danie ma być pachnące, lekkie, a nie ociekające tłuszczem. Dodajemy trochę wody z makaronu, żeby sos był bardziej aksamitny, dokładnie mieszamy i przekładamy na talerze. Posypujemy świeżo startym parmezanem, doprawiamy pieprzem, na tarce można zestrugać odrobinę skórki cytrynowej. Jeśli ktoś nie może jeść glutenu, niech poszuka innego makaronu, np. ryżowego, by nie odmawiać sobie frajdy.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Ropucha zielona

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ropucha zielona (*Bufotes viridis*) wyróżnia się spośród naszych płazów. Piszę to z rozmysłem, nieco prowokacyjnie, bo każdy z polskich płazów czymś się wyróżnia: ropucha szara bywa naprawdę wielka, rzekotka drzewna nie ustępuje szmaragdową zielenią i żółtymi, kulistymi przylgami najegzotyczniejszym drzewołazom, kumaki są niezwykle długowieczne, salamandry – legendarne.

W każdym razie ropucha zielona nie ustępuje żadnemu z przedstawicieli naszej pełnej oryginałów batrachofauny.

Intrygujące jest samo jej ubarwienie, będące wzorem przypominającym „panterkę" złożoną z beżu, zieleni i niewielkich czerwonych plamek. Do tego głos: godowy głos samców bywa przyrównywany do treli kanarka.

Ropucha zielona jest też gatunkiem wyjątkowo odpornym na suszę. Chociaż jak wszystkie płazy do rozrodu potrzebuje wody, do życia preferuje jednak środowiska suche, stepowe, a nawet półpustynne. Przytoczę bardzo ciekawy fragment z atlasu „Płazy i gady Polski" autorstwa wybitnego herpetologa Mariana Młynarskiego (w czasie wojny harcerza Szarych Szeregów), napisany we wciągającym stylu, w jakim obecnie nie pisze się już takich opracowań: „W roku 1954 sam obserwowałem liczne ropuchy zielone na silnie nasłonecznionych wzgórzach rezerwatu Kadzielnia w Kielcach. Było to wprawdzie już w godzinach popołudniowych, ale w lipcu, w czasie bardzo silnego nasłonecznienia, kiedy temperatura dochodziła do 40°C. Wszystkie ropuchy pokryte były jak rosą wydzieliną gruczołów skórnych. Pełne aktywności i wigoru polowały one w najlepsze na owady przysiadające na rozgrzanych kamieniach".

Można również przeczytać, że do rozmnażania ropusze zielonej wystarczą niekiedy miejskie fontanny – tak mało wymagający nie jest żaden z krajowych płazów. Tu mogę przytoczyć własną obserwację. Znam sadzawkę, całkowicie wybetonowaną, blisko centrum dużego miasta, pozornie bez życia biologicznego, w której przez lata każdej wiosny można było zaobserwować kijanki ropuchy zielonej (musiały być tam więc również jakieś bezkręgowce, na które polowały). Niestety pewnego razu, zanim się zorientowałem, sadzawka przeszła remont i ropuch już nie ma, a przynajmniej nie składają w niej skrzeku.

To pokazuje, że trzeba być uważnym, zwłaszcza w przypadku zwierząt tak skrytych jak płazy.

eprasa.pl f6b642825d

3 MIŁOŚCI

Ofiary z krokodyla

ROBERT TEKIELI

W Francji, 8 czerwca, afrykański czarownik M'Bemba Guirassy „Barry" został skazany na dwa lata bezwzględnego więzienia za agresywne praktyki handlowe. Marabut specjalizował się w „przywracaniu do życia ukochanej osoby" i wyłudził od bretońskiego biznesmena po śmierci jego żony ponad 166 tys. euro. Działający pod wpływem czarownika 43-letni przedsiębiorca, ojciec 9-letniego dziecka, całkowicie zrujnowany, popełnił samobójstwo w sierpniu 2022 r.

Wśród usług marabuta znalazły się rozmowy telefoniczne, SMS, talizmany, odczytywanie wersetów z Koranu oraz „składanie ofiar z krokodyli w Afryce", wycenione na 6790 euro.

Po ogłoszeniu wyroku czarownik wyszedł na papierosa i uciekł z budynku sądu karnego w Rennes, zanim policja zdążyła go zatrzymać. Wcześniej był już dwukrotnie skazany za oszustwa i nadużywanie słabości ofiar.

Marabut to tradycyjny uzdrowiciel, szaman, czarownik praktykujący magię oraz okultyzm. Związany z jego działalnością kult jest praktykowany w krajach Czarnej Afryki (Senegal, Kamerun, Gambia) oraz w Maroku. Marabuci cieszą się w nich nie tylko całkowitą nietykalnością, lecz także niepodważalnym autorytetem. Uważa się, że są potężnymi czarownikami, w mniemaniu tubylców potrafią sprowadzić poważną chorobę lub doprowadzić do śmierci ofiary. Lokalne społeczności zwracają się do marabutów o pomoc w uzdrawianiu, odpędzaniu złych mocy, rozwiązywaniu konfliktów, a także w poszukiwaniu ochrony przed nieszczęściem. Dzięki swojej uprzywilejowanej pozycji wszelkie procesy o czary omijają ich szerokim łukiem, mimo iż jawnie parają się magią.

Dziś oferty wywodzących się z Afryki czarowników można znaleźć w sieci na niektórych platformach ogłoszeniowych: „Prace okultystyczne i afrykańska biała magia w służbie Twojej historii miłosnej. Zdumiewające rezultaty. Ekspert w marabutażu. W gabinecie lub na odległość". „Aby szybko odzyskać ukochaną osobę, w magii kluczowa jest siła osoby rzucającej zaklęcia i uroki. Kompetentne Medium, Marabut i Jasnowidz OJCIEC Togbe Tofassi posiada ponad 30 lat doświadczenia w magii miłosnej. Jego sukcesy są niezliczone, a jego moc rośnie".

Marabuci oferują rytuały mające na celu przywrócenie utraconej miłości czy wzmocnienie uczuć. Ich klienci wierzą, że potrafią oni przewidywać przyszłość oraz zdejmować uroki i klątwy oraz pomagają w rozwiązywaniu trudnych sytuacji życiowych.

Każdy, kto przychodzi po pomoc do wróżki, jasnowidza, bioenergoterapeuty, numerologa czy medium spirytystycznego, zwraca się równocześnie do rzeczywistości duchowego zła, która stoi za takimi osobami

W swoich praktykach marabuci często posługują się wersetami z Koranu, mimo iż ten całkowicie potępia czary. Nadal żyjemy w epoce czarowników i szarlatanów, w której dżiny, czary i złe oko grają ogromną rolę. Nie tylko w Afryce.

Mimo tego XXI-wiecznego renesansu magii w Polsce nie było dotąd ani jednego procesu podobnego do tego, który odbył się w Rennes. A przecież także w polskiej przestrzeni prawnej można by ścigać okultystów, wróżów i uzdrawiaczy za oferowanie nieskutecznych praktyk, mówiąc krótko: za oszustwo. Tak samo, kiedy punktem wyjścia jest samobójstwo klienta lub śmierć pacjenta, który dla oszukańczych praktyk porzucił prawdziwą terapię.

Jednak to nie oszustwa są istotą krzywdy, którą milionom osób wyrządzają okultyści, spirytyści i „uzdrawiacze". Ludzie korzystający z ich praktyk szkodzą sobie bowiem duchowo. A to dziedzina nieuchwytna dla prawa.

Jedynym rozwiązaniem byłby tutaj chyba konsumencki ruch społeczny katolików, który piętnowałby nieskuteczność działań okultystów, jasnowidzów oraz innych szarlatanów, żerujących na ludzkim nieszczęściu i eliminował ich z rynku dzięki kampaniom informacyjnym.

Dlaczego ta sprawa jest tak ważna? Ponieważ szkody duchowe poniesione przez człowieka w wyniku kontaktu z toksycznymi duchowościami rzutują na całe jego życie, prowadząc do rozpadu relacji, wpędzają w niedające się leczyć depresje czy powodują statystycznie nieprawdopodobną liczbę negatywnych wydarzeń w życiu.

Furtki dla złego ducha w sercach ludzi mogą powstawać na różne sposoby. Nurt „wiedzy" tajemnej zawsze był obecny w naszej kulturze. Specyfiką współczesności jest mnogość sposobów ukrywania parareligijnej, kultowej istoty wielu form życia współczesnej kultury. Dziedzina ochrony zdrowia ma homeopatię, uzdrawianie, reiki czy bioenergoterapię, psychologia – spirytystyczną metodę ustawień rodzinnych Berta Hellingera, niebezpieczną terapię Gestalt, manipulatorskie programowanie neurolingwistyczne albo szamańską psychologię transpersonalną, w szkolnictwie i wychowaniu mamy toksyczne szkoły steinerowskie i kinezjologię edukacyjną, w dziedzinie „doradztwa życiowego" – duchowo zabójcze praktyki, takie jak numerologia, wróżby tarota lub usługi jasnowidzów, rozrywka ma filmy, gry komputerowe i zespoły muzyczne

eprasa.pl f6b642825d

inicjujące w rzeczywistość demoniczną. Można tak wymieniać długo. Jednak współczesne toksyczne duchowości udające niereligijne formy kulturowe jeszcze nie zdominowały kultury zachodniej, choć w USA, w takich stanach jak Kalifornia, urosły już do rozmiarów kulturowej alternatywy.

Mało jest danych na ten temat, wiemy jednak, że w 2003 r. obroty alternatywnego przemysłu medycyny niekonwencjonalnej w Stanach przekroczyły obroty przemysłu związanego z medycyną akademicką. Amerykanie po raz pierwszy wydali wtedy więcej pieniędzy na homeopatię, healing, biorezonans, uzdrawianie kryształami oraz „energią" kwiatów niż na lekarzy akademickich i tabletki.

Człowiek nieświadomie otwiera się na rzeczywistość demoniczną na dwa podstawowe sposoby. Pierwszy, bezpośredni, jest np. związany z wiarą w amulety, wywoływaniem duchów czy ciężką młodzieżową muzyką o charakterze inicjacyjnym. Tu pod różnorodnymi formami manipulacji kryje się bezpośrednie, choć często właśnie nieświadome zwrócenie się do złego ducha osoby noszącej amulet czy słuchacza powtarzającego za wokalistą niezrozumiałe dla siebie formuły osobistego oddania się pod władzę demonów.

Każdy, kto przychodzi po pomoc do wróżki, jasnowidza, bioenergoterapeuty, numerologa czy medium spirytystycznego, zwraca się równocześnie do rzeczywistości duchowego zła, która stoi za takimi osobami. Jeśli jasnowidz wie o jakichś nieznanych nikomu poza nami wydarzeniach z naszego życia, jeśli po wyjściu od bioenergoterapeuty czujemy sensacje na poziomie somatycznym – uczucie ciepła albo wędrujące mrowienie – możemy być pewni, że trafiliśmy do osoby inicjowanej w demoniczny świat duchowy.

Drugim sposobem ściągnięcia na siebie problemów duchowych jest praktykowanie form medytacyjnych i transowych, które są ukryte pod dziesiątkami różnych praktyk, często promowanych w środkach masowej komunikacji. Zaczynając od hipnozy, przez wywoływanie duchów, pismo automatyczne, rebirthing, reiki, polarity, techniki kontroli i synchronizacji mózgu, wschodnie sztuki walki zawierające ćwiczenia „koncentracyjne" i „rozluźniające" (tai chi, aikido), a kończąc na różnorodnych technikach szybkiego czytania (np. SITA) i supernauczania (superlearning). Wszystko to praktyki zmieniające świadomość. Wprowadzające w rodzaj transu. Doprowadzające umysł człowieka do stanu, w którym nie ocenia on moralnie i racjonalnie przepływającej przez niego rzeczywistości. Takie całkowite otwarcie się na rzeczywistość wewnętrzną człowieka powoduje jednocześnie otwarcie się człowieka na świat nadzmysłowy. Otwarcie, z którego mogą skorzystać – i często korzystają – demony.

Krótko mówiąc, niezwykłe informacje, którymi np. wróżbici czy radiesteci karmią swych klientów, pochodzą bezpośrednio od złego ducha, który czasami przejmuje całkowitą kontrolę nad wróżbitą.

Tarocistka Beata tak opisywała ten proces: „Po pewnym czasie do wróżb nie były mi potrzebne karty. Kiedy klient wchodził, często wiedziałam, co powiem. Potem zdarzało się nawet, że budziłam się po godzinie rozmowy z klientem, w połowie zdania, nie będąc świadoma tego, co mu powiedziałam. Widziałam tylko przerażoną twarz i było mi głupio zapytać go, co takiego mu wcześniej naopowiadałam". W historii Beaty ujawniła się istota wróżbiarstwa. Trans, w trakcie którego osoba wróżąca oddaje swe zmysły władzy złego ducha. A kontakty z demonami nie kończą się dobrze. Okultyzm to duchowość śmierci.

I na koniec – by łatwo nie odrzucać realizmu magii marabutów – świadectwo ateisty, materialisty Wojciecha Giełżyńskiego, zmarłego kilkanaście lat temu polskiego dziennikarza i reportażysty.

Na początku lat 90. opisywał on udokumentowane przez siebie praktyki marabutów z Czarnej Afryki. Można było u nich zamówić życzenie śmierci. Potrzebna była do tego jakaś część odzieży ofiary. W audycji Polskiego Radia Giełżyński tak kończył opowieść o tych praktykach czarnej magii: „Nie wierzę w takie rzeczy, ale nie mogę zaprzeczyć temu, co widziałem: marabut wykręcał podkoszulkę ofiary, a na ziemię kapała prawdziwa ludzka krew. W dwóch przypadkach mogłem stwierdzić, że obłożeni klątwą ludzie wpadali w apatię, przestawali jeść, a na koniec zmarli".

Nie chcę przesądzać o przyczynie ich śmierci – najbardziej prawdopodobne jest, że była ona skutkiem wielowiekowego, dziedziczonego lęku przed czarną magią połączonego z informacją, że czarownik rzucił klątwę. Jakkolwiek by nie było, działanie marabuta okazało się skuteczne.

Okultyzm i magia wracają do przestrzeni społecznej Zachodu. Dobrze jest mieć wiedzę na ten temat, a jeszcze lepiej, aby katolicy zaczęli walczyć z toksycznymi duchowościami.

Fot. Domena publiczna

OGNIEM NA WPROST

Konfrontacja twardzieli

Andrzej Rafał Potocki

Kiedy piszemy ten tekst, prezydent Karol Nawrocki nie podjął jeszcze decyzji o odebraniu Orderu Orła Białego Wołodymyrowi Zełenskiemu. Ustami swego rzecznika stwierdził, że rozstrzygnie sprawę „w swoim czasie", czym wpisał się w jedno z ulubionych powiedzonek mojego Taty, który mawiał: „W swoim czasie albo nieco później". Na zapleczu wciąż trwają rozmowy polsko-ukraińskie i nie wiadomo, czym się skończą. Zapoczątkowała je wizyta gen. por. Kiryła Budanowa, byłego dowódcy wywiadu wojskowego Ukrainy (HUR), a obecnie szefa kancelarii prezydenta Ukrainy. Jego misja żywo przypominała wizytę napoleońskiego marszałka na dworze portugalskiej królowej Marii i jego rozmowę z regentem Janem VI. W 1807 r., po odmowie przystąpienia Portugalii do blokady kontynentalnej Anglii, Napoleon wysłał Korpus Obserwacyjny Girondy pod gen. Jeanem-Andoche Junotem z zadaniem zajęcia Portugalii. Kiedy wojska francuskie stanęły pod murami Lizbony, cesarz Francuzów na negocjacje wysłał marsz. Jeana Lannes'a z wdzięcznym tytułem księcia Montebello. Ten szaleńczo odważny dowódca straży przedniej i przyjaciel Napoleona próbował wcześniej swoich sił jako dyplomata, pełniąc funkcję ambasadora w Lizbonie, nawiasem mówiąc z marnym skutkiem. Ale teraz, chodząc w kawaleryjskich buciorach, brzęcząc ostrogami i stukając pochwą szabliska o posadzkę Pałacu Królewskiego w Queluz (to w dyplomacji wychodziło mu najlepiej), tak wystraszył rodzinę z dynastii Bragança, że ta, pod osłoną brytyjskiej floty, salwowała się ucieczką do Brazylii, swojej kolonii. Od tego momentu Rio de Janeiro stało się faktycznie zamorską stolicą Portugalii. Dziś taki styl jest nazywany powszechnie dyplomacją kanonierek. Jednak różnica pomiędzy gen. por. Budanowem i marsz. Lannes'em polega na tym, że prezydent Nawrocki to nie portugalski książę regent Jan VI. Ekskomandos Budanow zderzył się w Warszawie z podobnym twardzielem, który tak jak on nie zamierza ustępować. Ukraińsko-polskie polityczne targi trwają w najlepsze i nie wiadomo, jak się skończą. Jedno jest pewne – z pałacu prezydenckiego przy Krakowskim Przedmieściu nikt dyla dawać nie będzie.

Na dokładkę niedawno na Narodowym Cmentarzu Wojskowym pod Kijowem z państwowymi honorami pochowano Andrzeja Melnyka, opozycyjnego względem Stepana Bandery przywódcę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Melnykowcy nie zgadzali się z radykalizmem banderowców i otwarcie potępili mordowanie Polaków na Wołyniu, widząc w tym działanie antyukraińskie i prosowieckie, popychające Polaków do współpracy z Kacapami. Jednocześnie melnykowcy od początku do końca byli sojusznikami III Rzeszy, a sam Melnyk był agentem niemieckiego wywiadu wojskowego – Abwehry. Podczas uroczystości prezydent Zełenski powiedział, że Melnyk wraca do Ukrainy takiej, jaką sobie wymarzył. Zabrzmiało to trochę sarkastycznie, bo na Ukrainie marzeń Melnyka Wołodymyr Zełenski nie miałby szans zostać prezydentem, o ile w ogóle pozwolono by mu mieszkać, nie wspominając o takim drobiazgu jak życie.

Trochę o froncie. Nie będziemy dziś analizowali odcinka po odcinku. Tu ogólnie panuje stagnacja, choć ze wskazaniem na Ukrainę. Intensywność rosyjskich ataków spada, a siły ukraińskie coraz częściej skutecznie atakują i zaczynają odzyskiwać terytorium. Daleko do ewentualnego przełamania na rzecz Ukrainy, ale Rosja może już zapomnieć o wiosenno-letniej ofensywie. Zakończyła się, nim się zaczęła. Kluczem do jej klęski i do coraz wyraźniejszej zmiany dynamiki frontu była wspomniana w ubiegłotygodniowym wpisie ukraińska ofensywa dronowa w bezpośrednim i średniodystansowym zapleczu frontu. Krym został *de facto* odcięty od świata. W Sewastopolu benzyna jest wydzielana po 20 l na samochód. Trzy zniszczone cysterny odcięły półwysep od jakichkolwiek dostaw. Czasowo, ale za chwilę inny wrak zablokuje drogę. Ale najważniejsze, że coraz gorzej jest z uzupełnieniami dla walczących moskiewskich oddziałów. Nie ma jak dostarczać amunicji i żywności, nie ma jak rotować jednostek, nie ma jak dosłać posiłków. I to nie w kotle, jak siły ukraińskie w Donbasie, ale wzdłuż całej granicy. W naszej opinii, jeśli obecny trend się utrzyma, sytuacja w nadchodzących miesiącach może być bliska krytycznej pod względem rozmieszczeń, a zwłaszcza logistyki. To będzie bardzo trudny rok. Tu leży główna przyczyna tego, że Moskale nie byli w stanie rozwinąć natarcia, a teraz mają problem z utrzymaniem obrony. To tworzy korzystną dla Ukraińców sytuację do wyprowadzenia manewru zmechanizowanego i przełamania frontu na kierunku Melitopola lub Mariupola, a w perspektywie do całkowitego odcięcia Krymu. Zobaczymy, co tam w Kijowie wyszykują.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b642825d

Michał Korsun prezentuje: „Pranie tylko w nocy”, czyli nowe dyrektywy Komisji Europejskiej

Wycinki z przeszłości

W 1926 r. „Ilustrowany Kuryer Codzienny” donosił o schwytaniu „Joanny d’Arc z Uralu”, nazwanej także „Rosyjską Dziewicą Orleańską”. Helena Semina, wypędzona z Omska przez bolszewików, miała „zapragnąć zemsty”, gromadząc wokół siebie ludzi „podobnie usposobionych politycznie” i organizując napady na pociągi. Według gazety „walczyła, dopóki starczyło jej sił, aż wreszcie ciężko ranna musiała się poddać”.

(sp)

Działający numer wraz dodatkiem sportowym kosztuje jak zwykle 20 gr.
Nr. pozz. opł. ryczałt.
Numer zawiera 24 stron druku.
Wydanie: FEDORA
Cena numeru w Krakowie: 20 gr.
ILUSTROWANY
KURYER CODZIENNY
Założyciel i Naczelny Redaktor: Marjan Dąbrowski
Rok XV
Aresztowanie rosyjskiej Dziewicy Orleańskiej.
Kraków, 30 sierpnia.
(—) Oddziałom wojska sowieckiego udało się wreszcie po wielu miesiącach pościgu ująć przywódczynię bandy rozbójników, usposobionej wrogo w stosunku do rządu sowieckiego. Przywódczyni tych napadów bandytów, a napady rewolucjonistów przeciwko rządom sowieckim, przybrała imię „Joanny d’Arc z Uralu”.
Wojowniczka ta niewiasta została wypędzona przez bolszewików ze swego rodzinnego miasta Omska. Od tego czasu zapragnęła zemsty. Zebrała wokół siebie bandę podobnie usposobionych politycznie kobiet i mężczyzn i jęła przy ich pomocy organizować napady na pociągi na Uralu. Ze zdobytą bronią urządzano potem prawdziwe wyprawy.
Helena Semina — bo tak brzmi prawdziwe nazwisko tej uralskiej „Dziewicy Orleańskiej” — miała cały szereg kryjówek, do których zawsze umiała się chronić w porę.
Dopiero ostatnio otoczono ją tak, iż wyrwanąć się nie zdoła. Walczyła dopóki starczyło jej sił, aż wreszcie ciężko ranna musiała się poddać.

Z WOLEJA

Zapiski z Łotwy

Ryszard Czarnecki

Piszę te słowa na Łotwie. Sportem narodowym jest tutaj hokej – przed trzema laty ten mały kraj (niespełna 2 mln mieszkańców) zdobył brązowy medal mistrzostw świata w tej dyscyplinie. W tym samym 2023 r. koszykarze (w formule 3x3) uplasowali się na piątym miejscu na MŚ, a dwa lata wcześniej, gdy ta dyscyplina debiutowała na igrzyskach olimpijskich, Łotysze zdobyli historyczne złoto. Skądinąd też historyczne, bo pierwsze mistrzostwa Europy w „prawdziwej” koszykówce (pięciu graczy), które odbyły się w 1935 r., też wygrali Łotysze. Na ME, które odbyły się tuż przed agresją Niemiec na Polskę i przed wybuchem II wojny światowej, Łotwa zdobyła srebro. A teraz, dosłownie kilka dni temu akurat w Warszawie, Łotwa wróciła na tron w koszykówce 3x3, zdobywając złoto w mundialu w tej relatywnie nowej dyscyplinie. Bardzo popularnym sportem masowym jest tutaj novuss, zwany też „marynarskim bilardem” – to taki minibilard, gra zręcznościowa.

Kiedyś byłem tu kilka dni w nadmorskiej miejscowości Jurmała – tam z kolei modna jest siatkówka plażowa.

Za czasów I Rzeczypospolitej Łotwa była częścią polskich Inflant. Mało kto wie, że Ryga w strukturach Kościoła katolickiego podlegała diecezji warmińsko-mazurskiej. Nic zatem dziwnego, że obecny biskup stolicy Łotwy biegle mówi po polsku...

Bardzo wielu tutejszych polityków ma polskie korzenie. Wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej i trzykrotny komisarz nazywa się Dombrovskis. Polskie pochodzenie mieli też byli szefowie MSW, MON czy służb specjalnych.

Polscy kibice (a zwłaszcza ówczesny trener kadry Zbigniew Boniek) zapamiętali zapewne, jak Łotwa kosztem Polski sensacyjnie awansowała do finałów mistrzostw Europy Anno Domini 2004 – zresztą po raz pierwszy i ostatni.

Państwo polskie było tu przez dwa stulecia – od XVI do XVIII w. Później. W 1920 r., polska armia dowodzona przez gen. Edwarda Rydza-Śmigłego wyzwoliła od bolszewików Łatgalię. Tutejsze władze odnoszą się do Polaków znacznie bardziej życzliwie niż często antypolskie władze sąsiada, czyli Litwy. W polskich klubach współcześnie grało wielu łotewskich koszykarzy. Ważniejsze jest jednak to, że istnieje tu spora i dobrze zorganizowana mniejszość polska. Jako przewodniczący Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą wizytowałem polskie szkoły w Rzeżycy (Rēzekne) i Jakubowie (Jēkabpils). Parokrotnie byłem też w Dyneburgu, czyli Dźwińsku (Daugavpils), gdzie mieszka najwięcej Polaków i stoi pomnik upamiętniający AK. Oddział dywersyjny AK Zagra-Lin przeprowadzał tu akcje. To ta sama jednostka, która detonowała bomby na dworcach w Berlinie i Wrocławiu. Warto o tym pamiętać.

eprasa.pl f6b642825d

OD A DO ZYBERTOWICZ

Kamień filozoficzny polskości. Odsłona pierwsza

Każdy, kto twierdzi, że posiadł ostateczną formułę polskości, powinien budzić czujność

Kamień filozoficzny, św. Graal, Arka Przymierza, a nawet nasz swojski kwiat paproci. Pierwszego szukali alchemicy, drugi spędzał sen z oczu średniowiecznym rycerzom, trzecia zaginęła w odmętach dziejów. A czwarty to ukryty skarb, dostępny tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Wszystkie te symbole łączy obietnica dotarcia do sedna, ukrytej prawdy i rozumienia, które pozwoli mocno pochwycić świat. Wszystkim towarzyszy ta sama tęsknota, że istnieje coś, co sięgnie istoty rzeczy, wyjaśni sens historii, nada kierunek teraźniejszości i zdejmie z barków ciężar niepewności.

WYPRAWY PO POLSKOŚĆ

W kulturze te artefakty pracują od wieków. Czym jednak stają się w życiu politycznym? Narzędziem sterowania i rządzenia? Przecież ten, kto obieca dostęp do tajemnicy, zyskuje władzę nad wyobraźnią. I właśnie o tę władzę toczy się dziś gra.

Współczesna polityka coraz mniej przypomina rzetelną debatę, a coraz bardziej – wyprawę po artefakt, w której gracze udają, że znają drogę do skarbu.

Jedni twierdzą, że prawdziwą polskość odnajdziemy w pamięci i krzywdzie, bo wierzą, że to właśnie zraniona przeszłość daje narodowi moralną rację i wyjątkową wrażliwość. Inni, że polskość wzmocnimy w twardych instytucjach i europejskich sojuszach. Jeszcze inni widzą polskość w codziennym wysiłku, w lokalnych wspólnotach, w tym, co nie mieści się w wielkich instytucjach i narracjach.

Ale teraz liczy się prawda emocjonalna, która często przysłania fakty, instytucje i procedury.

Każda poważniejsza grupa polityczna próbuje stworzyć własny mit założycielski, własną opowieść o tym, gdzie ukryty jest sens.

POLITYCZNA ALCHEMIA

Sedno problemu nie tkwi w tym, że wszyscy się mylą, lecz w tym, że ta obietnica działa jak magnes. Kto obieca dostęp do tajemnicy, ten nie musi już tłumaczyć złożoności świata. Wystarczy, że powie: „Znam sekret". Wystarczy, że wskaże wroga i zagrożenie albo przeciwnie – obieca dumę i wielkość. Wystarczy, że stworzy wrażenie, iż posiada wiedzę ukrytą, której nie mają inni. Tak rodzi się polityczna alchemia: z mieszaniny lęku, nadziei i tęsknoty za prostą odpowiedzią.

PROCES, KTÓRY TRWA

A przecież polskość nie jest ani kamieniem, ani kielichem, ani skrzynią z tablicami z góry Synaj. Nie jest też kwiatem, który zakwita raz na sto lat. Polskość to raczej proces destylacji – nieustanne przetwarzanie doświadczeń, sporów, traum i aspiracji. Jest tym, co powstaje, gdy próbujemy nadać sens temu, co nas przerasta. Dlatego każdy, kto twierdzi, że posiadł jej ostateczną formułę, powinien budzić czujność.

Dojrzała, strategiczna polityka zaczyna się tam, gdzie kończą się mity o cudownych artefaktach. Gdzie z mitologii przechodzi się do twardych negocjacji w sprawach zasobów gospodarczych, militarnych i kulturowych, gdzie przedstawia się rację stanu. Gry w ramach Unii Europejskiej, w których raz po raz obrywamy, dobitnie to pokazują.

Ale może w Polsce 2026 r. najcenniejszym zasobem politycznym jest obecna w wielu z nas tęsknota za odkryciem własnego kamienia filozoficznego polskości.

Być może to pokłosie naszych trudnych dziejów, naszych traum i poczucia krzywdy. A z tego rodzi się tęsknota za kimś, kto poprowadzi nas właściwą drogą do sukcesu. I raz po raz dajemy się zwieść obietnicom, których nie da się spełnić.

Przykłady? Do jakich pokładów polskości odwoływał się Donald Tusk, prowadząc tzw. marsz miliona serc na Rondo Radosława? Była to autentyczna refleksja nad historią czy raczej cyniczne wykorzystanie symboliki dla efektu politycznego? Trudno też nie zapytać, co właściwie ma być patriotycznego w narracji „100 konkretów na 100 dni", skoro już w chwili ich ogłoszenia było jasne, że znaczna część tych obietnic jest zwyczajnie nierealna?

ZACZNIJMY OD SIEBIE

I może właśnie dlatego warto zadać pytanie, które w całej tej gorączce poszukiwań pada rzadko: czy naprawdę potrzebujemy kolejnego mitycznego przedmiotu, by zrozumieć samych siebie?

A może polskość wcale nie wymaga odkrycia, lecz uczciwego przepracowania – bez alchemii, bez cudów, bez obietnic, że ktoś zrobi to za nas?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 11/0626/F

eprasa.pl f6b642825d

Subskrypcja SIECI

wPolityce.pl Premium +

CZYTASZ CAŁY ROK, PŁACISZ ZA PÓŁ

tylko do czwartku

Twój dostęp do prawdy

WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

PROMOCJA TRWA DO 18 CZERWCA, DO GODZINY 23:59

NARODOWY BANK POLSKI

NBP zgromadził już ponad 613 ton złota

Dzięki temu Polska znajduje się w elitarnej dziesiątce państw o największych zasobach złota na świecie.

Zwiększamy rezerwy do 700 ton złota

prof. Adam Glapiński
Prezes NBP

„Będziemy złoto kupować dalej, na tyle, na ile będziemy znajdować okazje, żeby je korzystnie nabywać. Jak uczą nasze doświadczenia historyczne, złoto stanowi kotwicę bezpieczeństwa państwowego, filar zaufania do naszej waluty i gospodarki, gwarancję niezależności państwowej i gospodarczej. Nasze trzy zasady podstawowe to oczywiście bezpieczeństwo, płynność i dochodowość w długim terminie”.

Zeskanuj kod QR
i dowiedz się więcej

NBP.pl

eprasa.pl f6b642825d